



Andrzej Gardzilewicz

Gardzielowe fidrygałki

Oficyna Gdańska

Gardzielowe fidrygałki

*gdańszczanie
wspominają*

Andrzej Gardzilewicz

Gardzielowe fidrygałki

Oficyna Gdańska

Tytułem wstępu

„W czasie gry podnosiłem rękę i swym donośnym głosem ryczałem trzy, siedem, dwa. Przeciwnicy zamierali w oczekiwaniu, co będziemy grać, a my z zaskoczenia wchodziliśmy w rozluźnioną obronę jak w masło i strzelaliśmy bramki. Gdy po latach Kaju Frąszczak, trener naszego największego rywala, Śląska, spytał mnie, na czym polegał nasz schemat, odpowiedziałem szczerze:

– Na niczym, to był pic!”

Znajomy reportażysta opowiadał mi o swoim patencie na sprawdzanie wiarygodności zasłyszanych historii. Jeśli trafił na interesującą opowieść, której nie dało się zweryfikować w innym źródle, po tygodniu wracał do rozmówcy i kazał sobie opowiadać wszystko jeszcze raz od początku. Jeśli obie wersje się pokrywały – relację uznawał za prawdziwą. Znając Andrzeja Gardzilewicza od prawie dwudziestu pięciu lat i mając wielokrotnie możliwość przysłuchiwania się jego opowieściom, zaświadczam, że historyjki, które składają się na *Gardzielowe fidrygałki*, pozostają niezmiennie od ćwierćwiecza.

Powiedzieć, że Gardzioł żyje dla fidrygałków, to oczywiście pójść za daleko. Kto go zna osobiście, wie, że żyje on dla samego życia, co w jego przypadku oznacza nieustające działanie: nowe bodźce, kolejne wyzwania, ciekawość świata i wszędobylskość. Ale owe lwowsko-gdańskie gawędy towarzyszyły mu i dojrzewały w nim od dawna.

Któż dziś wie, co znaczy słowo „fidrygałki”? *Słownik języka polskiego* podaje, że to rzeczy błahe, nieważne, drobiazgi, głupstwa. Ale *Gardzielowe fidrygałki* to zupełnie inna para kaloszy. Z jednej strony są próbą ocalenia przed zapomnieniem utraconego, nieistniejącego już świata – kiedy nie było telewizji, po podwieczorku grało się w brydża, taroka, wista czy – ku uciesze dzieci – w loteryjkę, cybergaja, klipę lub palanta, a samogon wymieniało się na tuszonkę. Świata, którego autor – urodzony we wrześniu 1939 roku w bombardowanym, ale wciąż jeszcze polskim Lwowie – jest dosłownie jednym z ostatnich metrykalnie przedstawicieli.

Z drugiej strony *Fidrygałki* to fantastyczny opis osvajania nowych czasów, miejsc i warunków życia. Opis wartki, barwny, ciepły i skrzący humorem, w którym bohaterów i wątków jest nie mniej niż opowieści. Jak choćby tych o rodzinnym romansie stulecia, o najpiękniej zatańczonym w życiu walcu, o podróżach – tych najpierwszych palcem po mapie i tych w wysokie Himalaje, czy o idach u Szewalskiego, czyli świętowanych w dawnym stylu

imieninach wybitnego profesora Politechniki Gdańskiej, podczas których prowadzono poważne dysputy, a na deser na miśnieńskiej porcelanie serwowano galicyjskie specjały: tort Sachera i pischinger.

Są też *Fidrygałki* opowieściami o zakorzeniu, wyrwaniu i zapuszczeniu korzeni na nowo. Bo czymże są dzieje powstawania osiedla przy ulicy Krętej: budowania domów i, co ważniejsze, sąsiedzkiej wspólnoty, jak nie odciskaniem swojego piętna na gdańskiej ziemi? Są wreszcie opowieścią o odzyskaniu tego, czego symbolem pozostawał Lwów przez cały okres PRL: wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej. A także o jej zagospodarowywaniu.

W ostatecznym rachunku książka, którą trzymają Państwo w ręku, jest też swoistym moralitetem. Niemal każda opowiadka zawiera bowiem ważną prawdę. Że warto pamiętać, skąd przychodzimy. Że warto być wiernym rodzinnej tradycji. Że chcieć, to często znaczy móc. Że w słusznej sprawie warto być nieustępliwym, choćby wkładając nogę między drzwi. Że trzeba być przyzwoitym i uczciwym (choć odrobina sprytu, a nawet cwaniactwa nie zawadzi – patrz cytaty na początku). I że warto być otwartym na innych ludzi. Otwórzmy się zatem i my na Gardzioła i jego *Fidrygałki*. Miłej lektury!

Dariusz Szreter

Od autora

Mogę powiedzieć, że jestem człowiekiem szczęśliwym, w czepku urodzonym dosłownie i w przenośni, o czym można się przekonać na przykład z opisaną na dalszych stronach opowieści mojej mamy dotyczącej moich czapeczek we Lwowie. Szczęście to w jakimś sensie dar Boży, patrząc jednak ze swojej perspektywy, muszę powiedzieć, że szczęścia trzeba poszukiwać, dokonywać właściwych wyborów, na to szczęście trzeba też zapracować. Przy czym zawsze warto zachować prymat przyjaźni i miłości nad nienawiścią i wrogością, zapominać o niepowodzeniach oraz krzywdach. Pomaga mi w tym, nie naiwny, ale pełen zaufania stosunek do wszystkich ludzi i to bez wyjątku. Taka jest Gardzielowa filozofia. Ta filozofia szczęścia i towarzyszący jej optymizm przyświecały mi zatem, kiedy dość przypadkowo zacząłem opisywać zdarzenia, w których brałem bezpośredni udział lub byłem ich świadkiem. Prezentowane opowieści nie stanowią chronologicznego pamiętnika, nie są to też zbyt poważne dysputy trudnego czasu przełomu wieków, nazwałem je przeto „fidrygałkami”. Tego dziwnego słowa używała moja mama, gdy nieudolnie chciałem usprawiedliwić swoje szczeniackie występki. Mówiła wtedy:

– Co ty mi wciskasz jakieś fidrygałki!

Piszę moje fidrygałki i to pośpiesznie, bo jak mawiał George Bernard Shaw: „Im jestem starszy, tym lepiej pamiętam rzeczy, które nigdy się nie zdarzyły”.

Andrzej Gardzilewicz





Z mamą i siostrą w czapeczce,
która ratowała rodzinę

We Lwowie

Gdybym ja kiedyś urodzić się miał...

Urodziłem się w czasie wojny 14 września 1939 roku we Lwowie. Spadłem z nieba razem z bombami, jak później mówiło się w rodzinie. Za oknami trwało wówczas niemieckie bombardowanie bohaterskiego miasta. Tato poszedł na front, Polska się broniła, okupanci jeszcze nie ustalili między sobą granicy. Nic zatem dziwnego, że natychmiast po urodzeniu zostałem ochrzczony wodą w piwnicy Salusa, ówczesnego szpitala ginekologicznego. Niedługo potem prawdziwy chrzest, już ze świecą, powtórzono w zakrystii parafialnego kościoła św. Marii Magdaleny.

Z mamą i starszą siostrą Hanią, po przyjeździe z Zagórza, zamieszkivaliśmy wtedy w willi na ulicy Nabelaka 33, w której dziadkowie Jabłońscy zajmowali pierwsze piętro i dość duży pokój na poddaszu. W wojennym bałaganie okupanci nie zdążyli zmienić nazwy ulicy poświęconej bohaterowi powstania listopadowego.

Moje szczęście polegało na tym, że tych czasów praktycznie nie pamiętam. Jedynie z opowiadań rodzinnych znam historię wywiezienia na Sybir przez bolszewików w 1940 roku cici Hali Popielowej z mężem i trójką ich dzieci. Nie pamiętam oczywiście pogrzebu wujka Adasia Kostołowskiego, stryjskiego starosty, zakatowanego w więzieniu na Zamarstynowie przez enkawudzistów, którzy uciekali przed Niemcami ze Lwowa w 1941 roku. Jak przez mgłę odtwarzam niektóre fakty dotyczące ukraińskich pogromów mojej rodziny.

Nie zarejestrowałem też do końca, że w czterech pokojach willi przebywały wówczas z dziadkami nie tylko wszystkie córki: mama Wanda z nami, ciocia Musia oraz ciocia Stasia z mężem Sławkiem Doroszem i swoimi dziećmi, ale jeszcze wielu bliższych i dalszych członków rodziny. Tak było bezpieczniej, bolszewikom trudno było wywieść na Sybir z tego samego ukazu tyle osób o zupełnie różnych nazwiskach.

Mama dla bezpieczeństwa miała dodatkowo pisemne zaświadczenie, że mąż, lekarz, był garbaty i zginął w trakcie bombardowania Lwowa. Otrzymała je od doktora Rosenbuscha, polskiego Żyda, kolegi taty ze



Willa rodzinna we Lwowie na ulicy Nabelaka 33

studiów. Dopiero kiedy wyjaśniona została sprawa Katyńia, zrozumiałem, jakie to miało znaczenie. Z garbem ojciec nie mógł być oficerem i z tego zapewne powodu uniknęliśmy przymusowej deportacji. Po latach, już w Gdańsku, poznałem doktora Raszka, tego kolegę taty. Dla ratowania swego życia, jeszcze za okupacji rosyjskiej zmienił nazwisko.

Swoisty „kołchoz” utworzony w domu dziadków we Lwowie funkcjonował praktycznie przez całą okupację. Dzięki wiejskiemu zapleczu

rodziny taty nie głodowaliśmy. W domu prawie zawsze były: mąka, kasza, jaja, marmolada, warzywa, owoce i mleko, także to matczyne. Produkty preferowane obecnie przez dietetyków. Przed zimnem chronił nas doprowadzony do willi gaz, no i używana odzież, która – nawiasem mówiąc – była moją udręką. Ubrania nosiłem bowiem babskie po starszej siostrze lub z przeróbek ojcowskich garniturów, które były za duże i przeważnie gryzące. Jedynym moim lekarstwem był wówczas umieszczony na szyi woreczek z czosnkiem, dlatego zapewne przeszedłem bez szwanku wszystkie możliwe choroby zakaźne, z tyfusem włącznie.

Nie pamiętam jednak, aby w tych trudnych czasach ktokolwiek narzekał. Wszyscy sobie nawzajem pomagali, tworzyliśmy prawdziwie rodzinną atmosferę. I właśnie ta lwowska atmosfera była największym szczęściem mego dzieciństwa. Zostałem nią zarażony na całe życie. Oczywiście, sprzyjał jej przyjazny klimat miasta, zielen parków i przepiękna, stara architektura. Ale tę niezwykłą atmosferę tworzył przede wszystkim duch odwagi, przetrwania i solidarności mieszkańców Lwowa. Na tych od wieków niespokojnych kresach ludzie musieli przywyknąć do wojen. Świątowali zatem swe tryumfy, zapominając o klęskach, i cieszyli się życiem. Na terror odpowiadano dowcipem, który od maleńkości słyszałem też w rodzinnym



Koncert Chóru Haśło
w kościele Świętej
Marii Magdaleny

domu na Nabelaka, podsłuchując rozmów wujów Sławka i Kazika. Ta radość buchała nawet w śpiewnym akcencie lwowskiego bałakania. Lwowski optymizm wynikał też z faktu, że na Kresach sąsiedzi starali się unikać nienawiści. Żyli zatem w zgodzie biedni z bogatymi, Polacy z Rusinami, Rusini z Austriakami, Żydzi, Ormianie, a nawet Rosjanie i tamtejsi Niemcy. To pomieszanie było widoczne i w naszych rodzinach Gardzilewiczów, Jabłońskich, Schirmerów, Pawluków, Doroszów. O tym traktowała śpiewana od dzieciństwa popularna piosenka mojego Lwowa:

Wienc gdybym ja kiedyś urodzić się miał, tylku wy Lwowi...
Bo szkoda gadania i co chcesz, to mów, ni ma jak Lwów.
I bogacz i dziad tu som za pan brat i każdy ma uśmiech na twarzy,
A panny to ma słodziutki ten gród, jak sok, czykulada i mniód...

Wojna się skończyła. Nie z własnej woli musiałem opuścić to miasto. Gdy w 2003 roku znów zawitałem do Lwowa, odwiedziłem naszą willę i kościół św. Marii Magdaleny. Do mieszkania się nie dostałem, byłem za to w kościele, który obecnie pełni funkcję filharmonii. Koncertował tam Chór Haśło z Poznania. Odtwarzam to w pamięci, widzę pełną salę, dużo Polaków. Rozbrzmiewa pierwszy utwór: *Gaude, Mater Polonia*. Widownia powstaje z miejsc, cisza jak makiem zasiał. Ciesz się, Polsko! Rozpiera mnie radość i duma. Łzy lecą samowolnie. To był chyba mój trzeci chrzest.

Trzy czapeczki

– Mamo, jak było we Lwowie, gdy w trzydziestym dziewiątym roku weszli bolszewicy?

Tak rozpoczęła się jedna z moich ostatnich rozmów z matką przed jej śmiercią w 2002 roku.

– Strasznie, nie do opisania – zaczęła swoje wspomnienia.

Tym razem interesowały mnie nie tragiczne zdarzenia tej okupacji, ale skutki ekonomiczne.

– Pracowała tylko ciocia Musia jako urzędniczka – indagowałem.

– Nie tylko ona, bo jak weszli Sowieci, do roboty zagoniono wszystkich. Do tej pory nie wiem, na czym polegała moja praca, wieczne szkolenia polityczne, bezsensowne mityngi prowadzone bez ładu i składu. Pieniądzy tośmy nie widzieli, dostawaliśmy tylko kartki na żywność – mówiła mama.

– Zarabiałam pięćdziesiąt rubli miesięczne – dodała po namyśle ciocia Musia, prawie stuletnia siostra mamy, która podczas okupacji pracowała w Wydziale Finansowym Sowietu Miasta Lwowa, dawnej Izbie Skarbowej Magistratu.

– Mamo, co to było, co można było za to dostać?

– Nic synku.

– Jak to: nic?

– Ano nic, najważniejsze były twoje trzy czapeczki: biała, różowa, niebieska.

– Mamo, co ty pleciesz, co czapeczki miały wspólnego z sytuacją finansową rodziny?

– Mają, bo jak „oni” weszli, prawie wszystko było we Lwowie na kartki. Wszędzie stały kilometrowe kolejki po chleb, cukier, kaszę, mąkę, fasolę, nawet mydło. I wówczas okazało się, że w kolejkach są miejsca uprzywilejowane, zarezerwowane nie tylko dla sowieckich bohaterów rewolucji, weteranów wojny, przodowników pracy komunistycznej, ale też dla kobiet w wysoko zaawansowanej ciąży i z rocznym dzieckiem na ręku.

Zrozumiałem, jak ważną rolę odgrywałem w rodzinie. Urodziłem się przecież 14 września 1939 roku. Ustawiały się ze mną w kolejkach najpierw mama, potem jej dwie siostry, a kolor czapeczek eliminował podejrzenia zabronionych „powtórek”. Ciotka, doskonała księgowa, przypomniała:

– Wandeczko, a pamiętasz masło w pomarańczowym papierze? Ono nie było na kartki, kilogram kosztował dwadzieścia pięć rubli!

Most w Zaleszczykach

Zaleszczyki kojarzyły mi się zawsze z mostem, przez który przed Niemcami uciekał burżuazyjny rząd sanacyjny, pozostawiając na łaskę losu swój naród i żołnierzy. Na szczęście to kłamstwo krótko funkcjonowało w mojej świadomości. Prawdę odkryłem wówczas, gdy poznałem historię wojennej tułaczki ojca.

Tato, trzy dni przed moim urodzeniem, jako młody lekarz opuścił dom. W stopniu porucznika został wcielony do wojska. Krótko trwały przygotowania medycznego zaplecza polskiej armii w pobliżu Lwowa, które organizowano dla wycofujących się na Kresy żołnierzy. Już 17 września 1939 roku, po napadzie Armii Czerwonej, ojciec wraz z towarzyszami broni został zapakowany do wagonów kolejowych, które zmierzały w kierunku Rumunii. Na interwencję swego kolegi Wita Rzepeckiego, późniejszego profesora Akademii Medycznej w Krakowie, udało mu się przesiąść do karetki sanitarnej. Samochodem mijał zatem polską granicę po moście na Dniestrze już 18 lub 19 września. Ci z eszelonu do granicy nie dojechali. Dostali się do sowieckiej niewoli. Bolszewicy oddzielili wówczas oficerów rezerwy, jadących tym pociągiem i zamordowali w Katyniu, Starobielsku oraz w Charkowie. Ci, którym udało się wcześniej ewakuować do Rumunii i na Węgry, dotarli potem do Marsylii. Tam utworzyli polską dywizję, która już w 1940 roku razem z Francuzami stanęła do walki z Niemcami. Niestety na krótko. Po klęsce armii francuskiej udało się im przedostać do Szwajcarii, gdzie zostali internowani. Był wśród nich mój tato. Do Polski wrócił już po wojnie, zobaczyłem go pierwszy raz, gdy skończyłem sześć lat.

Most w Zaleszczykach dalej stoi na Dniestrze, Polaków już tam nie ma, nie ma Rumunów po drugiej stronie rzeki. Ich też stamtąd wypędzono.



Most w Zaleszczykach
przed wojną

Sowiecki, niemiecki, nie – Sobieski

Pierwsze zdarzenia, które utrwaliły się w mojej pamięci, dotyczą niemieckiej okupacji. Była jesień 1942 roku. Pod opieką trzech siostrzyczek: Wandy, Musi i Stasi, z moją siostrą Hanią i ciotecznym bratem Wojtkiem wybraliśmy się na spacer na stare miasto. Przechodząc wzdłuż Wałów Hetmańskich, niedaleko wspaniałej lwowskiej opery natrafiliśmy na pomnik wojownika na koniu. Stałem jak wryty i krzyknąłem:

- Mamo, kto to jest?
- Król Sobieski. – Usłyszałem. Byłem rozczarowany.
- Sowiecki? Chyba źle usłyszałem, mamo, naprawdę sowiecki?
- Ależ nie – ripostowała ciocia Musia.

W tym momencie starszy ode mnie Wojtek wypalił elokwentnie:

- Oczywiście nie sowiecki, a niemiecki.

Mama nie wytrzymała i z wiadomą sobie werwą zaciągnęła po lwowsku:

- Ale wy jesteście durni!

Te słowa w jej ustach nigdy nie były pejoratywne. Zakończyła naszą dyskusję:

– Przecież to największy polski król: Jan III Sobieski, zwycięzca Turków spod Wiednia.

Hetman koronny, obrońca polskich Kresów, stał przede mną i zwrócony na wschód, buławą wskazywał swoim huzarom kierunek ataku. To była moja pierwsza lekcja ojczyściej historii. Zapamiętałem ją na zawsze, tym bardziej że znalazł się wtedy w pobliżu z aparatem fotograficznym niemiecki oficer, który zrobił nam zdjęcie. Widząc naszą gromadkę, zakomunikował smutno, że też ma troje małych dzieci, a za kilka dni jedzie na front ukraiński. Teraz przesłane przez niego zdjęcie znajduje się w annałach rodziny, nie mam niestety informacji o jego autorze, który zapewne zginął. A król Jan III Sobieski stał się odtąd moim ulubionym monarchą, opuściliśmy go jednak w 1945 roku.

Jakież było moje zdumienie, gdy po latach ten wspaniały pomnik, dzieło polskiego Ormianina Tadeusza Barącza, został przeniesiony do Gdańska, w którym zamieszkaliśmy po wojnie. W 1965 roku stanął na Targu Drzewnym – jednym z bardziej reprezentacyjnych placów miasta, przed gdańską starówką. To był chichot historii. Przecież niedługo przed wybuchem wojny Niemcy, realizujący swą imperialistyczną politykę, postawili w tym miejscu pomnik niemieckim zwycięstwom, a teraz umieszczono tu naszego bohatera



Trzy siostry: Musia, Wanda, Stasia
i dzieci: Hania, Andrzej i Wojtek



Z wnuczką Basią pod pomnikiem
Sobieskiego w Gdańsku

Sobieskiego. By nie razić jednak „towarzyszy” radzieckich, mimo protestu licznych lwowiaków, króla Jana zwrócono twarzą w kierunku zachodnim.

Witałem wówczas pomnik słynnego wodza osobiście z tłumem lwowiaków i wujkiem Kazikiem, bratem mamy. Zwrócił nam wtedy uwagę, z baciarskim komentarzem, że sowievi gwizdnęli mosiężną tablicę z napisem: „Królowi Janowi III Sobieskiemu – w podzięcie mieszczanie Lwowa”. Tkwiła ona wcześniej na oryginalnym postumencie.

Los sprawił, że pomnik króla Jana stał się wkrótce w mieście centralnym punktem patriotycznych manifestacji. W trakcie takiej manifestacji, już w wolnej Polsce fotografię przed gdańskim pomnikiem polskiego króla, w towarzystwie wnuczki wykonał mi mój przyjaciel z Charkowa, profesor Siergiej Jerszow. Zdjęcie przesłał mi pocztą elektroniczną i napisał, uzupełniając moją historię, że we Lwowie na miejscu Sobieskiego nie stoi już pomnik Lenina, tylko ukraińskiego poety Tarasa Szewczenki, a nazwę Wały Hetmańskie zmieniono na aleję Swobody.

Świąteczna kartka

Jak opowiadała mama, tato 11 września 1939 roku poszedł na wojnę i słuch po nim zaginął. Do Lwowa bolszewicy wkroczyli już dwudziestego pierwszego i natychmiast zaczęli wprowadzać nowy, komuszy ład. Pocztą praktycznie przestała działać, zamarła korespondencja, mieszkańcom wyłączono telefony, zarekwirowano radia. Cenzurowana przez okupanta informacja przekazywana była drogą obwieszczeń i przez głośniki ustawione w centralnych punktach miasta. Sowieckie gazety były czytane tylko przez nielicznych.

Na Boże Narodzenie pocztą pantoflową mama otrzymała wiadomość od cioci Jabłońskiej z Krakowa, że tato żyje i został internowany w Budapeszcie, ale potem znowu zapadła długa cisza.

W czerwcu 1941 roku, po uderzeniu Niemców na Rosję, zmienili się okupanci. Tym razem lwowiacy poznali „deutsche Ordnung”. Urząd pocztowy ponownie został otwarty, a gazety wydawano po niemiecku. Zaczęły przychodzić listy dla Polaków, ale z ograniczeniami, które zależały od miejsca zamieszkania wysyłających. Dalej nie mieliśmy wiadomości od ojca. Późną

jesienią 1942 roku brat mamy, wujek Kazik, który pracował na politechnice, przyniósł do domu informację, że tato przedostał się do Francji i został dentystą w Drugiej Dywizji Strzelców Pieszych generała Prugara-Ketlinga. Po klęsce Armii Francuskiej, jeśli żyje, powinien przebywać w Bruggu w Szwajcarii, dokąd internowano wszystkich polskich żołnierzy.

Mama natychmiast postanowiła szukać kontaktu z tatą, co nie było takie proste. Załatwił to pracujący na poczcie wuj Sławek. Przyniósł on nieoficjalną wiadomość, że do Szwajcarii, która w trwającej wojnie zachowała neutralność, można wysłać kartki świąteczne z życzeniami, ale bez jakichkolwiek komentarzy i dodatkowych informacji.



Doktor Jan Szymonowicz i tato we Francji

Zaczęły się przygotowania do wysyłki, które dość dobrze zapamiętałem. Mama wzięła mnie z siostrą do fotografa, zrobiliśmy zdjęcie odświętne ubrani. Fotografia stała się kartką świąteczną, na której tuszem dopisano starym gotykiem „Froeliche Weihnachte”.

Na drugiej stronie dopisano tylko suche życzenia noworoczne – przesyłane przez Wandę z dziećmi, które trzeba było potwierdzić podpisem. Nie znając adresu, mój chrzestny, wuj Sławek Dorosz, napisał charakterystycznym dla siebie pismem: „Herrn Dr Gardzilewicz Piotr, Brugg, Zahnarzt” i na końcu z błędem: „Schweitz”.

Kartkę wysłano dopiero 9 stycznia 1943 roku, o czym zaświadcza data na znaczku. Korespondencja musiała w urzędzie przejść ostrą cenzurę, czego potwierdzeniem jest odbita na kartce pieczętka A8. Ojciec kartkę dostał mimo braku dokładnego adresu. Szwajcarska poczta była precyzyjna jak przysłowiowy zegarek. W Bruggu mieszkało co prawda kilka tysięcy ludzi, ale dentystów było już znacznie mniej. Domyślił się tato, że na zdjęciu są jego dzieci. Po moich spodniach poznał, że doczekał syna.

Fotografię jak talizman nosił na sercu w portfelu aż do listopada 1945 roku, kiedy to do nas szczęśliwie powrócił.



„Hrabia” – stryjek Zenek

Stryjka Zenka, który zamieszkał w czasie wojny w willi na Nabelaka, zanotowałem w pamięci, gdyż często się z nami bawił i żartował. Był najmłodszym synem nieżyjącego dziadka Józefa Gardzilewicza, polskiego gospodarza na Kresach. Zenka praca na roli nie pociągała. Mało, on jej od dziecka nienawidził, co zawsze podkreślał swym eleganckim ubiorem. Dlatego na wsi nazywano go powszechnie hrabią.

Zenek, podobnie jak mój tato Piotr, jego rodzony brat, chciał zostać lekarzem. Po zdaniu matury w 1937 roku nie dostał się jednak na studia medyczne, następnego roku zgłosił się do organizowanej wielkiej kampanii wojskowej. Armia polska odbijała wtedy Czechom Cieszyn, a ochotników do wojska przyjmowano potem na uniwersytety bez egzaminów.

Po skończonej kampanii zaczął studiować na polskim Uniwersytecie im. Jana Kazimierza, ale czasy, w których żył, wyraźnie mu nie sprzyjały. Gdy wybuchła wojna i Lwów zajęli Sowieci, aby dalej kontynuować naukę na tej samej uczelni, musiał zmienić obywatelstwo. Skorzystał z ukraińskiego pochodzenia matki.

Łatwiej mogłem dzięki temu zrozumieć tragikomiczną anegdotkę, opowiadaną potem przez profesora Roberta Szewalskiego o spotkaniu z Boyem-Żeleńskim. Na pytanie, co ten znakomity pisarz robił w 1939 roku we Lwowie, profesor usłyszał odpowiedź:

– Wykładałem na ukraińskim Uniwersytecie imienia Iwana Franko literaturę francuską po polsku, dla Żydów.

Polacy mogli wykładać, ale zabroniono im wtedy studiowania.

Gdy Niemcy wkroczyli do Lwowa, Boya, jak wiadomo, rozstrzelali, ale stryjek dalej studiował. Jego determinacja była godna podziwu, znów udało się mu załatwić stosowne papiery. Otworzono wówczas Uniwersytet Lemberg, zmieniono władze, zajęcia na medycynie prowadzono po niemiecku, który on znał dość dobrze. Lekarze na wojnie są zawsze potrzebni, nawet dla nieprzyjaciół. Część polskich profesorów, która uniknęła w 1941 roku planowej eksterminacji, mogła znowu wykładać.

Student Zenek mógł się dalej uczyć, ale – co dla nas było ważniejsze – raz w tygodniu jeździł na wieś. Z majątku Gardzilewiczów w Rożdżałowie dowoził dla lwowskiej rodziny niezbędne produkty żywnościowe. Najlepiej zapamiętałem mamalygę i słoninę, z której mama robiła pachnące skwarki. Często zaopatrzeniowe podróże stryjek odbywał piechotą,

czasem na przygodnych furach, ale zawsze wracał z plecakiem wypełnionym jedzeniem, przygotowanym starannie przez babcię, mamę taty. W czasie okupacji to nie było takie proste, wszystko podlegało ścisłej kontroli. Jak barwnie nam opowiadał, za tę nielegalną dostawę płacił zwykle samogonem i unikał dzięki temu aresztowania zarówno przez Rosjan, jak i potem przez Niemców.

Strykowi Zenkowi zawdzięczam także swą awersję do nikotyny. Gdy jako student, jeszcze we Lwowie, poczęstował mnie, małego dzieciaka cygarem, zwymiotowałem. On dostał wtedy od mojej mamy ścierką po głowie, ale ja nigdy w życiu nie wziąłem papierosa do ust, choć w Polsce kurzyli niemal wszyscy, bez wyjątku.

Zenkowi nie udało się ukończyć studiów we Lwowie. Gdy Ukraińcy spod znaku UPA zaczęli mordować Polaków, nie wytrzymał i z końcem 1943 roku uciekł do Generalnej Guberni, do Krosna. Dyplom lekarza uzyskał na uniwersytecie we Wrocławiu już po wojnie. Tam też w większości zostali repatriowani jego lwowscy nauczyciele, co potwierdza unikalny studencki indeks stryjka. Widnieją w nim nazwiska sławnych profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza: Bocheńskiego i Ostrowskiego.

Po studiach stryj został wcielony przymusowo do wojska. Aby zwolnić się z armii i pracować na ukojonej ginekologii, wstąpił do partii, chociaż był patologicznym wrogiem komunizmu. W końcu osiedlił się w Wągrowcu pod Poznaniem, z Wielkopolski bowiem wywodziła się rodzina jego żony Zosi. Czasy były niespokojne Zenek wierzył, że w tym miejscu, zgodnie z przepowiednią Wernyhory, nie dosięgnie go bomba atomowa...

Przez długie lata, niemal do śmierci, był ordynatorem na oddziale położniczym. W pracowitym życiu nadzorował i odebrał przyjsie na świat ponad dwóch tysięcy niemowląt. Gdy umarł, na cmentarzu żegnało go wiele wdzięcznych pacjentek.

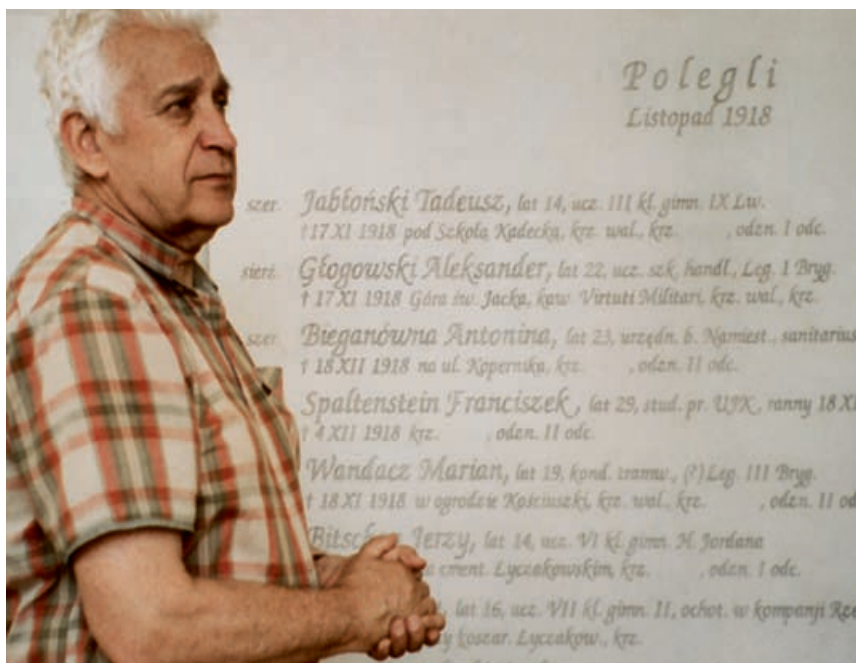


Zenek z córką Isią

Cmentarz Łyczakowski

– Musisz odwiedzić rodzinny grobowiec, zbudowany przez nestora rodziny Józefa Schirmera, prezesa Lwowskiej Izby Rzemieślniczej. Łatwo tam trafić, znajduje się koło grobu Marii Konopnickiej. I w katakumbach zapal świeczkę memu bratu Tadziovi, jednemu z najmłodszych Orłąt Lwowskich – przypominała mi ciocia Musia przed moim wyjazdem na Kresy w 2003 roku.

Grobowiec znalazłem łatwo. Pochowano w nim także wuja Kostołowskiego, zamordowanego w czasie wojny w 1941 roku, o czym informuje tablica wmurowana w latach osiemdziesiątych przez jego syna. Tablicy zmasakrowanego przez Ukraińców wuja Antoniego Wackermana już nie ma. Została zniszczona po wojnie. Znalazłem też grób Tadeusza Jabłońskiego, który jako czternastolatek poległ w wojnie z Ukraińcami w 1918 roku. Leży teraz w odbudowanych katakumbach Obrońców Lwowa. Stare zniszczono w 1971 roku, nowe zostały odrestaurowane dzięki staraniom niezmordowanego dyrektora Bobrowskiego i jego dzielnej załogi Energopolu



Przy katakumbach

Wrocław. Ci ludzie wykonywali tę pracę mimochodem, zatrudnieni przy budowie rurociągu gazowego...

Ale dla mnie szczególnym miejscem, które miałem w pamięci na Cmentarzu Łyczakowskim i chciałem odwiedzić, były groby powstańców polskich 1863 roku. Zaprowadziła mnie do nich nasza przewodniczka – pani Luda.

Mam zamknięte oczy, widzę w wyobraźni, jak mama ciągnie mnie i siostrę na wielką górę. Jest listopad 1944 roku, dzień Wszystkich Świętych, idziemy w tłumie. Pada mżawka, naokoło morze świeczek i znów słyszę pieśń, którą pamiętam od dzieciństwa:

Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud,
słuchaj, słuchaj, uczyń z nami cud...



Pomnik powstańców
styczniowych

Wypędzeni

Biało-czerwona flaga zawieszona przez Polaków na lwowskim ratuszu latem 1944 roku powiewała dość krótko. Tę flagę zobaczyłem ze strychu sąsiedniego domu przez lornetkę. Nie dane mi było wtedy oglądnąć jej z bliska, gdyż naszą wyprawę z mamą i siostrą na rynek Starego Miasta przerwało kolejne bombardowanie. Zaraz potem do Lwowa wkroczyła Armia Czerwona, która wówczas wsparła oddziały AK-owskie w walce z Niemcami. Po chwilowej odwilży do miasta wkroczyli enkawudziści, flagę zdjęli, wielu polskich partyzantów natychmiast wywieziono na Syberię. Terror był jednak mniejszy niż w 1939 roku, ale w domach ludzie dalej rozmawiali o przyszłości ściszoneym głosem.

Od taty nie mieliśmy nadal żadnych informacji. Z podsłuchanych rozmów dowiadywałem się o jałtańskiej zdradzie aliantów i zbliżającym się plebiscytem, który miał zadecydować o losach Lwowa. Coraz częściej powtarzano nieznane mi słowo „repatriacja”. Rodzina szykowała się do

wyjazdu w nieznaną, do nowej Polski, czego nie rozumiałem. Trwały dziwne rozmowy z Rosjanami, których do miasta ze wschodu najechało bez liku. Byli oni potencjalnymi nabywcami naszego dobytku na ulicy Nabelaka, mebli, obrazów, dywanów, ale nie mieszkania, ponieważ domy brali za darmo, zostały bowiem natychmiast znacjonalizowane przez komunistów. Codziennie biegaliśmy na rynek z drobiazgami, by je sprzedać, zdobyć pieniądze na bieżące wydatki. Brylowała tu pełna inwencji ciocia Stasia, która przygotowywała do sprzedaży różności, wyciągając z szuflad nawet do niczego niepotrzebne stare szpargały. I tak, wlewając słabą herbatkę do francuskich flaszeczek, sprzedawała ten specyfik Rosjankom jako oryginalne perfumy, a przyodzabiając nocne koszule koronkami i starymi kotylionami, zamieniała je na suknie balowe. W ręce nowych „grażdán” miasta poszły pudełka, lusterka, torebki, ale niestety i nasze ukochane zabawki. Straciłem siwego konia na biegunach, a Wojtek pożegnał się z jeszcze piękniejszym, karym. W domu trwało pakowanie, które organizował wuj Sławek, największy pedant w rodzinie. Do Polski wolno nam było zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, gdyż w wagonach nie było wiele miejsca.

Tylko najmłodszy brat mamy Kazik postanowił zostać we Lwowie aż do obiecywanego Polakom plebiscytu, co uważał za patriotyczny obowiązek. Popularny wujcio Kajcio wspomagał nas jednak, ile tylko mógł, naprawiał ruskim zegarki za karbowanice, jak zwano ruble. Dopiero wtedy w pełni zdyskontował zdobyty w Wiedniu dyplom zegarmistrzowskiego czeladnika. Zrabowane na wojnie „czasy” reperowali u niego przeważnie ranni na froncie krasnoarmiejcy, którzy w szpitalnych łóżkach okupowali lwowski rynek od rana do wieczora. Czasem też wuj wymieniał z nimi zdobyty na wsi samogon na tuszonkę – jej smak pamiętam do dzisiaj.

Na przełomie września i października zapakowano nas na dworcu towarowym do bydłowych wagonów, którymi mieliśmy opuścić miasto. Dopiero wtedy zrozumiałem, co oznacza repatriacja. Nas po prostu wypędzano. Zawsze odważna babcia Maria Jabłońska, która na tym dworcu była obecna wcześniej przy wywózce krewnych na Sybir, uważała, że tym razem warunki do jazdy uległy znacznej poprawie.

Podstawiono „lepsze” wagony, porządku pilnowały służby, ludzi nie poganiano. Jako rekonwalescent po tyfusie dostałem legowisko na materacach. Na świat mogłem patrzeć przez szczelinę w deskach wagonu. Po przeciwnej stronie leżał dwuletni Jędrus, brat Wojtka, ale inni mieli znacznie gorzej. Panował tłok, każdy zabierał przecież dodatkowo, co tylko mógł

przemycić, a w pociągu trzeba było zmieścić kuchnię i prowizoryczny klozet.

Wypędzeni ze Lwowa, dopiero po dwóch tygodniach dojechaliśmy do Krakowa. Dzieci z babcią zatrzymały się wówczas u rodziny. Pozostali z bagażami, zgodnie z „rozpiską” Państwowego Urzędu Repatriacyjnego pojechali dalej na tak zwane Ziemie Odzyskane od Niemców. Na końcu wszyscy dotarliśmy do Miastka, naszego miejsca przeznaczenia. Pamiętam, panowała piękna jesienna pogoda. Miasteczko było puste, zniszczone, dziwnie wyglądała ta nowa odzyskana Polska.

Po naszym wyjeździe ze Lwowa repatriację coraz bardziej utrudniano. Wuj Kazik, który nie doczekał plebiscytu, opuszczał Lwów w 1946 roku. Ledwo zmieścił się w wagonie, a wcześniej był już dokumentnie rewidowany. Jego transport skierowano na Dolny Śląsk.

Największe kłopoty z przyjazdem miała rodzina stryja Władka, która została ściągnięta do Polski dopiero ostatnim transportem. Stryj, jeszcze w 1943 roku, gdy Ukraińcy zaczęli mordować Polaków, uciekł ze wsi do Lwowa. Potem dostał się do Łańcuta, który po wojnie znalazł się po polskiej stronie. Jego żona Paulina, Rusinka z pochodzenia, została razem z czwórką dzieci w ukraińskim Rożdżałowie. Mimo że mieli polskie obywatelstwo, stryj długo musiał walczyć o ich przyjazd, co ostatecznie załatwił przez Czerwony Krzyż. A oni, jadąc w końcu do kraju, jeszcze przed nowo utworzoną granicą przeżyli napad rabunkowy. Ukraińscy bandyci odczepili wówczas ze składu wagon obity blachą, w którym ponoć wyjeżdżający Żydzi wieźli skarby. Wszyscy uciekli z transportu w popłochu i ukryli się w lesie. Stryjenka Paulina, która w czasie wojny straciła nogę, tylko dzięki przytomności czternastoletniej córki Zeni zdążyła wsiąść do ruszającego pociągu. Zenia dobiegła na sygnał kolejarzy, obwieszczający ponowny odjazd w ostatniej chwili i ściągnęła konieczną dla mamy pomoc. Paulinę, będącą u kresu sił, do wagonu zaniesiono na rękach. Szczęśliwie wszyscy dotarli do Miastka i tam się osiedlili.



Zenia tuż przed
wybuchem wojny

Lata szkolne

Granda spóła

Do szkoły poszedłem 1 września 1945 roku jeszcze we Lwowie. Strasznie się tego bałem, gdyż nie znałem języka rosyjskiego. Na szczęście w dawnej parafialnej szkole Świętej Marii Magdaleny mówiło się po polsku. Uczęszczałem tam z siostrą zaledwie kilka dni, bo wkrótce dostaliśmy zawiadomienie o naszym wymuszonym transporcie do Polski. Potem tylko kilka miesięcy uczyłem się w Miastku. Nie przebywaliśmy tam długo, ponieważ gdy wrócił tato ze Szwajcarii, zaraz po świętach wielkanocnych 1946 roku przeprowadziliśmy się do Gdańska. W tym mieście spędziłem już wszystkie moje szkolne lata.

Zamieszkaliśmy w niezniszczonej kamienicy przy ulicy Śluza 12. Przerwaną naukę kontynuowałem w Szkole Podstawowej nr 3, która stała naprzeciw naszego nowego lokum.

Przyjmowała mnie pani Jarosława Skulska, która potem pozostała moją ukochaną wychowawczynią. W klasie zameldowałem się jako czterdziesty dziewiąty z kolei, a chodzili wówczas ze mną w większości repatrianci ze wschodu, autochtoni, jak nazywano mieszkańców Wolnego Miasta, i Kaszubi. Obok Kresowiaków Rozmarynowskiego, Traczyńskiego, Korzeniowskiego, Rymszy, Purola, byli miejscowi: rodzeństwa Grothów, Glassów, Radtke, Twardowski. Ci ostatni pochodzący w większości z małżeństw polsko-niemieckich żyli w ciągłej traumie, nie mogli zapomnieć gehenny hitlerowskiej okupacji i rosyjskiego wyzwolenia. Jak podają obecnie historycy, w Gdańsku zginęło wówczas kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Pierwszy, który mnie wtedy przywitał, był Romek Twardowski – od razu dostałem szturchańca i propozycję zagrania w stałówki. Oczywiście przegrałem, zapłaciłem frycowe, a on w zamian objaśnił mi, jaka jest hierarchia klasowa. Przyszło mi siedzieć w jednej ławce z Adamem Zaunarem. Adam był z rodziny ewangelickiej, ale po latach odkrył też swe korzenie żydowskie. Należał do największych zawadiaków i stał się moim pierwszym obrońcą. Miałem przecież wtedy zaledwie sześć lat, a najstarszy Kaszub Redwanc, który wrócił z niemieckiego lagru, skończył już jedenaście.



Pani Jarosława Skulska z drugą klasą przed szkołą, 1946
(w tle na murze napis „3 × NIE” w sprzecznię władzy)

Nie było mi lekko, koledzy szybko wyczuli, że nie mam dobrego proletariackiego pochodzenia i dostałem lekceważący pseudonim „Pańskie Jajko”. Przychodziłem przecież do szkoły umyty, porządnie ubrany, z nowym tornistrem, a oni w starych łałach nosili płócienne torby. Pończochy mieli na gumkach ze słoikowych weków, ja zakładałem wtedy babskie podwiązki. Większość z nich na wiosnę chodziła na bosaka, bez obuwia, ja nosiłem meszty, jak po lwowsku zwano moje półbuciki.

Za wszelką cenę starałem się jednak zbliżyć do tych „batiarów”, jak ich nazywała mama. Wejść w ich krąg, bawić się z nimi w gruzach, grać w pieniądze, cymbergaja, klipę czy palanta. Oczywiście pozwalałem im odpisywać lekcje, korzystali z moich podpowiedzi, ale to było ciągle za mało. Sytuacji nie poprawiła nawet kupiona przez tatę prawdziwa skórzana piłka, którą wtedy z premedytacją rozjechał przygodny kierowca auta. Tej piłki nie potrafił porządnie zreperować Grzemski, szewc mieszkający nad nami na czwartym piętrze. Po każdym kolejnym szyciu wychodziło fatalne jajo. Ratunkiem okazały się moje drugie śniadania, które mama codziennie

wkładała mi do tornistra. Otóż tymi kanapkami zacząłem się dzielić, a one często były przekładane szynką, kielbasą. Mama się cieszyła, że wszystko zjadałem, ale kanapek dla moich starszych kolegów stale było za mało. Wtedy zaproponowali mi dość perfidną grę: kto pierwszy na przerwie złapał mnie za rękę i krzyknął „Granda spóła!”, z tym musiałem się dzielić po połowie. Oczywiście najszybciej doskakiwali do mnie nie tyle najgłodniejsi, co najsilniejsi. Mama szybko się w tym zorientowała i za jej zgodą żarciem dzieliłem się z towarzyszami moich zabaw i to nie tylko w szkole. Tato był przecież lekarzem, jedzenia, które wtedy było równowarte z pieniędzmi, w naszym domu nigdy nie brakowało. Dzięki temu przekupstwem stałem się szanowany nie tylko w szkole, ale i na podwórku. Najbardziej cenione były mamine amoniaczki, wypiekane ciasteczka, które wynosiłem na dwór jeszcze ciepłe.

Z czasem ku memu zadowoleniu zmieniono mi przezwisko na „Dźul”, kiedy skutecznie wyjaśniłem kolegom, czym jest ciepły równoważnik pracy mechanicznej, dawno temu odkryty przez francuskiego uczonego Joule’a. Nie wiedziałem, że po latach to jedno z najciekawszych doświadczeń fizyki stanie się moim zawodowym przesłaniem.

W poszukiwaniu złota

Moja edukacja w szkole powszechnej prowadzona była starannie, w większości przez nauczycieli z przedwojenną klasą. Nasza wychowawczyni, pani Skulska, uczyła nie tylko polskiego, ale też zasad postępowania w życiu. Pan Urbański, obok nauczania fizyki, prowadził szkolny chór. Znakomita matematyczka, malutka pani Lewakowska, prostymi zadaniami wdrażała też tajniki ekonomii. Jej mąż, kierownik szkoły, zanim przeszedł do drugiego gimnazjum, wykładał nam historię świata opierając się na swoim starym księgozbiore. Niepotrzebny nam był przetłumaczony z języka rosyjskiego podręcznik z historii niejakiego Jefimowa, zatwierdzony wtedy oficjalnie w ministerstwie oświaty.

Na szczęście tylko na krótko zawitał do szkoły nasłany przez partię niejaki Fojtuch – ksiądz patriota. Odszedł w niesławie, gdy się okazało, że wcześniej był żonaty. Natychmiast do grona nauczycieli dołączył ubek Witwicki, wszak ludowa władza nie mogła tolerować braku kontroli. Ten tajny pracownik bezpieczeństwa miał pilnować w szkole proletariackiego

porządku, a ponieważ intelektualnie nie dorastał do moich wychowawców, przyszło mu uczyć WF-u. Był garbaty i niesprawny, stał się zatem szybko pośmiewiskiem uczniów, za co w rewanżu obniżał oceny z gimnastyki i zachowania. Oceny te stały się powodem szczeniackiego buntu. Na andrzejki 1951 roku rozrzučiliśmy w szkole wydrukowane ulotki z napisem: „Precz z garbusem Witwickim, na WF-ie chcemy grać w dwa ognie, a nie słuchać propagandy”. Wykorzystaliśmy do tego drukarenkę, którą na imieniny dostał nasz szkolny kolega Andrzej Grabusiewicz, syn prezesa gdańskich kominiarzy. Do naszych ulotek dorzucone zostały inne, na których zamiast Witwickiego figurował Stalin, a garbusa zmieniono na kata demokracji. Ta prowokacja była powodem, że w nocy ekipy bezpieki wkroczyły do kilkudziesięciu mieszkań Dolnego Miasta w poszukiwaniu wrogów rewolucji. Oficjalnie szukano drukarenki, ale szczegółowe rewizje dotyczyły także poszukiwania złota i dolarów. W tym czasie rządowym dekretem ustalono bowiem, że takie majątkości należało „korzystnie” odsprzedać państwu. Do naszego domu załomotali po północy. Wszyscy z przerażeniem wyskoczyli z łóżek.

– Otwierać, Urząd Bezpieczeństwa, w sprawie syna!

Tak odpowiedzieli tacie na pytanie: kto tam?

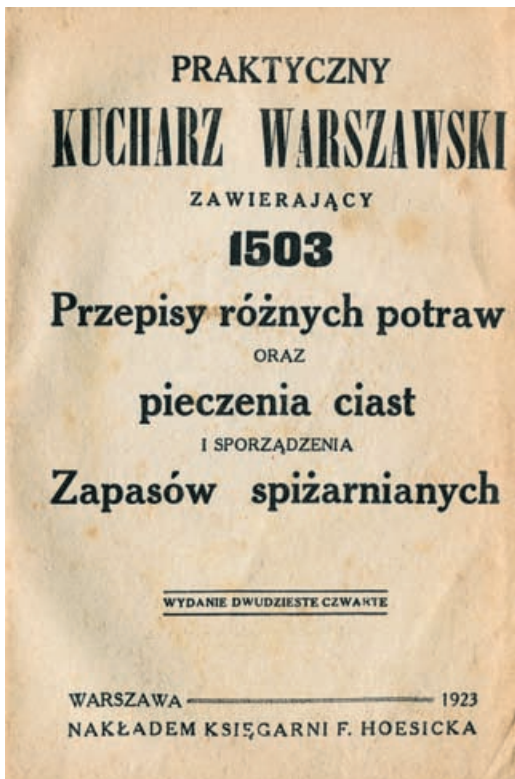
Jeden z przybyłych zaraz zaczął mnie przesłuchiwać, potem zaś mieszkającego z nami kuzyna Józia, który chodził o klasę niżej. Pozostali ubecy zaczęli rewidować dom, metodycznie, po kolei. Na szczęście nic nie znaleźli, w tym także dobrze ukrytego przez rodziców złota. Z przeszukania szafy, gdzie babcia trzymała pamiątki po swym poległym synu, obrońcy Lwowa z 1918 roku, na jej usilną prośbę zrezygnowali.

Zabrano nas na Okopową. W tym dawnym gmachu Gestapo zebrał się wówczas spory tłumek uczniów razem z rodzicami. Zaczęły się nowe przesłuchania. Tato nie wytrzymał, wściekł się i zaczął krzyżeć:

– Mam rano poważne operacje, a wy tu zawracacie mi głowę głupstwami!

Zrobił się szum. Ojca wezwano do oficera wyższej szarży i o dziwo, zaraz poszliśmy do domu. Inni mieli mniej szczęścia, niektórych moich kolegów nawet pobito.

Nasz protest zamieniono na walkę polityczną z władzą ludową. Drukarenkę znaleziono i zarekwirovano. Z niektórych mieszkań ubecy zwinęli też majątkości, o czym mówiono tylko po cichu. Ale wstrętny Garbus do szkoły już nie wrócił. Niestety, zdenerwowana babcia po rewizji spaliła „trefne dokumenty”, te po bohaterskim Orlątku Tadziku Jabłońskim.



Jego płaszcz wojskowy zakopany przez tatę w piwnicy, stale podtapianej wodą, uległ całkowitemu zniszczeniu.

Znacznie skuteczniejsi od ubeków w poszukiwaniu złota okazali się miejscowi złodzieje, którzy kilka lat później obrobili mieszkanie podczas naszej nieobecności. Weszli po kręconych schodach z tyłu domu i przez lufcik dostali się do środka. Spłoszeni, nie zdążyli zabrać wszystkich precjozów. Jakież było zdumienie mamy, gdy po latach jeden z nich pojawił się u niej w domu. Ukłonił się pięknie i powiedział:

– Pani Gardzilewiczowa, to ja byłem jednym ze złodziei. Całe życie miałem wyrzuty sumienia, bo doktor leczył moją żonę. Ona już zmarła, teraz często mi się śni i zawsze powtarza, bym panią prze-

prosił, co zrabowane oddał. Przeto przepraszam, złota już nie mam, została mi tylko książka kucharska, którą wtedy gwizdnąłem, a dzisiaj ją oddaję. Mama mu przebaczyła, odzyskana książka była cennym prezentem ślubnym od siostry Musi.

Imprezy masowe

Kilka lat po wojnie wydawać się mogło, że komuniści w Polsce zatrzymowali, ale był to tryumf pozorny. W rodzinach panowało swoiste rozdzielenie jaźni, co innego mówiło się w domu, co innego w kościele, a jeszcze co innego w szkole, czy w pracy. Tak zwana władza ludowa zdawała sobie z tego sprawę i w różny sposób starała się przeciągnąć ludzi na swoją stronę, w szczególności młodzież. Brutalna niegdyś indoktrynacja

przybrała bardziej przyjazny charakter. Organizowano już nie tylko propagandowe pochody pierwszomajowe, październikowe capstrzyki, urodzinowe akademie na cześć generalissimusa Stalina, ale także towarzyskie imprezy. Na zabawach z okazji Dnia Milicjanta, Stoczniewca czy Nauczyciela zebranemu licznie „pospólstwu” rzucano talony, kiełbaski, łakocie, piwo, a nawet pomarańcze.

Wkrótce imprezy masowe wkroczyły też do sportu, dziedziny życia, która wydawała się wtedy swoistą enklawą, nieczułą na zakusy polityków. Gra w piłkę, bieganie, pływanie było dla wielu ucieczką w świat normalności. Imprezami, które wprowadzono do sportu na masową skalę

były biegi narodowe wiosną oraz marsze jesienne. Powiązano je ze świętem pracy i rocznicą rewolucji październikowej. Był to pomysł nawet nie głupi, ale wtedy, czego nie dotknęli propagandziści, zawsze wychodziło na opak.

Zawody odbywały się obowiązkowo w niedzielę rano, kiedy większość Polaków po sześciu dniach pracy szła do kościoła. W reprezentacyjnych miejscach ustawiano trybuny upstrzone propagandowymi napisami, na których gloryfikowano przyjaźń polsko-radziecką i zaciekle atakowano imperializm amerykański. Przez skrzypiące głośniki dobywały się dźwięki rewolucyjnych melodii. Do startu zaganiano nie tylko uczniów ze szkół, ale i młodzież pracującą. Większość nie była przygotowana do wysiłku, na trasach wielu słabło, dochodziło do omdleń – dziwne, bo dotyczyło to w szczególności aktywistów komunistycznych...

Do dziś pamiętam swój udział w takiej szopce. Były to marsze jesienią 1951 roku. Dopuszczono mnie do zawodów warunkowo, gdyż nie miałem ukończonych czternastu lat. Start na dystansie dziesięciu kilometrów zaplanowano koło ruin kościoła Świętej Barbary na ulicy Elbląskiej. Maszerowaliśmy wzdłuż Miałkiego Szlaku do krzyża w Rudnikach i z powrotem.



Biegacze sztafety na trasie Gdynia-Gdańsk

Starsi nadawali tempo, w końcu zaczęłam gwałtownie słabnąć, koledzy chwycili mnie pod ręce. Na wysokości ulicy Skotnickiej podbiegł do mnie starszy pan, wyjął z kieszeni białą chusteczkę i powiedział:

– Synu, włóż ją do buzi, to ci pomoże. Nie pomogło, na metę wpadłem ostatni, bez tchu. Jak przez mgłę dostrzegłem wujcia Sławka krzyczącego:

– Co za dureń włożył dziecku chustkę do gęby!

O wszystkim opowiedziałem tacie, pytając, czy ten pan był wrogiem klasowym. Nie dostałem wiążącej odpowiedzi. W tym dniu jednak długo nie mogłem zasnąć.

Po latach w Biegach Narodowych poszło mi zdecydowanie lepiej. Byłem dobrze przygotowany, trenowaliśmy wtedy wszyscy na pętli wokół Motławy. To była ulubiona trasa Jana Kielasa, olimpijczyka z Helsinek, następcy wielkiego Kusocińskiego. Dzieciaki biegały tam często za nim, wrzeszcząc wniebogłosy „Kielas, Kielas!” i ten okrzyk można było słyszeć w Dolnym Mieście długo potem, nawet wtedy, gdy pan Jan już przestał biegać.

Na wytyczonym dokładnie odcinku przy gimnazjum na Siennickiej, w biegu na tysiąc metrów, przybiegłem na drugiej pozycji za najlepszym w szkole Benkiem Jagielnickim w świetnym czasie, który do tej pory dokładnie pamiętam: dwie minuty, czterdzieści dziewięć sekund, sześć setnych. Jakież było moje zdziwienie, gdy w ostatniej serii zwycięzcy przebiegli ten dystans poniżej dwóch minut, a więc lepiej od rekordu świata! Jak się okazało, skrócili sobie drogę przez gruzy. Komendant zawodów, profesor Buliński, wpadł we wściekłość, ale skandalu nie zrobił. Dodał im po minucie i podpisał protokoły. Pozostałem na drugiej pozycji.

Po 1956 roku komuniści odpuścili jeszcze bardziej. W sporcie propagandowe marsze i biegi zostały zastąpione profesjonalnie przygotowanymi zawodami, co szczególnie dotyczyło lekkoatletyki. Pojawiły się w kraju talenty najwyższej klasy, na olimpiadach notowaliśmy coraz więcej sukcesów. Zasłynęła na świecie polska szkoła biegania Jana Mulaka. Po medale sięgali: Krzyszkowiak, Chromik, Zimny i wśród nich też nasz kolega Leszek Boguszewicz. Kiedy zatem w corocznie organizowanym biegu Gdynia–Gdańsk, zabrakło w gwardyjskiej sztafecie kilku biegaczy, to natychmiast zgłosiłem swe uczestnictwo. Miałem do tego prawo, ponieważ w Gwardii zacząłem już grać w piłkę ręczną, a bieg stale mnie pasjonował. W tej sztafecie przyszło mi biegać na Grunwaldzkiej we Wrzeszczu, na wysokości Technikum Budowlanego. Mój odcinek, zamiast ustalonego kilometra, był półtora razy dłuższy. Nie wiedziałem o tym,

zaczęłam zbyt ostro. Po chwili padałem ze zmęczenia, ale dotrwałem do końca, nie mogłem zrobić wstydu idolom z młodości – olimpijczykom Kielasowi i Łomowskiemu, którzy asekurowali mnie, jadąc na motorze. Byłem dumny, że ich nie zawiodłem. Nasza sztafeta zajęła zaszczytne trzecie miejsce.

Trójka klasowa

Tato po przyjeździe do Gdańska był pełen optymizmu. Od rodziny wiedział, że nasza demokracja będzie ludowa, inna niż przed wojną, ale mu to nie przeszkadzało, spokojnie czekał na wybory. Przecież w jego ukochanej Szwajcarii o swe prawa wyborcze zabiegały dopiero kobiety. Rozczarowanie przyszło szybko, po pamiętnym sfałszowanym referendum „3 × TAK” w 1946 roku. W Polsce wzmógł się wtedy czas terroru. Ojciec miał chłopską naturę, zamknął się w sobie, rzucił w wir pracy i w niej szukał satysfakcji.

Wybory w PRL-u były głosowaniem na jedną i jedynie słuszną listę, ustalaną przez komunistyczną partię. Co ciekawe, do głosowania angażowano także młodzież, czego doświadczyłem osobiście. W gimnazjum tworzone tak zwane trójki klasowe, które miały pomagać komisjom wyborczym. Byliśmy wysyłani do „opornych” już popołudniu, aby przypomnieć im o obywatelskim obowiązku głosowania.

Była jesień 1952 roku. Moja trójka dostała adres na Łąkowej, gdzie mieszkał jeden z takich niesubordynowanych. Wszyscy wiedzieli, że był AK-owcem, który wiele przeżył. Mimo podeszłego wieku chodził zawsze wyprostowany, w perfekcyjnie wyczyszczonych oficerkach. Zapukaliśmy do drzwi, zza których usłyszeliśmy szorstki głos:

– Kto tam?

Odpowiedzieliśmy chórem:

– Trójka klasowa, przypominamy o wyborach.

Odsunął się wziernik, zazgrzytał łańcuch. Przed nami stanął starszy pan w szlafroku, z siateczką na głowie. Wymachując trzymaną w rękę laską, ruszył na nas, krzycząc:

– A wypier... mi pachółki komusze!

Złożyliśmy stosowne sprawozdanie. Odbierająca je pani lakonicznie stwierdziła:

– To był zapewne wróg klasowy.

Ale starszy pan wzbudził w nas jeszcze większy szacunek.

Wkrótce nastał czas pewnej stabilizacji. Do głosowania zaczęło chodzić coraz więcej ludzi. Niepotrzebny już był terror, wystarczały obietnice: przydziału mieszkania, stu pięćdziesięciu dolarów na wyjazd zagraniczny, pozyskania talonu na lodówkę, telewizor czy samochód. Do komunistów na listach Frontu Jedności Narodu zaczęto dopisywać w znikomej liczbie członków partii stowarzyszonych, a nawet bezpartyjnych.

Taką propozycję dostał też tato w latach sześćdziesiątych, o czym zawiadomił mamę.

– Czyś ty zdurniał? – Usłyszał w odpowiedzi.

– Operuję, kieruję wielkim szpitalem, wszystkiego mi brakuje, jak zostanę radnym, będę miał lepszy dostęp do tych, co rządzą i rozdzielają pieniądze.

Dla usprawiedliwienia swojej decyzji zwrócił się do mnie:

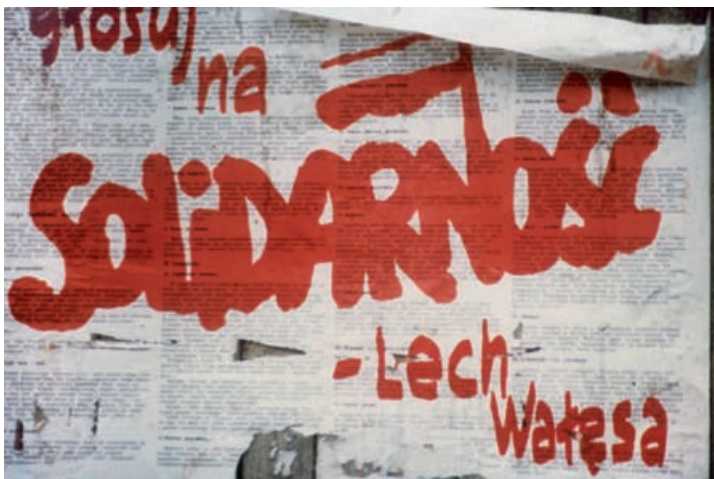
– Synu, zgłoś się do komisji wyborczej, sprawdzisz, jak teraz ludzie głosują.

Do komisji zgłosiłem się nie tylko sam. Dołączyli do mnie koledzy z Instytutu, oczywiście bezpartyjni: Tadek Jankowski i Jacek Święch. Wszystkich nas przyjęto. Dostaliśmy osiemnaście złotych diety, zupę, drugie danie i kompot z kotła. W trzech różnych dzielnicach Gdańska mogliśmy się przekonać, jak potulnie głosowała większość wyborców, zanotowaliśmy osiemdziesięcioprocentową frekwencję. Komuniści dopiero na wyższych szczeblach komisji wyborczych fałszowali wyniki, gdyż – jak pisała prasa – do urn szło dziewięćdziesiąt dwa – dziewięćdziesiąt pięć procent ludności. Tato nie mógł być lepszy od Bejma, pierwszego sekretarza PZPR. Ale i tak Polska była najgorsza wśród krajów demokracji ludowej, w NRD i na Kubie głosowało niemal sto procent mieszkańców.

Nawiasem mówiąc, głosowałem metodą lwowsko-wileńską. Wchodziłem do kabiny, do urny wrzucałem pustą kopertę, a wyciągniętą kartkę cho- wałem głęboko do kieszeni, by później oddać głos w domowym klozecie. Do kabin jednak mało kto wchodził, a głosowanie bez skreśleń popierał nawet Kościół.

Teraz w wolnej Polsce o tym się zapomina. Wszyscy uważają, że na wybory wtedy nie chodzili i dzielnie walczyli o sprawiedliwą Polskę. Także do członkostwa w komunistycznej partii prawie nikt się już nie przyznaje.

Gdy przed wyborami prezydenckimi w 2010 roku przeprowadziłem test wśród studentów Politechniki, ilu ludzi głosowało w czasach PRL-owskiej stabilizacji, usłyszałem w odpowiedzi: trzydzieści–czterdzieści procent. Sądzi- li



Plakat wyborczy
z 1989 roku

zapewne po sobie, bo dziś wielu z młodych, póki co nie korzysta z prawa wyborczego. Starszych głosuje też niewiele więcej, chociaż po obradach Okrągłego Stołu do urn w 1989 roku poszły tłumy, by poprzeć Solidarność, której uosobieniem był wtedy jej legendarny przywódca Lech Wałęsa.

Taka obojętność wydaje się być bardzo groźna dla umacniającej się polskiej demokracji. Na listy wyborcze pcha się coraz więcej populistów, cyników i różnej maści „artystów”, obiecując społeczeństwu złote góry. Swoją krytyką burzą autorytety, przekreślają podziwiane nasze niebagatelne osiągnięcia, z których przecież powinniśmy być dumni. Niektórych to przeraża, ale życie nie zna pustki, wydaje się, że kończy się tradycyjny model uprawiania polityki na świecie. Do gry, obok niezadowolonych mal-kontentów, zaczyna wchodzić nowe pokolenie: internetu, komputeryzacji, sztucznej inteligencji. To do nich będzie należała przyszłość, można im co najwyżej przypominać, że dobrobytu nie osiąga się pustym gadaniem, a patriotyzm w czasie pokoju to sumienna praca i płacenie podatków.

Pierwsza miłość

Był rok 1954. W ciemnym korytarzu koło mojej klasy wyszła z naprzeciwka dziewczyna. Błyszczały jej brązowe oczy, warkocz sięgały kolan. Stałem jak zamurowany.

To była Basia, moja młodzieńcza miłość. Chodziła klasę niżej, dotąd jej nie zauważałem. Wpadłem w stan zauroczenia. Próbowałem nieśmiało się



Basia (druga od lewej)

do niej „podwalać”, jak wtedy powszechnie mówiło się o próbach zdobywania wybranki. Ale ona była zimna i wyniosła, nie odpowiadała na moje powłóczyste spojrzenia. Mieszkała na Olszynie, czekałem na rogu ulicy, gdy szła do szkoły, nie miałem jednak śmiałości, by do niej podejść. Na szkolnych zabawach wyraźnie mnie unikała, tańczyłem z nią zaledwie kilka razy, trema nie pozwalała mi zacząć jakiegokolwiek rozmowy.

Miała trudności w matematyce, bliskie mi koleżanki próbowały namówić ją na moją pomoc, ale też bez skutku. Zacząłem wtedy z zapalem trenować piłkę ręczną, ale jej nie interesowały moje sportowe sukcesy. Ten stan swoistego amoku trwał dwa lata, ale śniłem o niej dłużej. Moja platoniczna miłość się skończyła, gdy zostałem studentem i wyprowadziłem się na zawsze z Dolnego Miasta.

Basia wkrótce po maturze wyszła za mąż. Jej wybrańcem stał się starszy kolega z naszej Szóstki. Została panią Świstak, do dziś pamiętam nazwisko jej późniejszego

partnera. Wyjechała i zamieszkała w Kołobrzegu. Od tego czasu nie spotkałem jej już nigdy więcej.

Aniołek

Profesor Eugeniusz Andrzejewski, popularnie zwany przez nas Aniołkiem, uczył mnie w VI Gimnazjum na Siennickiej. Ten znakomity nauczyciel wykładał geografię nie tylko teoretycznie na lekcjach, ale i praktycznie na licznych organizowanych przez siebie wycieczkach krajoznawczych. Był bardzo wymagający, niemal wszyscy jednak go lubili. Do dziś pamiętam, jak w klasie wywoływał do mapy przerażonego delikwenta i pytał:

– Aniołku (stąd przydomek), wylicz nam prawe dopływy Wisły. Gdzie w Ameryce leży Popocatepetl? Dlaczego wyginęły diplodoki, plezjozaury?

I nie było usprawiedliwienia dla nieuctwa, bo mimo braku podręczników, każdy mógł wiadomości uzupełnić w doskonale zaopatrzonym gabinecie geograficznym, dumie profesora.

Jeszcze przed moją maturą Aniołek w ramach budowy elitarnych szkół w Gdańsku został przeniesiony do Jedyńki, ale ja dalej wyjeżdżałem z nim na interesujące eskapady. Zapisalem się do kółka geograficznego, które prowadził przez lata w Młodzieżowym Domu Kultury na Uphagena we Wrzeszczu. W trudnych powojennych latach opowiadał nam o wspaniałym świecie, ale wycieczki organizował tylko po Polsce. Zagranica była wówczas niedostępna. Zwiedzaliśmy Warszawę, Kraków, Poznań, byliśmy w Tatrach, Sudetach, Beskidach. Wędrowaliśmy pieszo, jeździliśmy rowerami po Kaszubach i szusowaliśmy w górach, nawet z legendarnego Kasprowego.

W mej pamięci utrwalił się szczególnie spływ kajakowy Wisłą, od źródeł rzeki do morza. Byłem dumny, że zostałem jednym jego z dwudziestu uczestników. Aniołek na tę ekstremalnie trudną wyprawę nie wziął żadnej dziewczyny, nawet ukochanej żony, która w tym czasie była moją szkolną wychowawczynią. Płynęli za to z nami, obok szkolnych prymusów z dobrych domów, drugorocznicy, wyrosnięte żuliki także z patologicznych rodzin. Najstarsi – Arkadek Kaczyński i Jurek Rajewicz, którzy znali twarde życie, mieli zapewnić nam bezpieczeństwo na trasie.

To były zupełnie inne czasy, brakowało wszystkiego. Na początku należało zorganizować sprzęt. Dzięki swoim chodom Aniołek zdobył dziesięć kajaków, które w skutniczej pracowni MDK trzeba było przygotować do wyprawy. Zapewne dlatego popłynął z nami szef modelarni pan Hołuj, stary harcerz i AK-owiec, który uczestnictwo w powstaniu warszawskim przypłacił sztywną nogą. Nasze kajaki to były ciężkie krypy ze sklejki, z prymitywnymi wiosłami. Dorobiliśmy podłogę, dopasowywaliśmy oparcia, a przede wszystkim przygotowaliśmy schowki na namioty, ubrania i żywność. Te prace wykonywaliśmy na zajęciach, na których uczyliśmy się też gotować, szyc, a nawet pływać, bo tej umiejętności nie zdobywało się na szkolnych zajęciach wychowania fizycznego. Nasz profesor potrafił zrobić wszystko, co „zawdzięczał” przymusowemu pobytowi na Syberii. Jako żołnierz AK został tam wywieziony przez bolszewików po akcji „Ostrobramskiej” oswobodzenia Wilna. Namiotem dla każdej załogi były dwie pałatki przeciwdeszczowe, które po szczipieniu guzikami rozpinano na bambusowym kijku narciarskim. Na szczycie zakładano kaptury. Materace do spania były z płótna, do uszytych specjalnych pochwów wkładano dętki rowerowe, które codziennie trzeba



Aniołek – profesor Eugeniusz Andrzejewski

było dopompowywać. Do drogi przygotowaliśmy jedzenie: pasteryzowane dzemy, wekowane mięsa, wędzony boczek i słoninę, a nawet kruche ciasteczka – wszystko według babcinych przepisów.

Profesor, który miał zacięcie naukowe, dla każdego wyznaczył dodatkowe zadania. Dotyczyły one prowadzenia kroniki wyprawy, sprawozdań geograficznych, etnograficznych, historycznych, w tym także opisów zabytków, fabryk, urządzeń technicznych i spotkań na szlakach dziwów przyrody. Nie istniały wtedy praktycznie żadne przewodniki, nie dysponowaliśmy nawet dokładnymi mapami.

Do stacji w Wiśle dojechaliśmy pociągiem, potem pieszo wyruszyliśmy na Baranią Górę. Od źródła rzeki szliśmy wzdłuż Czarnej Wiselki i kaskad Białej, ale potem to już był spływ. I to jaki! Zaczęliśmy od Skoczowa, dokąd koleją dostarczono nasze kajaki. Te kajaki nie były niestety przygotowane do takiej wyprawy, nie nadawały się do przeskakiwania kamieni i dziesiątek drewnianych progów w górnym biegu rzeki. Pierwsze dni spędziliśmy zatem na klejeniu dziur, które zostały wyrwane w ich dnach przez wystające w progach śruby. Oczywiście, zgodnie z prawem Murphiego, nie były to wszystkie nasze nieszczęścia. Pierwszy nocleg spędziliśmy pod chmurką, jako

że w czasie gwałtownej burzy udało się nam rozstawić tylko jeden namiot. Wszystko dokumentnie zmokło, kilka dni trzeba było się suszyć. Na szczęście uniknęliśmy niebezpiecznych wywrotek w górnych meandrach Wisły. Jedynie w Krakowie pod mostem wykopyrtnęli się Frycek Frydrychowicz i Cezary Trambowicz, straciliśmy wówczas cały zapas boczku wiezionego z Gdańska w wielkim kotle. Rzeka była dzika, ale czysta, czerpaliśmy z niej wodę na herbatę i supę. Nowa Huta dopiero startowała, nie wybudowano jeszcze trujących potem Wisłę zakładów przemysłu ciężkiego i chemicznego. Nie istniała tama we Włocławku, a zapora goczalkowicka dopiero wychodziła z fundamentów.

Wśród zwiedzanych przez nas miast wyróżniał się Kraków, którego nie zdążyły zniszczyć w czasie wojny armie okupantów. Miasto tętniło życiem, można było zwiedzać stare kościoły, muzea, wstąpić do teatru, zjeść precelka na rynku. Inne nadwiślańskie miejscowości były w tym czasie biedne, szare, często brudne. Mimo to zaglądaliśmy prawie wszędzie, wypatrując zniszczonych zamków, zaniedbanych pałaców i klasztorów. Ba, wpadaliśmy nawet do prywatnych domów, ciekawi życia ich mieszkańców. Jedynie Warszawa okazała się przed nami zamknięta, bo akurat trwał w niej pilnie strzeżony przez służby bezpieczeństwa Festiwal Młodzieży Demokratycznej.

Przeważnie płynęliśmy wśród pól, łąk i lasów. Często były to jednak brzegi niezamieszkałe, tereny niebezpieczne, dlatego w nocy pilnowaliśmy na zmianę naszego dobytku, wystawiając wartę. Komórki przecież nie istniały, telefony były dostępne tylko na poczcie. Kilka godzin musiał profesor czekać na rozmowę międzymiastową, by zawiadomić rodziców Karola Chwastka, że syn dostał udaru słonecznego i trzeba go natychmiast zabrać do domu. Lato 1955 było bardzo upalne.

Po tym incydencie Aniołek zmienił wcześniej ustalony harmonogram. Płynęliśmy wcześniej rano cztery godziny od piątej, a potem znów późnym popołudniem. I tak przez niemal półtora miesiąca, do końca spływu.

Wtedy właśnie, wcześniej rano, spotkało nas dość zabawne zdarzenie. Cichutko posuwaliśmy się wzdłuż brzegu, gdy usłyszeliśmy przeciągłe wołanie pasącego owieczki dziadka z siwą brodą:

- Chłopcy, czy wy płyniecie od rana? – zapytywał.
- Tak, dziadku, od rana – odkrzyknął przyjaźnie profesor.
- To pocałujcie w d... barana – ryknął ze śmiechem.

Aniołka zamurowało. Odpowiedź i to mocną, w której roilo się od słów na: k, p, ch... usłyszał dziadek od naszych żulików, płynących na końcu

kilkudziesięciometrowego sznura kajaków. Płynący ze mną Staszek Bednarski, z którym później zaprzyjaźniłem się na długie lata, z charakterystycznym dla siebie filozoficznym rozmysłem zagadnął:

- Gardziel, co by było, gdyby dziadek spytał, że od wieczora?
- To powinniśmy pocałować kaczora – zripostowałem szybko.
- A co, jak od obiadu? – zagadnąłem sprytnie.

Staszek błysnął: jest przecież papuga kakadu...

Szczęśliwie dopłynęliśmy do śluzy w Przegalinie, do Martwej Wisły i do Gdańska witani nie tylko przez rodziny. Kończyliśmy jak bohaterowie, to była naprawdę trudna, ale wspaniała eskapada dziką rzeką.

Nie zdziwiło mnie zatem, gdy po latach, na szkolnym jubileuszu sześćdziesięciolecia gdańskiej Jedynki, zapytany o wyprawę turystyczną życia, powszechnie znany w całym trójmieście profesor Andrzejewski, bez wahania odpowiedział:

- Rzeka Wisła, spływ kajakiem w 1955 roku.

Pingwin

Edwin Rymarz był najstarszym spośród siedmiorga dzieci organisty z przy szpitalnego kościoła Najświętszej Marii Panny na ulicy Łąkowej. Jego rodzina przyjechała do Gdańska w 1945 roku spod Krosna i zamieszkała wśród innych repatriantów ze wschodu i miejscowych autochtonów. Rymarzy znali wszyscy. Każdy z nas w Szkole Podstawowej nr 3 musiał trafić wśród nich na swego rówieśnika. Edwin chodził do tej samej klasy co moja siostra, ja chodziłem z Heńkiem, a moja przyszła żona, Hania Świciówna, ze Zbyszkciem. Wszyscy byli uzdolnieni muzycznie, ale talentem zdecydowanie wyróżniał się najstarszy Edwin, potocznie zwany Pingwinem, co miało rymować się z jego imieniem.

Dzięki niemu po raz pierwszy usłyszałem zagraną na kościelnych organach fugę Bacha. Było to podczas mojej Pierwszej Komunii. Jego muzyki słuchaliśmy na szkolnych i festynowych zabawach, kiedy grał na studwudziestobasowym akordeonie swojego ojca. Z tej też racji Edwin cieszył się niekłamanym autorytetem całej naszej dorastającej ferajny Dolnego Miasta.

Czułem się zatem wyróżniony, gdy już w gimnazjum zwrócił się do mnie z osobistą prośbą o interwencję u naszego matematyka, który nie chciał go dopuścić do matury. Przemówił krótko:

– Gardziel, ty jesteś młodszy, ale masz u Henryka Kopowskiego wyjątkowe chody (byłem matematycznym olimpijczykiem pierwszego stopnia), załatw mi zmianę decyzji profesora. Znasz mego ojca, dostanę pałkę. Nie myśl, że będzie to usługa bezinteresowna, bowiem „Koposia” wyznaczyli w szkole na opiekuna koła Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i ma zorganizować rocznicę stulecia urodzin wodza rewolucji Lenina.

– No i co z tego? – odparłem.

– Zagramy na cztery ręce Rachmaninowa na uroczystej akademii.

– Czyś ty zgłupiał, od czterech lat nie tknąłem fortepianu!

– Nie martw się, ty zagrasz na basach tylko dwie frazy um-papa, a ja na wiolinach załatwię resztę.

Poszedłem do Kopowskiego, załatwić sprawę. Było mi łatwiej, bo mój tato, ginekolog, szczęśliwie odebrał poród bliźniaków profesora. Ten kazał mi przysłać Pingwina do siebie i... Edwin został dopuszczony do matury. Musiał podpisać tylko oświadczenie, że nie będzie zdawał na studia, by nie przynieść wstydu naszej szkole. Maturę zdał, a potem ukończył jeszcze na Akademii Muzycznej w Gdańsku dwa fakultety: kompozycji i gry na organach.

Ale dla mnie najważniejsza była wówczas rocznicowa akademii. W auli gimnazjum na Siennickiej zagrałem z Pingwinem swój najpiękniejszy w życiu koncert fortepianowy. Krótkie spodenki mama zamieniła mi na modne pumpy, dodała krawat i poszło naprawdę bardzo dobrze. Były trzy bisy, zachwyciłem koleżanki. Prawie nikt się nie zorientował, że chociaż w znanej na Dolnym Mieście klasie fortepianu pani Wahnovej nie grałem najgorzej, to w tym duecie byłem tylko statystą.

Nasze drogi się rozeszły. Po latach dostrzegłem Edwina na początku gigantycznej kolejki po mięso w gdańskich delikatesach. To było tuż po zdławieniu Solidarności. Krzyknąłem przez tłum głośno:

– Pingwin, mama kazała dokupić ci jeszcze kilo szynki! Charakterystycznym ruchem grdyki wyraził niezadowolenie, ale szynkę kupił i zachnął się:

– Gardziel jak mogłeś, tu w tłumie, tak mnie nazwać? Jestem szanowanym dyrektorem szkoły muzycznej na Gnilnej, a tym przewiskiem podrywasz mój autorytet!

– Edwin – odparłem beczelnie – wybac, dla mnie do końca życia zawsze będziesz Pingwinem.

Ten incydent nie przeszkodził mi zaprosić mnie na jubileusz pięćdziesięciolecia pełnej sukcesów pracy zawodowej. Mogłem się przekonać, jak

ważną i znaczącą osobą był Edwin Rymarz w Gdańsku. Jego kompozycji prezentowanych przez uczniów słuchali arcybiskup Tadeusz Gołowski, prezydent miasta Paweł Adamowicz i liczni goście. Były odznaczenia i laudacje.

Gdy na końcu, bez uprzedzenia, wskoczyłem na mównicę, Edwin znów niespokojnie zadrgał grdyką. A ja, gratulując, powiedziałem, że nie tyle zazdroszczę jubilatowi sukcesów muzycznych, co żonglerki zośką, i ku zdumieniu wszystkich rzuciłem w niego specjalnie przygotowaną ołowianą kulkę z wełnianymi kutasikami. To cudo onegdaj zastępowało nam piłkę, a Edwin na naszym podwórku był niekwestionowanym mistrzem. Potrafił odbijać bez przystanku taką zośką ponad sto razy!

Tej żonglerki już nie powtórzył. Umówiliśmy się wtedy, że znów zagramy Rachmaninowa. Niestety niedługo potem pożegnaliśmy Edwina na zawsze. Spoczął w alejce zasłużonych na gdańskim cmentarzu koło Gradowej Góry.

Spotkania po latach

Każdy nosi w sobie pamięć czasów szkolnych. Nic zatem dziwnego, że po latach organizowane są z powodzeniem spotkania absolwentów. Dawniej trudno było się skomunikować, ale obecnie w erze internetu jest to dużo łatwiejsze. Im szkoły starsze i z bogatszą tradycją, tym spotkania częstsze i bardziej wystawne. Najliczniej przyjeżdżają na nie ci, którym się powiodło, mieszkańcy Warszawy czy zagranicy, eleganccy i pewni siebie.

Miałem pecha, a może to było szczęście, że moje szkoły, usytuowane na peryferiach miasta, nie należały ani do najstarszych, ani do najbogatszych. W trudnych latach powojennych ściągnięto jednak do nich kadrę nauczycielską, która zapewniała dość dobry poziom nauczania. Tak było nie tylko w podstawówce, ale przede wszystkim w moim VI Gimnazjum na Siennickiej.

Jak sięgam pamięcią, większość nauczycieli poświęcała nam wiele czasu i to nadprogramowo. Historii uczył Roman Gruszczyński, matematyki wspomniany wcześniej Henryk Kopowski, fizyki Tadeusz Kopiczyński, polskiego Jadwiga Andrzejewska, geografii jej mąż Eugeniusz, rosyjskiego Ciema Szlagier, a gimnastyki Eugeniusz Buliński. Wszyscy oni byli bardzo dobrymi fachowcami. Jeśli do tego dołączyć księdza Kazimierza Kluza, późniejszego gdańskiego biskupa pomocniczego, który nie tylko wykładał religię, ale uczył nas etyki i patriotycznej podstawy, to muszę stwierdzić, że



Przed VI Gimnazjum
– moja klasa
z wychowawczynią
Jadwigą
Andrzejewską

nie zmarnowaliśmy wtedy lat nauki. Nic zatem dziwnego, że większość z nas ukończyła później studia, chociaż wielu zrezygnowało i poszło wcześniej do pracy, jako że w ich rodzinach się nie przelewało. Sytuacja materialna była zapewne bezpośrednią przyczyną, że zjazdy absolwentów w tej szkole nie odbywały się zbyt często. Spotykaliśmy się jednak w Gdańsku prywatnie, czasem w kinie, czasem na uroczystych procesjach Bożego Ciała, w końcu także na nielegalnych manifestacjach patriotycznych i to po obu stronach.

Trzeba bowiem wiedzieć, że z naszego gimnazjum relatywnie najwięcej absolwentów zostało księżmi i ubekami. Owocowała praca zarówno Kluza, jak i nasłanych partyjnych propagandzistów. Ci ostatni zastąpili naszych najlepszych profesorów, którzy po 1956 roku odeszli na wyższe uczelnie lub przeniesiono ich z urzędu do szkół bardziej elitarnych.

W 2007 roku szkoła obchodziła swoje sześćdziesięciolecie. Pozyskano na ten cel pewne fundusze, ale jak się okazało, wystarczyły jedynie na remont części wielkiego dachu. Stary gmach niewiele się zmienił, szkoła dalej wyglądała biednie.

To zapewne było przyczyną, że oficjalną część zjazdu zorganizowano w nowej filharmonii, w odrestaurowanych zabudowaniach najstarszej w Polsce elektrowni, w czym pomógł nasz absolwent pełniący wówczas funkcję jednego z jej dyrektorów. Inny uczeń, ksiądz prałat Staś Bogdanowicz

W towarzystwie
Andrzejewskich
razem z Ulką
Miszewską,
Zenkiem Pająkiem,
Heniem
Tubilewiczem
i Irką Formellą
na jubileuszu
sześćdziesięciole-
cia szkoły



udostępnił nam bazylikę Mariacką, gdzie odprawiono uroczystą mszę. Z mojej klasy przyszło niewielu: Andrzej Serwacki, Eryka Formella, Ewa Cichocka, Ulka Miszewska, Aneta Ziomkowska, Zenek Pajak, Felek Tubilewicz, Benek Jagielnicki. Dwaj księża: Staś Wysocki i Rysiek Szczepański zaszyli się gdzieś w zakonach, dwóch byłych ubeków „Kosina” i „Paszeko” zmarło. Nie zawiedli za to ukochani profesorowie: Kopowski i małżeństwo Andrzejewskich. Pojawili się pełni wigoru, a po zakończeniu oficjalnych uroczystości poszli z nami do ukochanej budy.

Zasiedliśmy jak dawniej w swojej klasie. Wychowawczyni Jadwiga Andrzejewska, zwana Andżoliną, znowu indagowała, kto, gdzie, z kim i dlaczego. Jej mąż Gien opowiadał ciekawie o swej zsyłce na Sybirze. Nie wszyscy wiedzieli, że spędził tam długie lata. Kopoś od razu wezwał do tablicy Erykę, nazywaną Irką.

– Ile to będzie dwa plus dwa razy dwa? Siedem czy dziesięć?

Siwiejąca pani doktor nie trafiła:

– Chyba dziesięć panie profesorze.

– Chyba jednak nie! – I surowy matematyk, jak przed laty w notesiku, zapisał jej dwóję. Eryka tym razem się nie rozpląkała.

Uświadomiłem sobie wtedy, że znacznie większym dla mnie przeżyciem było wcześniejsze spotkanie w 2002 roku z uczniami mojej klasy z podstawówki. Z nimi zaczynałem edukację jeszcze jako małe dziecko. Zaczęło się od telefonu o północy. Usłyszałem dziwnie brzmiący głos:

– Andrzej Gardzilewicz? Tu mówi Paweł Korzeniowski, pamiętasz mnie?
Odpowiedziałem, po długim namyśle:

– Kluska, to ty???

– Tak Gardziel, to ja, jak się cieszę! Wróciłem po wielu latach ze Stanów, pływałem tam na „rybakach”, pracowałem ciężko jako marynarz, trochę zarobiłem, może się spotkamy z naszą paczką z podstawówki? Zorganizuj coś, jakiś zjazd absolwentów, ty to potrafisz. Mam do dyspozycji chatę na Bontzaku, no wiesz, to teraz Sobieszewo nad Martwą Wisłą.

– Dobrze – odparłem. – Ale dlaczego dzwonisz tak późno? Piłeś?

– Skąd wiesz?

– Tak wyczuwam.

– Nie może to być, czujesz przez telefon?

Od skończenia szkoły minęło pięćdziesiąt lat. Z trudem odtwarzałem kontakty, szukałem adresów. Kto gdzie mieszka? Gdzie pracuje? Dziewczyny zmieniły nazwiska, kilkanaście osób wyjechało do Reichu, trzeba było też skreślić wszystkich nieboszczyków. Na spotkanie przyszła dziewiątka, jedna piąta zaczynających naukę zaraz po wojnie w 1945 roku. Obok mnie i Kluski Ewa Trąbkówna, Lusja Sankowska, Wiesia Degutis, dwie Danki: Miara i Rauch, Romek Twardowski i oczywiście Adam Zaunar, z którym siedziałem w ławce przez te lata.

W czerwcową niedzielę zaczęliśmy od sumy w kościele na Łąkowej. Danusia Miara zaprowadziła nas do szkoły, w której teraz jest zawodówka.



Dziewiątka z podstawówki na spotkaniu po latach. Obok mnie stoją: Romek Twardowski, Wiesia Degutis, Lusja Sankowska, Ewa Trąbka, Danusia Rauch, Adaś Zaunar, Danusia Miara i Kluska – Paweł Korzeniowski

Naszą podstawówkę przeniesiono do nowego budynku naprzeciwko. Danka długie lata była tu nauczycielką, jak przed laty jej mama. Odwiedziliśmy klasy, w których przyszło się nam kiedyś uczyć. Zobaczyliśmy starą aulę, piwnice, schody na podwórko. Czas tu stanął w miejscu, niewiele się zmieniło, tylko ubikacje nowocześniejsze, bez centralnej śmierzdzącej rynny do sikania u chłopców. Obeszliśmy naszą dzielnicę. Śluza, Reduta, do mostku na Olszynkę i dalej Kurza, Toruńska, Przyokopowa, Zielona, Dobra, Jałmużnicza, były naszą trasą. Wpadliśmy do kilku znanych nam mieszkań. O dziwo, nowi lokatorzy otwierali drzwi z niemalym zaciekawieniem. Zobaczyłem nasze pokoje w starym mieszkaniu na piętrze przy Śluza 12, gipsowe aniołki dalej uśmiechały się na suficie dawnej sypialni rodziców.

Pojechaliśmy potem do Sobieszewa do restauracji na obiad. Zasiadliśmy do odświętnie przygotowanego stołu. Gdy podano barszczyk, nim dotknąłem krokietą, Adam schwycił mnie za rękę i jak dawniej krzyknął:

– Granda spóła!

Pokornie oddałem mu połowę.

– Pamiętacie? – ciągnął mój najbliższy kolega. – Gardziel zawsze miał najlepsze śniadania i te piękne serwetki z wyszywanym napisem „Duduś”!

Po deserze, gdy zaproszeni sięgali do pieniędzy, okazało się, że wszystko było już zapłacone... Udaliśmy się do letniego domku Kluski.

Spędziliśmy uroczy czas na wspomnieniach, nie tylko przy winie.

Gdy się ściemniło, dziewczyny się zaniepokoiły:

– Jak my wrócimy do domów? Ty i Kluska jesteście po kielichu.

I wtedy przy furtce stanęła dziewczyna.

– Świcówna! – krzyknęli zebrani, którzy dobrze pamiętali ze szkoły to doktorskie dziecko

– Jaka Świcówna? To ja jestem Świcówna! – odezwała się idąca w pewnej odległości za córką Anią, moja żona. Obie podobne do siebie i do babci Klementyny z Amirowiczów, której ormiańskie geny okazały się najmocniejsze. Przyjechały specjalnie, żeby rozwieźć nas do domów. Większość zadowolona wsiała do samochodów. Tylko Zaunar został na noc u Kluski. Mieli o czym rozmawiać, pływali na „rybakach”, jak się okazało, na tych samych łowiskach Ameryki Północnej, chociaż pracowali za inne pieniądze i w różnych flotyllach.

Na Politechnice

Październik '56

Maturę zdawałem w biegu. Ostatni egzamin z absurdalnego przedmiotu, jakim była wówczas nauka o Polsce i świecie współczesnym odbył się 2 czerwca 1956 roku. Nie miałem jeszcze siedemnastu lat. Stało przede mną pytanie, co studiować. Moje zdolności do przedmiotów ścisłych preferowały politechnikę, tradycje rodzinne sugerowały medycynę, ale mnie najbardziej fascynował sport. Tato dawał mi wolną rękę, choć zawód trenera wychowania fizycznego wydawał mu się jednak niepoważny.

Wujcio Kazio, który był nauczycielem w szkole zegarmistrzowskiej, doradzał:

– Jest wyjście, skończysz mechanikę precyzyjną w Warszawie, a potem medycynę, zrobisz dwa fakultety. Lekarze mają coraz lepszą aparaturę i muszą być po trosze inżynierami. W piłkę przestaniesz grać szybko, jak tylko dopadnie cię reumatyzm.

W końcu wybrałem mechanikę na Politechnice Gdańskiej. Nie zastanawiałem się jednak, co będę robił po ukończeniu studiów. Egzamin wstępny zdałem bez trudu. Zadania z matematyki skończyłem po czterdziestu pięciu minutach. Gdy je oddawałem, przewodnicząca komisji egzaminacyjnej myślała, że zrezygnowałem z rozwiązania. I zaraz pojechałem na obóz sportowy. We wrześniu razem z kolegami z gdańskiego SKS-ucieszyliśmy się ze zdobycia Mistrzostwa Polski juniorów w szczypiorniaku.

Po wakacjach rozpoczęły się zajęcia na Politechnice. Ich poziom wyraźnie odbiegał od lekcji w liceum. Trzeba było zakasać rękawy i ostro wziąć się do roboty. Wtedy buchnął pamiętny Październik '56. Polacy stanęli przeciw wprowadzonej po wojnie bolszewickiej dyktaturze. Moja nauka, a nawet sport poszły do kąta. W ciągu zaledwie kilku tygodni dostałem praktyczną lekcję prawdziwej, a nie ludowej demokracji. Nikt ze studentów nie zważał, że świat zachodni był wyraźnie zaniepokojony zamieszkami i że Armia Czerwona krwawo tłumiała węgierskie powstanie. Chcieliśmy burzyć ustalony po wojnie porządek jałtański. Najwcześniej zbuntowali się robotnicy poznańscy. Partia szybko zdusiła ich powstanie, ale w następstwie

rozruchów doszło do rozgrywek na szczytach władzy i sytuacja wydawała się wychodzić spod kontroli. Nomenklatura, ubecy, członkowie komunistycznej partii, szczególnie na prowincji, czekali zdezorientowani. No i się zaczęło... w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu.

W Gdańsku na czoło protestujących wysunęli się studenci Politechniki. Tu od razu utworzyło się nieformalne centrum. Starsze pokolenie, pamiętające lata wojny i terroru, zachowywało ostrożność. Do rozentuzjasmowanej uczącej się młodzieży dołączyli młodzi robotnicy. Nasi profesorowie, w większości repatriowani ze Lwowa i Wilna, starali się ten oddolny ruch uporządkować i mieć baczenie, by nie doszło do prowokacji.

Na dziedzińcu przed głównym gmachem spotykaliśmy się codziennie. Odbywały się mityngi, brać studencka zorganizowała nagłośnienie, drukowano ulotki, a nawet gazetki. W ognisku spaliliśmy nasze zetempowskie legitymacje znienawidzonej, komsomolskiej organizacji, do której obowiązkowo wszyscy wstępowali, by zostać przyjętym na studia. Dziesięć lat po wojnie ludzie przestali się bać. Przemówili Kresowiaci i sybiracy, ale bez nienawiści. Zachłysłaliśmy się wolnością.

Przychodziłem do domu późno. Zmęczony, zachrypnięty, ale szczęśliwy. W wielkiej manifestacji, z pochodniami, odprowadziliśmy naszą delegację z Politechniki na gdański dworzec. Wiozła ona do Warszawy nasze żądania dotyczące zmian ekonomicznych i przywrócenia demokratyzacji. Upaństwowienie gospodarki przyniosło olbrzymie straty, walka o handel skutkowałą pustymi półkami, centralne planowanie kompletnie się załamało. Zrywaliśmy po drodze tablice Konstantego Rokossowskiego, nazwy alei łączącej Wrzeszcz z Gdańskiem. Sam marszałek Konstantin, który był w Polsce ministrem obrony narodowej, już uciekł do Moskwy. Wreszcie w polskim radiu można było usłyszeć wiadomości bez cenzury. Zwolniono przymusowo izolowanego przez władze prymasa Wyszyńskiego i wielu więzionych polskich bohaterów. Innym głosem zaczęli mówić komuniści.

Przeżyliśmy wtedy jedyne w tamtych czasach „demokratyczne” wybory do sejmu. Co prawda, były one ograniczone do jednego miejsca na gdańskiej liście Frontu Jedności Narodowej, które obligatoryjnie otrzymała Politechnika, ale jednak. Poszczególne wydziały w prawyborach same zgłaszały swoich kandydatów. Zostali nimi bezpartyjni profesorowie, najlepsi z najlepszych, najodważniejsi z odważnych. Na wydziale mechanicznym był to docent Jerzy Rutecki, przewodniczący delegacji uczelni na warszawskie rozmowy, specjalista z wytrzymałości, uczeń wielkiego polskiego uczonego



Konny Trakt, w głębi gmach główny Politechniki Gdańskiej, 1956

Maksymiliana Hubera. Kandydatem architektów był profesor Władysław Czerny, jeden z głównych autorów odbudowy zniszczonego po wojnie Gdańska. Na listach wydziałów budownictwa lądowego figurował Jarosław Naleszkiewicz, wodziarzy reprezentował Waclaw Balcerski – budowniczy tamy w Rożnowie i współautor koncepcji regulacji Wisły. Ten ostatni został posłem, a zwycięstwo osiągnął po wspaniałej kampanii wyborczej prowadzonej na uczelni w amerykańskim stylu. Profesor Balcerski wkrótce potem został też wybrany rektorem i był jednym z autorów utworzenia na Politechnice Gdańskiej pierwszego w Polsce parlamentu studenckiego.

Zabawa w demokrację nie trwała długo. Już w 1960 roku Balcerskiego ze stanowiska rektora odwołano. Zastąpił go partyjniak Rydlewski, szybko awansowany na stopień profesorski, podczas gdy Rutecki na ten awans musiał czekać długie lata. Polityczne życie w Polsce wróciło do normy. Komuniści znów obejmowali wszystkie najważniejsze stanowiska. My, młodzi, dostaliśmy ostrzeżenie, wprowadzana demokracja była tylko grą pozorów. Walka o władzę w Polsce rozgrywała się dalej na innych szczeblach. Partia, opierając się na sile Armii Czerwonej, nadal była górą.

Na szczęście nie wróciły już czasy powojennego, bezwzględne terroru. Wstrzymano co prawda kolektywizację na wsi, ale gospodarka ciągle dołowała, nie przeprowadzono praktycznie żadnych reform. Polska pozostała w strefie wpływów Kraju Rad. Z całego zamieszania najbardziej skorzystał mój rocznik studencki, zlikwidowano bowiem na uczelni wykłady z ideologii marksistowsko-leninowskiej, których w ogólnym bałaganie nie przywrócono już do końca studiów.

Rygory i nierygory

Zmiany, jakie zaszły na uczelniach po 1956 roku, nie przywróciły pełnej demokracji polskim uczelniom, ale zweryfikowana merytorycznie kadra naukowa pozyskała pewną niezależność. Na politechnikach zlikwidowano uznaniowe przyznawanie tytułów inżynierskich działaczom partyjnym i, co było znacznie ważniejsze, przywrócono rangę egzaminom. Stara kadra profesorska rozdzieliła przedmioty na łatwiejsze, które trzeba było zdawać bezwzględnie w terminie – tak zwane rygory, i te trudniejsze, które można było zdawać nawet w przeciągu roku – tak zwane nierygory.

Brać studencka ten wolny wybór przyjęła początkowo z entuzjazmem, nie zdając sobie sprawy, jakie będą jego konsekwencje. Tymczasem nierygory odbywały się pod czujnym i wymagającym okiem egzaminatorów i bywało, że zdawać je trzeba było po kilka razy, nawet przez dwa lata. Burzyło to administracyjny porządek dziekanatów, ale efekty stały się widoczne, gdyż poziom wykształcenia podniósł się wyraźnie. Mury politechnik kończyły coraz lepiej przygotowane roczniki absolwentów, a przecież kadry inżynierskie były potrzebne do restauracji zniszczonego podczas wojny przemysłu, budowy nowych fabryk i zakładów pracy.

Z mojego punktu widzenia nowe reguły egzaminacyjne wydawały się bardzo sprzyjające. Grałem przecież z powodzeniem w piłkę ręczną w ekstraklasie, a nawet w reprezentacji Polski. Treningi i wyjazdy na mecze zajmowały sporo czasu, a sportowcom nie przysługiwał indywidualny tok studiów. Szybko jednak rosły moje egzaminacyjne zaległości i gdyby nie łagodność ukochanego przez studentów dziekana, profesora Henryka Więckiewicza, na pewno skończyłyby się to dla mnie repeta.

Na czwartym roku, już po terminie, dzięki fortelowi zdałem wówczas egzamin z drugiego roku, z wytrzymałości materiału. Profesor Jerzy Rutecki

na swym ostatnim wykładzie wyciągnął karteczki z zadaniami i rozdał je obecnym. To była nagroda dla dziesięciu najlepszych, rozwiązanie zadań zwalniało z egzaminu pisemnego. Na tym wykładzie był na szczęście Stefan Ciecierski, student z mojej paczki. Zdecydowaliśmy, że jedną kartkę można wykorzystać cztery razy, ale po każdym egzaminie trzeba było tę kartkę profesorowi „gwizdnąć”. Dla niepoznaki postanowiliśmy utrzymać spory okres między poszczególnymi egzaminami. Dla ustalenia kolejności w trzech rzuciliśmy losy, bo oczywiście Stefanek szedł pierwszy.

Miałem pecha, byłem w losowaniu ostatni. Przede mną szedł Włodek Fabianowicz i Krzysław Kwiatkowski. Wszyscy po kolei zdali egzamin bez kłopotu, ale ja musiałem czekać na swój ponad półtora

roku i bałem się, że fortel się wyda. To samo zadanie dotyczące obliczenia specyficznego obciążonej płyty pokazałem profesorowi czwarty raz. Przejrzał je pobieżnie, był zadowolony, rozwiązanie przecież było perfekcyjne. Zapytał mnie wówczas o hipotezę wyężenia materiału, równanie swego mistrza Hubera. Oczywiście byłem na to dobrze przygotowany. Śpieszył się, nie żądał dodatkowych wyjaśnień, dostałem czwórkę, ale miałem chandrę. Wytrzymałość nie została też nigdy potem moją silną stroną.

Gdy po latach w gazecie przeczytałem nekrolog o śmierci bardzo już starego Ruteckiego, pobiegłem na cmentarz na Srebrzysko. Ludzi nie było dużo, brakowało studentów. Bez trudu znalazłem ośmiu chętnych i ponieśliśmy jego trumnę do grobu na ramionach. W modlitwie prosiłem profesora o wybaczenie.



Profesor Jerzy Rutecki

Moi mistrzowie

Wydział Mechaniczny, który zaraz po wojnie otwarto na Politechnice Gdańskiej, od zarania miał doskonałą obsadę. Do poniemieckiej uczelni

o ustalonej wcześniej renomie zjechało wielu wybitnych profesorów, których nie zmiotła pożoga wojenna. Byli to przede wszystkim uczeni wypędzeni ze Lwowa, z najsilniejszej politechniki II Rzeczypospolitej. Tu w Gdańsku udało się im utworzyć najlepszy w owym czasie ośrodek mechaniki w Polsce. Studiując zatem na tym wydziale, musiałem przejść dobrą szkołę.

Tuż na pierwszym roku zetknąłem się z profesorem Marianem Piątkiem. Wykładał mechanikę, na tablicy precyzyjnie rysował schematy i wprowadzał równania, opisując ze swadą trudne do pojęcia zjawiska. Jeszcze wokół naszej planety nie krążyły satelity, jeszcze Armstrong nie wylądował na księżycu, a profesor precyzyjnie określał konieczne prędkości oderwania raket od ziemi. Swym tubalnym głosem na początku każdego wykładu wywoływał z sali do odpowiedzi, zwykle przestraszonego delikwenta. Ocenę zapisywał w specjalnym kajecie i wliczał do egzaminu, co oczywiście zmuszało nas do systematycznego uczenia się.

Tuż po nim, na drugim roku, zajęcia z części maszyn, przedmiotu ważnego dla każdego inżyniera mechanika, prowadził profesor Kazimierz Zygmunt. W doskonale zorganizowanej katedrze wykonywaliśmy pierwsze projekty prostych urządzeń, których teorię przekazywał nam na wykładach. Przy okazji wyjaśniał patentowe problemy, realizowanego pod jego kierownictwem, wdrożenia „kreta”, który dotyczył urządzenia dla prowadzenia rur i przewodów w ziemi, bez żmudnego wykopywania rowów.

Termodynamikę, uważaną przez wielu za królową nauk technicznych, wykładał na trzecim roku docent Jan Madejski. Ten pełen umiaru człowiek nie był efektownym wykładowcą, zapisywał skomplikowane równania różniczkowe maczkiem, tablica za tablicą, uzupełniając je swymi przemysleniami, oryginalnymi nawet w skali światowej. Gdy zorientował się, że tylko niewielu z nas go rozumie, zadbał, żeby wykłady w nieco prostszej formie zostały powielone w uczelnianych skryptach. Przy braku podręczników ten zabieg był wtedy ewenementem, ale rzutowało to oczywiście na wykładową frekwencję, którą pan Jan się zresztą nie przejmował. Trudne wykłady uzupełniane były bowiem przez jego asystentów ćwiczeniami, prowadzonymi w dawnym, dobrze urządzonej laboratorium cieplnym gdańskiej Technische Hochschule. Tam obecność na zajęciach była już obowiązkowa. Klasę docenta Madejskiego doceniłem dopiero po latach, ale on wtedy wyjechał już z Gdańska i został profesorem oraz dyrektorem Instytutu Badań Jądrowych. Wrócił do Warszawy, gdzie wcześniej brał czynny udział w powstaniu. Wkrótce został członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk.

Na czwartym roku nauczania doszły przedmioty specjalistyczne prowadzone przez wiele profesorskich znakomości, mocno zaangażowanych w prace odbudowywanego ze zniszczeń wojennych przemysłu. Zdobytym doświadczeniem dzielili się z nami na wykładach.

W katedrze silników egzystował jeszcze, odchodzący niebawem na emeryturę, wielki uczoney – profesor Alfred Polak, który zrealizował wtedy z zespołem na potrzeby przemysłu okrętowego parowy silnik tłokowy. Krążyły legendy o jego dokonaniach i odwadze, gdy skutecznie przeciwstawiał się bzdurnym zarządzeniom władzy komunistycznej. Ale ja zapamiętałem go jako zgryźliwego już starca, który – ku uciesze gawiedzi – zamazywał ołówkiem 4B projekt silnika starannie przygotowany przez kolegę Anatola Czabana. Na energiczne oburzenie naszego najpilniejszego studenta kazał mu na kalce przerysować wszystko od nowa. Ten miał łzy w oczach, ale większość przyjęła rzecz z nieukrywaniem entuzjazmem. Taki jest los kujonów.

Na maszynach roboczych odchodzącego na emeryturę kolejnego „starsuszka” Stanisława Łukaszewicza, autora modernizacji wielu dźwignów i suwnic w gdańskim porcie, zastąpił profesor Alfred Rachalski. Ten prawy człowiek, z natury wielki pedant, na wykładach szczegółowo opisywał procesy standaryzacji, które przystosowywał do norm obowiązujących w przemyśle maszynowym. Dla studentów był mocno upierdliwy, bo swoje nader surowe zasady postępowania odnosił też do studenckiego życia. Nie wiedzieliśmy wtedy, że z bronią w ręku sprzeciwiał się wcześniej na Polesiu innym normom i porządkom świata, wprowadzanym przez Wehrmacht i Armię Czerwoną. I że w Polsce Ludowej przez cały czas był tajnym współpracownikiem paryskiej „Kultury”.

Turbiny wodne były domeną profesora Michała Broszki, który razem z inżynierem Alfonsem Hofmanem mocno zaangażował się w uruchomienie zniszczonych elektrowni wodnych. Zapamiętałem tę katedrę najbardziej z racji zajęć na ogromnym tunelu powietrznym, przeznaczonym do modelowych badań przepływów. Na ćwiczeniach, które prowadził późniejszy mój instytutowy kolega i profesor Kazimierz Steller, poznawałem w praktyce genialne w swej prostocie równanie Bernoulliego.

Na samochodach brylował profesor Mieczysław Dębicki, jeden z twórców stara, pierwszej polskiej ciężarówki. To był najmodniejszy kierunek na wydziale, wszyscy chcieli robić u niego prace dyplomowe, poprawiać konstrukcję ruskiej pobiedy czy polskiej prymitywnej syrenki. Tymczasem świat kapitalistyczny rozwijał się znacznie szybciej. Za żelazną kurtyną

powstawały coraz nowocześniejsze konstrukcje. Przekonali się o tym szybko moi koledzy, gdy wstrzymano produkcję starych rozwiązań samochodów i zaczęto robić u nas auta opierając się na zachodnich licencjach. W nowych fabrykach Fiata ważniejszy stał się zawód technologa niż konstruktora.

Najwybitniejszym ze wszystkich moich mistrzów i uczonych na studiach był profesor Robert Szewalski, organizujący w Gdańsku ośrodek turbin parowych, które powszechnie zaczynało stosować w polskiej energetyce. W laboratorium, które tworzył z rozmachem, prowadzone były ćwiczenia na najwyższym poziomie. Profesor wymagał od siebie i od innych, a pomagał mu w tym skutecznie jego zastępca doktor Stefan Perycz. Większość studentów wiedziała o tym i... wybierała inne kierunki, gdzie było łatwiej. Dziekani zawsze mieli kłopoty z wypełnieniem limitu osobowego prowadzonej katedry turbinowej. Mnie to nie interesowało, bardziej byłem zaangażowany w grę w piłkę ręczną niż w naukę. Nic zatem dziwnego, że zlekceważyłem decydujące spotkanie w dziekanacie dotyczące wyboru specjalizacji. Chociaż w ankiecie turbiny umieściłem dopiero na trzecim miejscu, to wciągnięto mnie w poczet turbiniarzy, bo takie były reguły gry. Nie zdążyłem się odwołać.

Najbardziej z tego wyboru ucieszyła się moja mama. Zawsze eleganciego profesora Szewalskiego znała jeszcze z czasów studenckich ze Lwowa. Moi koledzy, szczególnie repetenci, wyrazili mi jednak współczucie. „Dostaniesz mocno w kość” – przestrzegali. Tylko Staś Bednarski, mój kajakowy partner, wybór przyjął z entuzjazmem. Był ode mnie starszy, wiedział z autopsji, jak trudne, ale pasjonujące są to studia, i natychmiast próbował namówić mnie do pracy w katedrze w okresie wakacyjnym, co u Szewalskiego było dobrze widziane. Ale ja pojechałem na zgrupowanie treningowe przed meczem z Niemcami, ówczesnym mistrzem świata w piłce ręcznej. Nie wiedziałem wówczas, jak decyzja wyboru turbin zaważy na mych losach.

Taśmowy

Jako dziecko nawet w potocznej rozmowie się zacinałem. Wydaje się, że było to wynikiem upadku z roweru, kiedy mi zósemkowało koło, złamałem rękę i bałem się wrócić do domu. Moje zacinaanie nie przeszkadzało tacie. Radził – mów wolniej. Mama uważała nawet, że dodawało mi uroku, tym

bardziej że w zaciszu domowym nie było ono znaczące. Niestety dorastałem i życie stawało się coraz bardziej nerwowe. Zacząłem się jąkać naprawdę. Po przeczytaniu historii Demostenesa ćwiczyłem mowę z kamyczkami w ustach, ale nie dawało to żadnego rezultatu. Próbowalem z jękami walczyć, wstawiając do swych wypowiedzi słowa bez szyku i sensu. „Rozumiesz” było na początku, a potem wtrącałem: „więc, jednak, bo-wiem”. W skrajnym wypadku śpiewałem. Zauważyłem też, że nie mam problemu w używaniu brzydkich słów, więc szybko zachwyciły one moją mowę. Na szczęście nie tylko ja przeklinałem. Do dziś pamiętam, jakie przeżywałem katusze, kiedy w sklepie prosiłem o „ky, k, kilo ky, ky, k, ka pusty”. „K....a mać” szła mi za to bezboleśnie.

W szkole dawałem sobie radę z tą wadą bez trudu. Na studiach było gorzej, ale na Politechnice większość egzaminów i kolokwiiw zaliczało się pisemnie, a na ustnych pomagali mi z wyrozumieniem sami profesorowie. Jąkanie przeszkadzało mi w nauce języków obcych z uwagi na skąpy zasób słownictwa, ale największe kłopoty przeżywałem w studium wojskowym. Kiedy w czasie szkolenia drużyny CKM-u wyznaczono mi rolę taśmowego, musiałem wystąpić przed kompanią i się zameldować.

– Tytytytyty... – krzychałem, jękając się straszliwie, a koledzy ryczeli ze śmiechu, nim śpiewnie skończyłem – ...aaśmowy.

Zdenerwowany porucznik Skwiot wstawił mi trzy dwójce z „ogniowego”. I choć nie zgłosiłem się w terminie, poprawił mi te stopnie bez pytania. Nie wytrzymał napięcia przed inspekcją wyższej szarży, która kontrolowała studentów przed zakończeniem obozu wojskowego w Stargardzie Szczecińskim. Za karę musiałem nosić pozorację czołgu z dykty potrzebną do zajęć w terenie.



W mundurze kaprala podchorążego

Jąkanie w wojsku miało też jednak dobre strony. W PRL-u podchorążowie musieli przechodzić wielomiesięczne szkolenia, imperialistyczny wróg wciąż groził. Nie miałem na to czasu, rozpoczynałem trudną karierę uczonego i dalej z powodzeniem grałem w piłkę ręczną. Wezwano mnie do szpitala wojskowego na badania lekarskie. Przed komisją wojskową stanąłem goły w narysowanym kredą na parkiecie kółku.

– Co dolega? – Usłyszałem.

– Mam nadczynność tarczycy – kłamałem jak z nut. Tak byłem wyuczony przez doktora Józia Czaudernę. Jóki był moim szwagrem, miał kolegę w komisji i próbował mnie tym wybronić.

– Jakie objawy?

– Się pocę – odpowiedziałem krótko.

– Co bierze?

I tu palnąłem:

– Mononukleozę. – Zamiast manidron. Komisja jednak przyjęła ten lapsus bezboleśnie. Skierowano mnie do radiologa.

W ciemnym gabinecie łysy doktor bez ogródki ryknął:

– Nazwisko! – zacząłem się naprawdę jąkać.

– Gy, gy, g, aardzilewicz.

– Znaczy podchorąży się jąka, a do wojska chce iść? – zapytał.

– Oczywiście ni, ni, nie – odpowiedziałem.

– Płuca czyste, serce powiększone, następny proszę – rzucił na odchodnym.

Badania wykazały, że byłem zdrowy jak byk. Szedłem do WKR-u jak na ścieżce. Major podrzucił mi coś do podpisu, a tam na mojej karcie widniał wielki napis: UWAGA, JĄKA SIĘ i po nim dziesięć wykrzykników! Wręczono mi książeczkę wojskową, a tam patrzę i oczom nie wierzę: „Trwale niezdolny do służby wojskowej w czasie wojny i do służby w formacjach samoobrony w czasie pokoju”. Łysy radiolog, doktor Kisiel, okazał się kolegą taty z wojska. Szwagier zaś długo nie mógł mi wybaczyć tej mononukleozy.

Wada wymowy przeszkadzała mi jednak w pracy naukowej. Skompromitowałem się niejednokrotnie na prezentowanych seminariach. Pod koniec lat sześćdziesiątych przed publiczną obroną doktorską zwróciłem się o pomoc do teściowej, największego autorytetu medycznego w rodzinie. Świcowa wysłała mnie do swych profesorskich kolegów, ale oni mi nie pomogli. Nie byli lepsi od greckiego Demostenesa. Byłem załamany, bliski rezygnacji z pracy w Instytucie.

Pomogła mi wtedy żona. Znalazła nowo utworzoną placówkę logopedyczną, poza Akademią Medyczną, na Wasowskiego, gdzie grupa zapaleńców opierając się na światowych osiągnięciach, uczyła od nowa mówić jąkających się. Prowadząca mnie doktor Krysia – śliczna i młoda dziewczyna – od razu zdobyła moje zaufanie. Na początku wyjaśniła, na czym polega moja wada. Otóż jąkała nie mówi na ciągłym wydechu, ale swój oddech, co chwilę przerywa. Sprzyja temu wytworzone napięcie, niemal ścisk mięśni od krtani po przeponę. Ćwiczenia polegały zatem na powolnym wypuszczaniu powietrza z płuc, ze śpiewaniem melodyjnie powtarzanych samogłosek a-a, e-e, i-i, o-o, u-u, y-y, aż do utraty tchu. Do tego doszło jednostajne czytanie, ze zwróceniem szczególnej uwagi na bardzo spokojny początek. Dla koniecznego rozluźnienia mięśni zażywałem thioridazinę. W zadaniach domowych dodatkowo przygotowywałem krótkie opowiadania, mówione nieco spowolnionym głosem, z ustalonym, jak w śpiewie, rytmem oddechu i bez nagłego wypuszczania powietrza. Proste, prawda? Ale wada siedziała w głowie i aby ją całkowicie wyeliminować, trzeba było ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć. Sześć godzin dziennie w domu, pół godziny z panią doktor w przychodni i tak przez trzy miesiące. Dla lepszych wyników pani Krysia trzymała mnie delikatnie za ręce, patrzyła w oczy, a gdy się zaciąłem lekko uderzała w „brzuszek”, oczywiście dla ogólnego rozluźnienia. To było nawet bardzo przyjemne. I poszło, doktorat obroniłem z wyróżnieniem!

Jąkanie praktycznie wyeliminowałem. Nieraz wykładam dla licznego grona, a gdy się zacinam, wiem, co robić i tylko czasem wtrącam bez sensu „rozumiesz” lub też niepotrzebnie rzucam kur...mi. Spotkanym w życiu jąkałom nieraz z powodzeniem pomogłem zwalczyć ich przypadłość.

Kiedy oglądałem znakomity film *Jak zostać królem*, jak mało kto na sali kinowej rozumiałem gehennę angielskiego monarchy. Dziwna sprawa, że i on po angielsku nie jąkał się, gdy przeklinał.

Co dalej po dyplomie

Po wyborze specjalizacji pojechałem z kolegami do fabryki turbin w Elblągu na praktykę studencką. Tam w Zamechu mogłem po raz pierwszy zobaczyć prawdziwą turbinę. Zafascynowały mnie próby nowej maszyny dwadzieścia pięć megawatów, którą rozpędzano na stacji parowej do trzech tysięcy obrotów na minutę. To była dobra prognoza na przyszłość.



W sali dyplomantów 201
na Politechnice przy kulmanie

Po powrocie do Gdańska czekał już na nas szef katedry turbinowej – profesor Szewalski. Na inauguracyjnym wykładzie zaprezentował plan działania i przedstawił nam swój team. Piękną polszczyznę i w prosty sposób wyjaśniał, jak wytworzona w kotle para wodna zamienia w turbinie jej energię cieplną w ruch obrotowy wirnika, a po sprzężeniu z prądnicą staje się źródłem energii elektrycznej. To rzeczywiście było fascynujące.

Profesor nigdy nie sprawdzał obecności, ale na jego wykłady wszyscy przychodzili pilnie. Na audytorium obok asystentów pojawiali się często goście z innych wydziałów, a nawet z innych uczelni. Różnymi kolorami kredy rysował na tablicy skomplikowane schematy, tłumaczył szczegółowo, a potem pedantycznie zmywał wszystko gąbką. Studentów nie musiał gonić do nauki, bo po prostu nie wypadało być u niego nieprzygotowanym.

Drugi po Bogu w katedrze profesor Stefan Perycz prowadził zajęcia z automatycznej regulacji. Opierał je na rachunku różniczkowym, który studenci ostatnich lat już zdążyli zapomnieć. Siał przeto spustoszenie, tym bardziej że na egzaminie każdego sprawdzał metodycznie. Bałem się go okropnie, z trudem udało mi się zdać ten egzamin za pierwszym razem. Byłem przerażony, gdy został później promotorem mojej pracy dyplomowej. Dostałem mocno w kość, ze zrealizowanego projektu turbiny parowej o gigantycznej wówczas mocy 500 MW byłem zadowolony. Niestety Perycza na dyplomie nie oczarowałem, ale potem, już w trakcie mojej menadżerskiej kariery, bez specjalnych oporów dołączył do moich najważniejszych konsultantów.

Słynął ze swych ciętych dowcipów. Do dziś pamiętam, kiedy po kilku dniach oczekiwania jeden ze współpracowników dostał bezpośrednio

połączenie z elektrownią. Rozmawiał, jak zwykle bardzo głośno, a profesor, który niedosłyszał, wchodząc do pokoju, spytał:

- Co pan tak krzyczy?
- Rozmawiam z Kozienicami – odpowiedział.
- To co, oni tam nie mają telefonów? – skwitował ze śmiechem.

Najzdolniejszym wśród zastępców „Staruszka”, jak nazywaliśmy Szewalskiego, był niespełna trzydziestoletni Andrzej Piechota. W katedrze pracował na stanowisku zastępcy profesora. Swoją opóźnioną wskutek wojny maturę zdawał, będąc już na studiach, jeszcze przed dyplomem prowadził zajęcia z matematyki dla studentów pierwszego roku. Piechota uczył nas zasad projektowania turbin i to w sposób nietypowy. Prezentował konstrukcje, które wcześniej przygotowywano do realizacji w elbląskiej fabryce. Zmuszał do samodzielnego myślenia. Był przy tym porywczy i źle przygotowanych potrafił wyrzucić bez pardonu do poprawy nawet kilka razy. Wpadał na wykład w ostatniej chwili, przyjeżdżając swą plastikową petką prosto z Zamechu, gdzie rozwiązywał problemy dopiero co zamontowanych turbin.

Gdy na Politechnice doszło do weryfikacji tytułów naukowych, w doktoracie zaprezentował swoje przemyślenia dotyczące eliminacji drgań rzeczywistej turbiny. Jego oryginalnego podejścia nie zrozumiał niestety jeden z recenzentów. Skończyło się awanturą, po której pan Andrzej, ku zaskoczeniu wszystkich, zrezygnował nie tylko z obrony, ale i z kariery naukowej. Zapisał się do partii i został głównym konstruktorem elbląskiej fabryki turbin, gdzie przygotowywano się do produkcji jednostek wielkiej mocy. Do Elbląga zaczął wtedy ściągać absolwentów katedry. Byłem jednym z kandydatów, ale nie chciałem wiązać z tym miastem swojej kariery, bo grałem w Gdańsku w szczypiorniaka i to było wtedy najważniejsze.

Moim ulubieńcem w turbinowym teamie Szewalskiego był profesor Wojciech Brzozowski. Wielki oryginał, mówił szybko i dużo, a przy tym, podobnie jak ja, był wielkim bałaganiarzem. Kontuzjowany podczas walk w powstaniu na Starym Mieście w Warszawie, był kulawy i chodził o lasce. Swe chaotyczne wykłady z gazodynamiki turbin wiązał z eksperymentalnymi badaniami przepływów, które osobiście prowadził w laboratorium, co wydawało się proste i ciekawe. Zakładał, że studentom podstawy teoretyczne są dobrze znane. Gdy zatem na ostatnim wykładzie podał tematy egzaminacyjne, zapanował popłoch. Przy braku polskich podręczników nie wiedzieliśmy, jak i z czego się uczyć.

Doktor Jerzy
Krzyżanowski
na konferencji
turbinowej
w 1962 roku



Na szczęście wśród nas był Jacek Święch, aerodynamika była jego hobby. W domu dysponował niemieckim wydaniem Prandtla, „Skrzydlatą Polskę” czytał od deski do deski jeszcze w liceum. Z Brzozowskim na wykładzie potrafił dyskutować nawet o flutterze, czyli samowzbudnych drganiach skrzydeł samolotowych, które były przyczyną awarii wielu samolotów naddźwiękowych.

Z Jackiem zatem przygotowywałem się do trudnego egzaminu. Kiedy przyszło do zdawania, wyprosiłem, że pójde przed nim, by nie zawyżył poziomu. Wszedłem pierwszy, pytania mi dopasowały, równania zachowania opisałem bezbłędnie, wiedziałem też, jak w przepływie zmierzyć ciśnienie i temperaturę, rozwiązałem zadanie Bernoulliego i dostałem piątkę. Profesor kazał mi poprosić Jacka, którego nie omieszkałem powiadomić o sukcesie.

Jacek wszedł do gabinetu, ale po długiej chwili pokój opuścił tylko Brzozowski. Uchyliłem drzwi, pytam:

- Co się stało?
- Spie...aj – rzucił krótko.

Po godzinie profesor znów wszedł do pokoju i znów wyszedł, nie śmiałem już ponownie zaglądnąć do środka. Gdy zatem za trzecim razem Jacek wreszcie pojawił się na korytarzu, spytałem:

- Jak poszło?

Długo nic nie mówił, ale po namyśle rzucił wściekły:

– Odpowiadałem bezbłędnie. Za pierwszym razem wpisał mi do indeksu czwórkę. Oczywiście nie zgodziłem się, więc dał mi dodatkowe zadanie, które zrobiłem dość szybko, do czwórki dopisał wtedy plus. Znów zaopnowałem, dostałem nowe zadanie, które po mękach rozwiązałem z trudem. Wówczas powiedział mi, że nie może mi dać piątki, bo skrzywdziłby tym poprzednika.

Jacek był tym bardzo rozczarowany, dla równowagi postawiłem mu piwo w barze u Katolika.

W 1962 roku obroniłem dyplom i Jacek przyszedł do mnie z wiadomością, że jest wolne miejsce w zakładzie Gazodynamiki Instytutu Maszyn Przepływowych i to właśnie u Brzozowskiego. Piątka z gazodynamiki stała się moją przepustką do elitarnego grona. Przyjął mnie sam Brzozowski, który zaraz potem przeniósł się do Warszawy, został tam jednym z dyrektorów Instytutu Badań Jądrowych. Jego miejsce zajął doktor Jerzy Krzyżanowski, który mojej kandydaturze się nie sprzeciwił.

Ulżyło mi, gdy dowiedziałem się, że mój nowy szef jeszcze do niedawna był wyczynowym sportowcem. Świetnie pływał żabką w Gromie. Mój tato, gdy mu o tym powiedziałem, skwitował ten fakt lakonicznie:

– Znam jego ojca, ginekologa z Gdyni, przyjmował mnie do pracy we Lwowie. Ten twój Krzyżanowski ma żonę lekarzkę, Olgę, o dziwo z domu też Krzyżanowską, córkę Wilka słynnego AK-owca z Wilna. To piękna i bardzo rezolutna lekarka na Akademii. Naprawdę dziwne są koleje losów polskich rodzin.

Sportowe hobby

Sportowa fascynacja

Sportem zostałem zarażony w dzieciństwie, kiedy w zabawie rywalizowałem z moim kuzynem Wojtkiem niemal o wszystko. Na początku bez powodzenia, gdyż on był starszy, z natury rzeczy silniejszy, szybciej biegał, dalej i wyżej skakał.

Ale prawdziwa fascynacja zaczęła się praktycznie od piłkarskiego meczu między Niemcami a Węgrami, który się odbył w 1943 roku na stadionie lwowskiej Pogoni. Na to spotkanie zaciągnął mnie mój chrzestny, wujcio Sławcio, największy pasjonat sportowy w rodzinie. Wtedy na rozgrzewce przed grą udało mi się nawet kopnąć prawdziwą skórzaną piłkę. Węgrzy wygrali trzy zero, w większości obserwujący ten mecz Polacy oszaleli ze szczęścia, a ja razem z nimi. Do dziś zapamiętałem, „odwrotne” do naszej flagi, czerwono-białe stroje zwycięzców. Dopiero po latach dowiedziałem się, że nie był to oficjalny mecz międzypaństwowy, tylko między reprezentantami sprzymierzonych wówczas armii. Kibice na stadionie dobrze się jednak orientowali, kto był wówczas naszym wrogiem.

Mecz Lechii na
stadionie przy
ulicy Traugutta



FOT. ZBIGNIEW KOSYCARZ / KFP

Niedługo potem, już po wojnie, byłem świadkiem zwycięstwa Węgrów w tym samym stosunku na stadionie we Wrzeszczu, nad Polską. Nie byłem szczęśliwy, ale Madziarzy grali wtedy najlepiej na świecie. A ja chodziłem wówczas do szkoły podstawowej, w której piłka nożna była oficjalnie zakazana. Obok obowiązkowej gimnastyki graliśmy co najwyżej w dwa ognie lub w palanta. Za to po lekcjach całe godziny popołudniowe, ku niezadowoleniu mamy, spędzałem na odgruzowanych boiskach, kopiąc szmacianą piłkę z miejscową żulią. Mocno wówczas przeżywałem, że jako najmłodszy i najmniejszy zwykle byłem rezerwowym lub wystawiano mnie na obronie, przez co oczywiście byłem obarczany odpowiedzialnością za przegrane. Nie zakwalifikowałem się też ani razu do drużyny ministrantów w organizowanych przez gdańskie parafie rozgrywkach piłki nożnej. By zaimponować rówieśnikom wiedzą piłkarską, zacząłem wówczas czytać „Przegląd Sportowy”, co z nieukrywaną przyjemnością robię do dzisiaj.

Moja sytuacja zmieniła się w gimnazjum, urosłem, byłem silniejszy i szybszy, coraz rzadziej jednak grałem w nożną, która także w tej szkole była na indeksie. Lubiłem biegać, zacząłem trenować lekkoatletykę w Gedanii, w bliskiej mego domu małej sali na Jaskółczej. W tym czasie w tej samej sali niektórzy koledzy z boiska na Łąkowej ćwiczyli bardziej popularny boks. Na to nie miałem zgody rodziców, ale z zapartym tchem oglądałem w Gdańsku walki Chychły i Antkiewicza, późniejszych zdobywców medali na olimpiadach.

Tymczasem w gimnazjum, nie mogąc grać w piłkę nożną, zaczęliśmy wzorem kolegów z sąsiadującego Technikum Budowlanego strzelać gole rękami. Wracałem do domu czarny, bo szkolne boisko wysypane było żużlem. Gra w piłkę ręczną stała się moim przeznaczeniem, ale tęsknota za futbolem pozostała na zawsze. Przecież dla nas wszystkich najważniejsza była Lechia, gremialnie chodziliśmy na jej ligowe mecze na stadion przy ulicy Traugutta.

Kiedy po latach zostałem zaproszony na wręczanie doktoratów honoris causa Akademii Wychowania Fizycznego w Gdańsku dwóm wybitnym trenerom: w piłce nożnej Kazimierzowi Górskiemu i w piłce ręcznej Januszowi Czerwińskiemu, klęknąłem przed panem Kaziem i powiedziałem wzruszony legendarnemu trenerowi:

– Proszę pana, urodziłem się we Lwowie i chociaż jestem towarzyszem z boiska profesora Czerwińskiego, to piłka nożna była zawsze moim niespełnionym marzeniem. Dziękując za to, co pan zrobił dla futbolu w Polsce, proszę o osobistą dedykację w pana książce.

Usłyszałem wtedy od niego żartobliwą odpowiedź:

– A z jakiej byłeś parafii?

– Z Marii Magdaleny – szybko zripostowałem.

– Mieszkałem niedaleko, na Bajkach – powiedział cicho i zamaszycie wpisał: „Drogiemu krajanowi ze Lwowa, Andrzejowi Gardzilewiczowi, Kazimierz Górski, trener”.

Wnuka Tadzia nauczyłem kopać, a nie rzucać piłką. Dla niego Lechia jest teraz najważniejsza.

Szcypiorniak

Oficjalnie pierwszy mecz w piłkę ręczną rozegrano na początku XX wieku w Niemczech, a za autora pierwszych jednolitych przepisów uznaje się Karla Schelena. Wzorowano się na futbolu, wtedy najpopularniejszej grze na świecie. Dość szybko, pod koniec pierwszej wojny światowej, nowa gra zawitała i u nas. Pierwszy mecz rozegrali polscy oficerowie internowani przez Prusaków w Szcypiornie. Dlatego przez długie lata grę w piłkę ręczną w naszym kraju nazywano szcypiorniakiem.

Na boisku, podobnie jak w piłkę nożną, grało w każdej drużynie po jedenastu zawodników. Gole jednak zdobywano rękoma, rzucając piłką zza półkola odległego od bramki o trzynaście metrów. Gra była prosta – łatwiej przecież podawać piłkę rękoma niż nogami. Zawodnikom nie sprawiało trudności prowadzenie piłki, którą należało kozłować, co trzy kroki. Rękoma zdobywano więcej goli niż nogami, ale grę w szcypiorniaka zabijała monotonia, po każdym ataku broniący ustawiali się na linii bramkowej i tam ściśnięci czekali na nacierających przeciwników. Nie było wielu kombinacji, szybkie ataki następowały sporadycznie, co przy możliwej grze „na czas” powodowało, że gra widzom nie wydawała się zbyt atrakcyjna.

Mogłem się o tym przekonać osobiście, kiedy sam zacząłem trenować szcypiorniaka, jeszcze w szkole średniej. Grę utrudniały też źle przygotowane boiska i kłopoty sprzętowe. Piłki były źle wyważone, skórzane z dętką w środku. Pompowano je przez wentyl, wsuwany w podłużną szczelinę, którą zasnurowywano. Sznurówka zawsze nieco wystawała. Do dziś pamiętam jej ślad na czole, gdy zablokowałem przypadkiem strzał swoją głową. Grałiśmy w korkach, ale trudno było w nich biegać na twardych, nierównych boiskach, a futboliści rzadko wpuszczali nas na swe trawiaste stadiony.



Reprezentacja Polski juniorów przed meczem z NRD
na stadionie olimpijskim w Lipsku

Kozłowanie piłką w takich warunkach było sztuką, a gdy padał deszcz i na niedrenowanych boiskach powstawały wielkie kałuże, gra przypominała waterpolo. Nasiąknięta wodą piłka stawała się ciężka i wyslizgiwała się z rąk, trudno było ją dorzucić do bramki. Nie dziwiły niskie wyniki szczególnie meczy rozgrywanych przez kobiety. Przy boiskach nie było zwykle szatni, rozbieraliśmy się w przypadkowych lokalach, zwykle bez łazienek.

Poprawiło się, gdy zacząłem występować w ekstraklasie. W Gdańsku na Elbląskiej była niezła murawa i nawet ciepła woda w prysznicach, ale na przykład w Siemianowicach ligowe spotkania rozgrywano na żużlu, a w Katowicach wodę do mycia trzymano w beczkowie na stadionie.

Na mecze jeździliśmy koleją, zwykle przepełnionymi wagonami drugiej klasy, na południe Polski, bo tam wtedy grały w szczypiorniaka najlepsze polskie drużyny. Niekiedy były to drużyny z miejscowości odciętych od publicznej komunikacji. Znana jest opowieść moich starszych kolegów o meczu z drużyną LZS-u Folwark, którzy żeby dojechać na boisko, wsiadli na stacji kolejowej do stojących furmanek. Dopiero w drodze na stadion

okazało się, że fury wyjechały nie po nich, a po orkiestrę zaproszoną na wesele córki miejscowego chłopa. Śmiechu było co nie miara.

Wszyscy grający uczyli się lub pracowali, natychmiast po meczu zatem musieliśmy wracać do Gdańska, by zdążyć rano na zajęcia lub do pracy. Szukaliśmy przeto różnych kombinacji transportowych. W drodze ze Śląska najdogodniejsza była przesiadka do krakowskiego pociągu, ale wówczas trzeba było biec z Herbów Starych do Nowych prawie trzy kilometry. „Skrót” przez las był jeszcze dłuższy, o czym przekonaliśmy się, gdy pociąg odjechał nam sprzed nosa. W dworcowej poczekalni spędziliśmy wtedy całą noc, oczywiście grając w preferowanego przez drużynę brydża.

Pamiętam też inne mecze, które odbywały się w warunkach pełnego luksusu. Tak było w 1957 roku na stutysięcznym stadionie w Lipsku, gdy rozgrywałem mecz w reprezentacji Polski juniorów z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Dowieziono nas tam nowoczesnym autobusem.

Boisko oświetlone elektrycznym światłem, równa jak stół zielona murawa sprowadzona bezpośrednio z Anglii, doskonale wyposażone szatnie z bieżącą ciepłą wodą i z salkami odnowy biologicznej. Graliśmy na wypełnionym po brzegi stadionie na otwarciu Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży Demokratycznej, które urządzone było przez komunistów zawsze z wielką pompą. Pamiętam, że występowaliśmy w przedmeczku przed spotkaniem futbolowym NRD z Węgrami. Madziarzy, którzy byli wtedy najlepszą drużyną piłkarską na świecie, wygrali zdecydowanie. My natomiast nieznacznie polegliśmy, płakaliśmy wówczas w szatni jak dzieci. Nie poprawił nam nastroju wystawny bankiet w hotelu Astoria. Doszło w nim zresztą do zabawnego epizodu, gdy moi koledzy spragnieni po meczu, jeszcze przed podaniem napojów, wypili wodę ze srebrnych miseczek, przygotowanych do... umycia rąk po zjedzeniu kaczki.

Warunki grania w „luksusie” próbowali powtórzyć w Polsce organizatorzy meczu naszej narodowej reprezentacji z mistrzem świata Niemiecką Republiką Federalną w 1959 roku. I tam było mi dane występować. Na odnowionym stadionie opolskiej Odry graliśmy na równie znakomitym trawniku, ale nowe szatnie były dość prymitywne. Zdziwiło mnie wtedy zachowanie opolskich kibiców, którzy wypełnili dziesięcioletnie trybuny. Na zmianę krzyczeli: Polskaaaa! i... Deutchlaaand! Nie spodziewałem się, że kilka lat po wojnie pozostało tam tak wielu niemieckich ziomków.

Mecz był zacięty, ale przegraliśmy dziesięć do czternastu. Dobrej atmosfery spotkania nie zakłócił incydent w hotelu, kiedy Niemcy rano

nie znaleźli swych butów, które wystawili do czyszczenia przed drzwiami pokoiów. Na szczęście nie zginęły, schował je do szafy sekretarz związku, ale niestety ich nie wyczyścił.

Byłem dumny z tego występu w narodowej reprezentacji Polski. Potem grałem jeszcze zwycięski mecz ze Związkiem Radzieckim w Kijowie. Jako drużyna mieliśmy szansę na olimpijski debiut w Tokio w 1964 roku, ale Japończycy z piłki ręcznej wtedy zrezygnowali na koszt bliskiej im siatkówki.

Wkrótce nastąpił zmierzch jedenastoosobowego szczypiorniaka. Nie pomogły zmiany przeprowadzone w przepisach, zatrzymowała koncepcja siódemki, gry szybszej i ciekawszej zarówno dla zawodników, jak i dla widzów. Decydujące było przeniesienie rozgrywek do hal i uniezależnienie się od pogody. Taka piłka ręczna zdobyła większe uznanie na całym świecie i w 1972 roku weszła do programu olimpiady w Monachium.

Z czasem wydawało się, że o szczypiorniaku wszyscy zapomnieli. I wtedy w 1993 roku zostałem zaproszony na jubileusz siedemdziesięcioletnia Związku Piłki Ręcznej w Polsce* do Kalisza. Głównym organizatorem imprezy był mój przyjaciel z boiska profesor Janusz Czerwiński. Zjechało nas ponad dwieście osób, zakwaterowaliśmy się w koszarach przeznaczonych dla więziennych „klawiszów” w Szczypiornie, obecnie dzielnicy Kalisza. W tych koszarach onegdaj przebywał Józef Piłsudski, późniejszy marszałek Polski, i był ponoć obecny na rozegranym tam w 1918 roku pamiętym meczu piłki ręcznej.

Na ten jubileusz, obok przedstawicieli władz, przyjechało też wiele notabli światowego handballu. Naprzeciw siebie stanęły jedenastki Polski północnej i południowej. To był jeden z ostatnich meczów w szczypiorniaku na świecie. Dopiero tam udało się nam przełamać hegemonię śląską w jedenastce. Zwyciężyliśmy zdecydowanie dwanaście do ośmiu.

* Polski Związek Piłki Ręcznej i Palanta Sportowego założono w 1918 roku. Obejmował on wtedy siatkówkę i koszykówkę. Jeszcze przed wojną te gry rozdzielono i w stowarzyszeniu pozostał tylko szczypiorniak. Po wojnie związki reaktywowano. Polski Związek Piłki Ręcznej, czyli PZPR, egzystował obok PZPN, PZK, ale w 1948 roku, kiedy PPR-owcy zaanektowali PPS, a nowo powstałą partię zarejestrowano pod nazwą PZPR, komuniści mieli problem. Rozwiązano go dopiero w 1951 roku, po wyrzuceniu sprzeciwiającego się zmianie nazwy związku prezesa Nowaka. Bez pardonu zlikwidowano wówczas starą nazwę kosztem swistej hybrydy ZPRP. W demokratycznej Polsce nikt nie próbował przywrócić piłce ręcznej znikąd znikłego powszechnie skrótu PZPR.

Dylemat pana Leona

Pana Leona Walleranda spotkałem pierwszy raz na boisku Technikum Budowy Miast i Osiedli. Donośnym głosem ustawiał uczniów grających tam w piłkę ręczną. Nie spodziewałem się wtedy, że związę się z tym człowiekiem na długie lata i że ten skromny wuefista będzie jednym z moich najważniejszych wychowawców, a w końcu zostanie moim przyjacielem. Leon Wallerand rozpoczynał wówczas swoją wielką karierę trenerską. Tu, w Gdańsku tworzył ośrodek piłki ręcznej, który później przez wiele lat należał do najsilniejszych w Polsce. Sukcesy w sporcie profesjonalnym opierał na szerokiej kadrze wychowanków.

Jak obliczyli później statystycy, nauczył grać w piłkę ponad dwa tysiące uczniów, z których co najmniej stu występowało w ekstraklasie, a prawie dwudziestu reprezentowało barwy narodowe. Nic zatem dziwnego, że i mnie wciągnął do trenowanej przez siebie gwardyjskiej drużyny, która wówczas na fali przemian 56 roku przyjęła nazwę Wybrzeże. Moje treningi zaakceptował bez oporów tato, któremu trener wyjaśnił, że akces do klubu nie jest równoznaczny ze wstąpieniem w szeregi milicji obywatelskiej.

Pan Leon rozpoznał wówczas w ojcu dentystę, który wyrwał mu zęba jeszcze w Szwajcarii w obozie internowanych polskich żołnierzy z Dywizji Strzelców Pieszych. Wallerand zbiegł tam z Francji, gdzie, wywieziony przez Niemców, przymusowo pracował w jednostkach paramilitarnych. Odbudowywał mosty zniszczone przez Polaków walczących z wojskami Wehrmachtu. O swoich wojennych losach opowiedział nam dopiero po latach. Nie tylko on ukrywał wtedy wojenną część życiorysu. Z obozu w Szwajcarii uciekł jeszcze przed końcem wojny. Planował powrót do rodzinnej Kościerzyny, ale przechwycili i uwięzili go partyzanci w Serbii.

Nie ustaliłem szczegółów, jak się stamtąd wydostał i zdołał dotrzeć do Afryki. Niekiedy utrzymywał, że statkiem przez Rosję, innym razem, że z Jugosławii samolotem brytyjskim, przemycony przez załogę polskich lotników, dostarczających generałowi Tito broń i amunicję. Nie udało mi się też sprawdzić, czy jeździł, jak mówił, w czołgu razem z bratem prezydenta Kennedy'ego. O tym, że w Afryce był wcielony do armii generała Andersa i wyzwał Włochy, mogły potwierdzić nie tylko odznaczenia, medale, ale i fotografie, które pokazywał nam w swym domu. Zapamiętałem, przeglądając jeden z jego albumów, jak podczas procesji Bożego Ciała 1945 roku w Bergamo prowadził idącego z hostią znanego kapelana Czapiewskiego.

Gdy zatem po latach przeczytałem w gazecie, że ten sędziwy kapłan armii Andersa doczekał w Gdyni jubileuszu stulecia, natychmiast zawiozłem do niego pana Leona. To było potwierdzenie jego wojennych przygód, dwaj starsi panowie ze swadą i wzruszeniem przypominali sobie tamte czasy.

W Gwardii trener Wallerand oficjalnie prowadził zespół ekstraklasy, ale miał pod kontrolą wszystkie drużyny. Graliśmy latem w jedenastkę na stadionie przy ulicy Elbląskiej, a zimą w siódmkę w małej hali na Kartuskiej. Jego drużyny zdobywały w tym czasie tytuły na różnych szczeblach, co zawdzięczał świetnie zorganizowanej pracy. Swoje zalecenia korygował na bieżąco, a uwagi zapisywał w stukartkowych zeszytach. Treningi u niego były ciężkie, obowiązywała żelazna dyscyplina, ale graliśmy coraz lepiej. Razem z nim zwiedzaliśmy Polskę, na początku Szwajcarię Kaszubską, bo tam pan Leon organizował obozy treningowe.

Grałem coraz lepiej, ale jeszcze na dobre się nie zadamowiłem w pierwszym składzie Wybrzeża, gdy milicyjni bonzowie na otwartym zebraniu zwolnili Walleranda z gwardyjskiego klubu. Wyrzucono go za to, że nie zdobył oczekiwanego przez nich mistrzostwa Polski seniorów. Byłem świadkiem tego prowadzonego w iście stalinowskim stylu, żenującego spektaklu. O dziwo, zaakceptowała to wierchuszka pierwszej drużyny, wielu starszych zawodników męczyły bowiem ostre treningi i wprowadzona przez Leona żelazna dyscyplina. Na miejsce Walleranda pozyskano Bregułę, trenera reprezentacji Polski, absolwenta słynnej szkoły sportowej w Lipsku. Kiedy do nas zawitał, treningi ograniczył do pierwszej drużyny, szybko też zrezygnował z gry w jedenastkę na rzecz siódemki. Niestety niewiele to pomogło, bo chociaż ściągnięto do zespołu kilku kadrowców, Wybrzeże w kolejnych latach znów musiało się zadowolić tylko wicemistrzostwem.

Pana Leona nie załamało zwolnienie, okazał się twardym człowiekiem, natychmiast przeszedł do gdańskiej Spójni i zorganizował tam sekcję piłki



Trener Leon Wallerand

ręcznej. Przejął swoich szkolnych wychowanków, których dość lekkomyślnie pozbył się jego następca.

Ja sam jeszcze wiosną 1958 roku grałem w Wybrzeżu przeciw Spójni, a już jesienią zostałem kapitanem drużyny moich kolegów u boku Walleranda. Po dwóch latach treningów weszliśmy do elity jedenastek, po trzech – awansowaliśmy do ekstraklasy siódemek, a już po czterech byliśmy w krajowej czołówce i wygrywaliśmy też regularnie boje z Wybrzeżem.

Zostałem prawą ręką Leona, mogłem się z bliska przyjrzeć się jego pracy. Jego metody treningowe polegały na doskonałym przygotowaniu fizycznym, potrafiliśmy grać na „pełny gaz” od pierwszej do ostatniej minuty. Wallerand przy tym nie uznawał schematów, stawiał na graczy inteligentnych i pozwalał na pełną improwizację podczas gry. Kreował przy tym wielką wolę do zwycięstw, a powstające konflikty likwidował w zarodku. Był nie tylko naszym trenerem, ale wychowawcą i opiekunem. W powojennych czasach, gdy wszystkiego brakowało, ze swoich skromnych funduszy dożywiał najbiedniejszych. Niektórzy, z braku lokum okresowo mieszkali nawet w jego domu. A co najważniejsze, wszystkich gonił do nauki, przy trudnościach interweniował w szkole czy na uczelni. To były inne czasy, ale do dziś trudno mi zrozumieć, jak to wszystko udawało mu się organizować.

Z drużyną Spójni Leon znów nie zdobył mistrzostwa, tylko brązowy medal. Nikt w klubie nie robił mu z tego powodu wymówek, a my byliśmy przekonani, że wkrótce sięgniemy po ten upragniony tytuł. Dlatego dla wszystkich wielkim zaskoczeniem był fakt, że niespodziewanie Wallerand nas opuścił i... wrócił do Wybrzeża. Jak się okazało po latach, interweniowały w tej sprawie wszechmocne wtedy władze milicyjne. Chcieli uratować przed spadkiem z ligi opuszczoną przez Bregułę drużynę, z której kiedyś oni sami Walleranda relegowali. Zaszantażowali tego uczciwego człowieka fałszywym doniesieniem o paserstwo. Pan Leon do Wybrzeża powrócił, ale się nie mścił, tylko ostro wziął się znów do pracy. Do gwardyjskiego klubu zabrał ze sobą kolejną „falę” swych szkolnych wychowanków, tym razem ze słynnego Conradinum, dokąd się przeniósł w tym czasie.

Po dwóch latach nieoczekiwanie dla wszystkich zdobył z odnowioną drużyną Wybrzeża upragniony przez gdańszczan tytuł Mistrza Polski. Prowadził ten zespół z powodzeniem dość krótko, zaledwie parę lat. Odszedł, kiedy coraz większą rolę w świecie zaczęły odgrywać pieniądze i skończyła się era romantycznego sportu. Poświęcił się pracy pedagogicznej bez reszty, dalej szkolił zastępy młodych piłkarzy ręcznych.

Nastał wtedy złoty okres w historii gdańskiej piłki ręcznej, tytuły mistrzowskie seriami zdobywały Spójnia, a potem przez długie lata Wybrzeże, które święciło największe polskie sukcesy w Lidze Mistrzów.

W obu drużynach grało oczywiście wielu wychowanków Leona, a wśród nich najlepszy chyba polski handballista Bogdan Wenta, którego osobiście ścigał spod Tczewa i uczył w Conradinum.

Ligowe derby, jakie rozgrywały między sobą mistrzowskie drużyny, stały się świętem wybrzeżowego sportu. Trudno było zdobyć na nie bilety. Zawodnicy walczyli do upadłego, ale wojna się kończyła po ostatnim gwizdku sędziego. Leon był zawsze obecny na widowni, często razem szliśmy na piwo. Co ciekawe, po rozegraniu sześćdziesięciu dziewięciu meczy w ekstraklasie gdańskie derby okazały się nierozstrzygnięte! Trzydzieści dwa zwycięstwa Spójni, trzydzieści dwa zwycięstwa Wybrzeża i pięć remisów.

Na początku XXI wieku niespodziewanie dla wszystkich gdańska piłka ręczna zaczęła się sypać. Z prozaicznych względów – braku pieniędzy, najpierw Spójnia, a potem Wybrzeże rozwiązały swe sekcje. Nie znaleziono w Gdańsku żadnego poważnego sponsora, z czym trudno było się nam pogodzić. Tylko na chwilę udała się próba reaktywacji oparta na zbudowanym przez rektora Czerwińskiego ośrodku w gdańskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Większość grających znakomitych gdańskich szczypiornistów zaczęła występować na parkietach innych polskich miast bądź wyemigrowała za granicę. Dobrze pracujące w Trójmieście zespoły młodzieżowe straciły motywację, starsi zawodnicy, trenerzy, liczne grono działaczy nie mieli gdzie się spotykać.

Pan Leon dobijał dziewięćdziesiątki, jego wychowankowie z Wybrzeża i Spójni postanowili urządzić profesorowi uroczysty jubileusz w Kolorowej, znanej restauracji na Przymorzu. Na anons w gazecie zgłosiło się ponad sto osób. Chcieliśmy podziękować za treningi i mecze, które doprowadziły nas na szczyty sportowych sukcesów i za to, że pilnował naszej edukacji i otaczał nas ojcowską opieką. Na sali zasiadło wielu: magistrów, inżynierów, lekarzy, profesorów, dyrektorów, przysłano wiele listów, też z zagranicy. Depeszował prymas Polski arcybiskup Henryk Muszyński, którego Wallerand uczył wychowania fizycznego w Kościerzynie. Przybyli znani gdańscy chirurdzy profesorowie: Zbyszek Gruca, z którym Leon zaczynał trenerską karierę w kościerskiej szkole, i Marek Dobosz, z którym po latach kończył w drużynach Wybrzeża i Stoczniewca. Obecny na spotkaniu profesor Jerzy Młynarczyk,

jeden z najwybitniejszych polskich koszykarzy, przyznał się Leonowi, że uciekł na studia do Poznania, by tam móc grać w ukochaną koszykówkę, a nie w szczypiorniaka. Mistrz dziesięcioboju Jurek Detko, który na jubileusz został zaproszony ze swą orkiestrą, wyraził żal, że wcześniej nie grał w naszej zgranej paczce. Powiedział to ze śmiechem, po tym, gdy jeden z uczniów profesora, Bociek, nie bacząc, że Jerzy był zaproszonym gościem, w imieniu organizatorów ściągnął z niego wpisowe sto złotych.

Miałem zaszczyt prowadzić to spotkanie. Zaśpiewaliśmy Leonowi *Sto lat* i wtedy jubilat znów nas zaskoczył.

– Kochani – powiedział – co wy tu mi pieprzycie jakieś dyrdymały? Rozpadło się Wybrzeże, przestała istnieć Spójnia.

I grożąc nam laską, krzyknął do mnie:

– Ała! Zabierzcie się do roboty, trzeba odbudować i przywrócić potęgę gdańskiego handballu.

To były prorocze słowa. Jeszcze w trakcie jubileuszu podpisaliśmy list intencyjny, wkrótce zarejestrowano stowarzyszenie. Na jego czele stanęli: Jurek Nowak, Rysiu Gauden, Adrian Czoska z Wybrzeża i ja z Andrzejem Wlazło, Januszem Boćkowskim, Zbigniewem Trzuską ze Spójni, do których dołączył nawet Janusz Łukomski z AZS-u. Najważniejsze oczywiście były fundusze. Pierwszy większą wpłatę dokonał Jurek Nowak, a potem go przebił Wojtek Gembarowski, kolega Wlazły, znany sponsor z Wejherowa. Prezesem wybrano Ryśka Gaudena, który oddał swoją restaurację w Stegnie w dzierzawę i sam postanowił przejąć trudne obowiązki administracyjne. Otwarcie działalności odbyło się w łoży prezydenckiej Ergo Areny. Tam planowaliśmy rozgrywać mecze. Leon był zachwycony, gdy zawitał w niej pierwszy raz w życiu. Ale szybko sprowadzono nas na ziemię, trzeba było kupić sprzęt, wynajmować sale, płacić trenerom, zawodnikom. Tylko na sprzątanie, wraz z usuwaniem kleju z podłogi hali, używanego przecież przez grających, trzeba było wydać kilkaset złotych. Nie starczało pieniędzy, byliśmy bliscy plałty, wróciliśmy na biedną halę w Oruni. Zaczęliśmy kwestować, powstał klub sponsorów. Okazało się wówczas, że mamy wielu znaczących przyjaciół. Wiceprezydent Gdańska Andrzej Bojanowski grał kiedyś na kole w Spójni, prezes Stoczni Remontowej Jarek Flont był bramkarzem Wybrzeża, a w Lotosie za sportowe fundusze odpowiadał profesor Leszek Starosta, dawny goalkeeper Spójni. Udało się przezwyciężyć trudności, drużyna przyjęła dwuczłonową nazwę Spójnia-Wybrzeże. Zaakceptował to Wallerand, który zakończył tym samym swój dylemat, który z klubów

preferować. Po roku pan Leon zawiązał do hali awFiS na mecz decydujący o awansie do pierwszej ligi. Po zwycięstwie krótko skomentował:

– Dacie sobie radę beze mnie, mogę spokojnie umierać.

I wkrótce naprawdę odszedł. Na zawsze...

Drużyna wróciła do ekstraklasy, została wzmocniona, dokonano wielu transferów, ale po śmierci pana Leona rozpadł się ten klubowy mariaż. Wybrzeże zostało w Gdańsku, a Spójnia przeniosła się do Gdyni. Oba zespoły dołączyły do „konfliktu” między miastami, ale już beze mnie.

Ała

Zdecydowana większość zawodników grających w piłkę ma przezwiska. Tak też było w drużynie Spójni. Boiskowe pseudonimy są krótkie i dosadne, podczas gry nie ma wiele czasu na komunikację słowną. Przewiska przeważnie łączy się z nazwiskiem, imieniem, często z wyglądem, czasem ze zdarzeniem. Niektóre pseudonimy są ciepłe i przyjazne, inne złośliwe.

Grał ze mną Bociek, bo nazywał się Boćkowski, pseudonim Saszki pochodził od Sasina, Szyby od Szybki, Lisa od Lisiewicza, Silveti to skrót imienia Sylwestra Tomaszewskiego, Ojo zaś Olka Zimierskiego. Bramkarza Wiechułę zwano Dziadkiem, bo był najstarszy, Janusz Czerwiński został Chruścielem, gdyż był chudy i żyłasty. Podobny do Araba Leszek Pieczonka nazwany został Fakirem, a Stach Racuk, który zawsze zdrowo się odżywił, był Czosnkiem i tego bardzo nie lubił. Najmłodszy wówczas Andrzej Wlazło, który miał z nas największe „kopyto”, zwany był Fiurym od imienia znanego konia z amerykańskiego filmu, pochodzący z Gdyni Andrzej Lech swe przezwisko Garbus zawdzięczał skoliozie kręgosłupa. Ja byłem po prostu Gardzielem, oczywiście od nazwiska, ale nie tylko – grając na rozegraniu zawsze głośno gardłowałem, tym bardziej że byłem kapitanem zespołu.

Gdy jednak w ekstraklasie z racji warunków fizycznych przesunięto mnie na skrzydło, na chwilę zamilkłem. Gra w piłkę ręczną stawała się wtedy coraz szybsza i ostrzejsza. Na kole okrutnie mną poniewierano i jak padałem przy strzale, zaczynałem wrzeszczeć. Ten wrzask: Ała... natychmiast podchwycili koledzy i tak zostałem boiskowym Ałą. Okrzyk nie pomagał mi w zdobywaniu bramek, w tamtych czasach sędziowie odgwisdywali karne w ostateczności. Zmienionych przepisów, gdy przy rzucie na bramkę karane jest najmniejsze nawet dotknięcie, niestety już nie doczekałem.



Ała strzela gola w meczu ekstraklasy ze Spartą w Katowicach

Przezwise przyglęły do nas na zawsze, co czasem śmieszny i prowadzi do nieporozumień. Po wielu latach w sklepie monopolowym koło nieczynnej już hali na Słowackiego natknąłem się wieczorem na nieco podchmielonych osobników. Nagle jeden z nich krzyknął zdumiony:

– Patrz, k...wa, Kaziu, Ała żyje i prawie się nie zmienił.

Rozpoznałem ich, to byli kibice drużyny Spójni, znali wszystkie nasze pseudonimy na pamięć. Sława kosztuje, musiałem postawić pół litra, ale tego nie pożałowałem.

Mój ośmioletni wnuk Tadek zaczął kopać piłkę. W drużynie ma ksywkę Prezes. Jeszcze nie rozszyfrowałem, co to znaczy.

Zagłądali do waliz

Moja kariera w piłce ręcznej przypadła na lata sześćdziesiąte, kiedy uprawiany w sposób amatorski sport zaczął być wypierany przez zawodowstwo, a zabawę zamieniano w ciężką harówkę. Aby zwyciężać, trzeba było coraz

więcej przelać potu na boisku. Gdy zaczynałem grać w szkolnej drużynie, trenowaliśmy dwa razy w tygodniu, gdy kończyłem w zespole ekstraklasy też dwa razy, ale dziennie. Wzrosła znacznie liczba meczów, i to rozgrywanym często poza Gdańskiem. Przedłużono sezon, który praktycznie trwał cały rok. Zabierało to mnóstwo czasu, wymagało odżywiania lepszego niż przeciętne, zmuszało do stosowania odnowy biologicznej, a to wszystko kosztowało. Ostre przepisy amatorskie nie pozwalały na przyjmowanie z tytułu gry jakichkolwiek pieniędzy czy nagród, co dotyczyło także uczestników igrzysk olimpijskich. Na straży tych przepisów stał długie lata legendarny wówczas Avery Brundage, przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Nawet jemu coraz trudniej było utrzymać ten niezwykle ostry, choć romantyczny zapis.

Dla wyrównania szans niektóre kraje zaczęły powszechnie wprowadzać dla wyczynowych sportowców możliwości różnych rekompensat i dopłat. Przodowały w tym państwa tak zwanego obozu socjalistycznego, które w rywalizacji sportowej pragnęły zademonstrować światu swą przewagę nad systemem kapitalistycznym.

I my w klubie zaczęliśmy dostawać pieniądze: najpierw był to zwrot kosztów przejazdów na mecze, potem na tak zwane dożywianie, a wreszcie stypendia, i to wszystko z państwowej kiesy. W piłce ręcznej były to nieduże sumy, zaczynaliśmy od stu osiemdziesięciu, przez czterysta pięćdziesiąt, w końcu otrzymywaliśmy dziewięćset złotych. Te złotówki miały wartość podobną do obecnych pieniędzy. To nie wystarczało, ale dopiero po skończeniu mojej kariery te subsydia zamieniono na znacznie wyższe, w postaci fikcyjnych etatów, największe wypłacano przede wszystkim futbolistom.

Życie jednak nie zna pustki. W tamtych czasach polscy sportowcy znaleźli szybko znacznie lepsze możliwości pozyskania pieniędzy, które od lat wykorzystywane były w światku marynarskim. Czynnici uprawiający sport wyjeżdżali dość często za granicę, praktycznie zamkniętą w tym czasie dla zwykłego obywatela Polski Ludowej. Wyjazdy dawały możliwości niezłego zarobku przy handlowym obrocie towarów, co wynikało z różnic w cenach i kursach walut. Przeliczniki były duże, szczególnie przy wyjazdach na Zachód, gdzie można było dostać rzeczy deficytowe w kraju. Do tego jednak trzeba było mieć dewizy, a my przy wyjazdach zagranicznych dostawaliśmy co prawda kieszonkowe, ale były to groszowe diety, starczały na toaletę. Najprościej było załatwić u cinkciarzy dolary, za które bez kłopotu można było kupić pożądane rzeczy w doskonale zaopatrzonych sklepach za granicą.

Ale dolary kosztowały na czarnym rynku sto złotych, a więc kilka razy więcej niż po bankowym kursie, do tego ich wywóz był surowo zakazany. W poszukiwaniu dolarów rozbierano na granicy nawet do naga. Najbardziej opłacało się zatem pohandlować w dwie strony, korzystnie kupić i też lepiej sprzedać. W krajach zachodnich największą przebitką była wódka, na polskiej wyborowej zarabiano się niemal dziesięciokrotnie. Gdy pozyskane z wódy pieniądze korzystnie zamieniono na deficytowe w Polsce spodnie jeansowe, zyski znowu rosły i to wiele razy. Życ, nie umierać, tyle tylko że na przykład do Skandynawii nie można było wwieźć więcej alkoholu niż jedną flaszkę, a spodni przywieźć do kraju najwyżej dwie pary. Trzeba było zatem ryzykować, mieć sporo inwencji, a także szczęścia. Tego szczęścia zabrakło dla przykładu klubowym zapaśnikom, szmuglującym litry wódki do Szwecji w skrytkach wagonowych na promie. Kosztowało to ich nie tylko kilka tysięcy dolarów kary, ale skończyło się dla wszystkich sekcji gdańskiej Spójni rocznym zakazem wyjazdu za granicę.

Po tej wpadce nasz trefny towar przy zejściu z promu trzymaliśmy zawsze przy sobie. Wyjazdy zwykle odbywały się zimą. Pod obszernymi płaszczami można było umieścić wiele butelek w rękawach i w specjalnie uszytych „pasach cnoty”. Szwedzcy celnicy osobistych rewizji zwykle nie stosowali. Przemycaną wódkę sprzedawaliśmy tam bez kłopotu, a z powrotem przywoziliśmy nawet kilkanaście płaszczy ortalionowych.

W komisie we Wrzeszczu przy ulicy Partyzantów płacono po tysiąc trzysta złotych za sztukę. Jeden „obrót alkoholowy” dawał w sumie równowartość mojej rocznej pensji asystenckiej w Instytucie. Handlowym uzupełnieniem wódki były wiezione dodatkowo na zachód „prezenty”. Najbardziej ceniono za granicą polskie kryształki. Sprzedawaliśmy je często po meczu na *ad hoc* zorganizowanych aukcjach. Bulwersowało, że prezenty upłynniali także towarzyszący nam i pilnujący socjalistycznego porządku opiekunowie, którymi byli wtedy działacze partyjni.

Pamiętam, że przed wyjazdem do Francji udało się nam kupić rosyjski kawior, który i u nas był rarytasem, ale zdecydowanie tańszym niż na Zachodzie. Dostarczono go do gdańskich Delikatesów nie w słoiczkach, a w beczkach. Po protekcji kupiliśmy parę kilogramów w pergaminowych woreczkach. Był dobrze zakonserwowany, ale nie udawało się nam go nigdzie sprzedać. Ganialiśmy zdesperowani po paryskich rynkach, gdy raptem natrafiliśmy na siedzibę Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Rosyjskiej. Zapakaliśmy dyskretnie, otworzył stróż, znał rosyjski, kupił hurtem

wszystko. Był chytry, cenę kawioru zbił maksymalnie. Zważył i zapłacił. Nie wiedział, że w jednym woreczku zamiast kawioru był ołowiany, myśliwski śrut, który ponoć w Paryżu miał być „handlowym rarytasem”. Wyskoczyliśmy z budynku jak z procy i pobiegliśmy prosto do hotelu. Dla oszczędności nie kupowaliśmy biletów do metra i siusialiśmy pod mostem nad Sekwaną, oszczędzając dodatkowe dolary na toalecie.

Wkrótce nasze towary mogliśmy upłynniać oficjalnie bezpośrednio „u Żyda”. W Wiedniu, Sztokholmie, Kopenhadze zaczęły powstawać liczne sklepiki, ukierunkowane na bezwalutową wymianę z mieszkańcami zza żelaznej kurtyny. Towar szedł za towar. Sprzedawcy orientujący się dobrze w polskich realiach zdzierali z nas podwójnie przy kupnie i sprzedaży.

Jakże ważna znów stała się wtedy nasza inwencja. Do wymiany przekazywaliśmy nie tylko kryształ, wódę, kabanosy, suszone grzyby, kremy nivea, ale rzeczy nietypowe, które „Żydowi” trudno było natychmiast wycenić. Tym sposobem udało się nam dla przykładu korzystnie „wymienić” skórzane piłki handballowe i futbolowe, które jako sportowcy bez trudu mogliśmy przewozić przez granicę. Wszystkich przebił jednak Bociek, który zimą przytargał do Wiednia deskę windsurfingową, wprawiając miejscowego sprzedawcę w handlowe osłupienie. Dostawaliśmy za to w barterze modne ciuchy: jeansy, ortaliony, koszulki polo, które jednak trzeba było bezpiecznie przewieźć przez granicę. Bez cła można było wwieźć do kraju tylko pojedyncze sztuki każdego sortu, pakowaliśmy więc „podwójnie” nasze płaszcze i koszulki. Na siebie zakładaliśmy czasem nawet trzy pary spodni. Bywało, że w kolejowych wagonach ekspresu rozpakowywaliśmy kupione białe koszule, by wyczyścić nimi buty, czym zaskakiwaliśmy podróżujących z nami pasażerów. Nie wiedzieli, że tak używaną odzież nasi celnicy przez granicę przepuszczali bez cła.

W Wiedniu po zakupach biegliśmy zwykle do wesołego miasteczka na Praterze. Pociąg ekspresowy do Warszawy odchodził o północy. Razu pewnego ruszyliśmy na wyścigowy tor gokartowy. Po strzale wszyscy biegli do pojazdów, wygrywał ten, kto najszybciej pokonał trzy kółka. Tym razem już na początku wyścigu doszło do karambolu i Michała Bauera obróciło o sto osiemdziesiąt stopni. Nie przejął się tym zbyt i ruszył w przeciwnym kierunku. Pilnujący porządku na torze zbaraniał, przez mikrofon krzyczał:
– *Nomer sieben muss man stehen.*

Miszka nic nie rozumiał i spokojnie jechał dalej. Efekt był oczywisty, nastąpiła katastrofa. Na szczęście prędkości nie były wielkie, nic nikomu się nie stało, ale zachrypnięty spiker ryczał do nas:

– *Raus, raus!!!*

Wszyscy zrozumieli. Uciekliśmy szybko, tylko Michał złorzeczył, że nie zwrócili mu pieniędzy za pęknięte jeansy. Nie musiał ich już chować na granicy przed celnikami.

W najweselszym kraju wschodniego bloku te rewizje najlepiej ujmowała wówczas znana fraszka Załuckiego: „Zagląдали do kufrów, zagląдали do waliz, nie zaglądnęli do d... y, tam miałem socjalizm”, za którą występy satyryka cenzura zawiesiła wtedy na cały rok.

Fiury

Fiury, bo taki jest pseudonim Andrzeja Wlazły, od początku był ulubieńcem drużyny Spójni. Niezwykle uzdolniony ruchowo, przy dobrych naturalnych warunkach fizycznych, już jako piętnastolatek zadebiutował w naszej ekstraklasie. Wystąpił w niej jako pierwszy z drużyny juniorów prowadzonej przez trenera Janusza Czerwińskiego.

Andrzej od początku był dość niesubordynowanym psotnikiem, co dodawało mu swoistego uroku. Dostał ode mnie na treningu porządnego klapsa, gdy z premedytacją kopnął we mnie piłką, gdy schylałem się, by ją podnieść. Nigdy nie mógł mi tego zapomnieć.

Fiury należał do graczy mieszkających przy cieszącej się złą sławą ulicy Partyzantów we Wrzeszczu. Już na początku kariery tylko niepodważalne alibi gry w ligowych meczach uchroniło go przed podejrzeniem udziału w szajce kolegów, którzy w niedzielę kradli samochody sprzed hali Spójni.

Dzięki piłce ręcznej nie wdepnął w to towarzystwo. Grał na lewym rozegranium, strzelał bramki z wysokości i to wówczas, gdy opadał już mur broniących przeciwników. Przy czym, dziwna sprawa, jak piłka trafiała w słupek, to u niego w większości wypadków wkręcała się do bramki. Kochali go za to wszyscy kibice. Był nie tylko najmłodszym graczem siódemki Spójni, z którą zdobywał tytuły mistrzów i wicemistrzów Polski, ale też najmłodszym piłkarzem reprezentacji Polski, do której trafił, mając zaledwie szesnaście lat. Występował w tu ponad pięćdziesiąt razy, odgrywając w niej często rolę pierwszoplanową.

W 1972 przed olimpiadą w Monachium, gdy zawodnicy kadry przechodzili kolejne badania, stwierdzono u niego wadę serca. Doktor Michalski zabronił mu startów. Ta decyzja była dla Andrzeja wielką osobistą tragedią. Na



Fiury w charakterystycznym wyskoku

szczęście nie zrezygnował z piłki ręcznej, wyjechał do Austrii, gdzie przeszedł serię badań w różnych szpitalach i znanych klinikach. Komputerowe wyniki, wnikliwie odczytane przez tamtejszych lekarzy nie kłamały, mógł na nowo rozpocząć treningi. Grał cały rok w drużynie Union Krems, z którą zdobył mistrzostwo Austrii, strzelając najwięcej bramek w lidze. Błyskawicznie został w Dolnej Austrii jednym z najbardziej popularnych sportowców.

Wrócił do kraju i chciał pojechać na wymarzone igrzyska olimpijskie. Niestety znowu nie otrzymał od doktora Michalskiego zgody na grę. Polacy brawurowo zdobyli wtedy w Montrealu w 1976 roku brązowy medal, a Andrzej z bólem serca ponownie wyjechał do Austrii. Dowodzona później przez niego drużyna EC Eggenburg awansowała do ekstraklasy. Znow stał się bożyszczem kolejnego miasta. Prasa austriacka pisała wówczas o nim, że: „VLASZLO, obok wódki wyborowej, jest najlepszym produktem importowanym z Polski, jaki kiedykolwiek został przetransformowany do ojczyzny kraju Straussów”.

Powszechnie uważa się, że Andrzej był pierwszy, który przetał innym polskim szczypiornistom szlak do zachodnich klubów, był ich ojcem chrzestnym. Po latach wrócił do Gdańska. Został właścicielem całodobowego sklepu monopolowego. „Wyborową” można tam było kupić zawsze bez kłopotu.

Ostatnio przeszedł na emeryturę. Jego „prześladowca” doktor Michalski od dawna już nie żyje.

Spójnia Gdańsk – mistrzowski klub inżynierów

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w gdańskiej Spójni zebrała się paczka chłopaków, grająca świetnie w piłkę ręczną. Byliśmy młodzi pełni zapału i od początku wierzyliśmy, że wkrótce będziemy walczyć o najwyższe sportowe trofea i że zdobędziemy upragniony tytuł Mistrza Polski.

Jak wiadomo, od początku trenował nas Leon Wallerand, nauczyciel z wykształcenia i z powołania. Miał swoje zasady, uważał, że gra w piłkę to wspaniałe hobby, ale wszyscy bez wyjątku po szkole powinni też studiować, aby zapewnić sobie potem godne życie. Wiedział, że amatorskie uprawianie sportu nie zapewni nam zawodu. Dalsza nauka zwalniała też z powszechnego obowiązku służby w wojsku. To było szczególnie ważne dla nas, bo wojskowe zespoły ściągają najlepszych zawodników, a nam groziło to rozbiciem budowanego od podstaw teamu.

Wyszliśmy naprzeciw propozycji profesora, postanowiliśmy podjąć studia i to w większości na politechnice! Tak zrodziła się znana później w całej Polsce „Drużyna Inżynierów”. Ja byłem pierwszy, za mną poszli Andrzej Adamek, Janusz Boćkowski, Sylwek Tomaszewski, Tadek Chmielewski, Stefan Tarasiuk, Edek Patalon, Wacek Kwiatkowski, Piotr Goralski.

Z pierwszego zespołu tylko Janusz Czerwiński poszedł na studia wychowania fizycznego, a Olek Zimierski, mimo inżynierskiego nacisku, dopiero w ostatniej chwili politechnikę zmienił na szkołę pedagogiczną. Ze studiowania zrezygnował jedynie znacznie od nas starszy, pracujący w stoczni Dziadek – Edward Wiechuła, który służbę w wojsku odbył wcześniej.

Wallerand mocno zintensyfikował nasze treningi, co na początek zapewniło sukcesy i awans do ekstraklasy. Nasz trener w grze nie uznawał schematów, licząc zawsze na naszą inwencję, silną psychikę. Niestety to już nie wystarczało, o czym się przekonaliśmy, grając z najlepszymi drużynami świata. Sami zaczęliśmy wypracowywać różne zagrywki, Leon nie przeszkadzał. Na początku to była niemiecka „koronka”, ale najciekawszy był wtedy nasz „jajcarski” fortel, który zastosowaliśmy w ekstraklasie.

W czasie gry podnosiłem rękę i swym donośnym głosem ryczałem: trzy, siedem, dwa. Przeciwnicy zamierali w oczekiwaniu, co będziemy grać,

a my z zaskoczenia wchodziliśmy w rozluźnioną obronę jak w masło i strzelaliśmy bramki. Gdy po latach Kaju Frąszczak, trener naszego największego rywala Śląska, spytał, na czym polegał nasz schemat, odpowiedziałem szczerze:

– Na niczym, to był pic.

Te zagrywki udoskonalił Janusz Czerwiński, który zajął miejsce Walleranda. Mając do dyspozycji inteligentnych zawodników, doskonale wykorzystał swoją szansę. Opierając się na osiągnięciach profesjonalnej koszykówki amerykańskiej, jako jeden z pierwszych w Polsce zaczął z nami wypracowywać schematy rozgrywania akcji zarówno w ofensywie, jak i defensywie. Wprowadził

też obowiązkowe zgrupowania kondycyjne przed sezonem, z wielokrotni jeszcze częstotliwość treningów. Graliśmy coraz lepiej, wielu reprezentowało wówczas barwy narodowe. Po dziesięciu latach harówki, w 1968 roku zostaliśmy mistrzem Polski. Niestety nie udało się nam wystąpić w Pucharze Europy, gdyż Międzynarodowa Federacja Piłki Ręcznej na rok zawiesiła wtedy najbardziej elitarne rozgrywki. Bezpośrednim powodem było wkroczenie Armii Czerwonej do Czechosłowacji i stłumienie Praskiej Wiosny.

Po sezonie zgodnie z tradycją pozostał nam do rozegrania mecz między inżynierami a resztą drużyny. To nigdy nie był zwykły sparing, ale mecz o wszystko. Janusz, który wcześniej trenował juniorów, do tej reszty wprowadził swych najzdolniejszych wychowanków. Najlepszy był Andrzej Wlazło, ale kolejni: Zdzych Szulc, Andrzej Lisiewicz, Rysiu Michalak, a też Andrzej Lech i Szybka. Zaczęli studiować na AWF-ie. Inżynierowie poczuli się zagrożeni, naszą przewagę w drużynie przywrócili na szczęście skaperowani wychowankowie trenera Bereśniewicza, studenci Politechniki: Stanisław Racuk, Leszek Pieczonka, Michał Bauer, Heniu Czebi-Ogły. Najlepszy z nich, Staszek Stróżyk, doszedł nieco później.





Gdański Klub Inżynierów – Spójnia Gdańsk, mistrz Polski 1968.
W górnym rzędzie od lewej: trener mgr Janusz Czerwiński, Andrzej Wlazło, mgr Andrzej Lech, mgr inż. Leszek Pieczonka, inż. Janusz Boćkowski, mgr inż. Sylwester Tomaszewski, mgr Aleksander Zimierski, mgr inż. Stanisław Racuk, kierownik Bronisław Gajewski; w dolnym rzędzie: mgr Zdzisław Szulc, mgr Andrzej Lisiewicz, mgr Andrzej Szybka, inż. Stefan Tarasiuk, mgr inż. Michał Bauer, mgr inż. Andrzej Gardzilewicz i Helmut Pniociński

Przyszli, bo spółdzielczy klub Spójnia, prowadzony znakomicie przez pana Adama Buchwalda, zapewniał znacznie lepsze warunki uprawiania sportu niż akademicki AZS.

Po zwyciężonej walce zespół inżynierów jeszcze raz zwyciężył siedemnaście do szesnastu, jak się okazało po raz ostatni. Przegrani mieli pretensje do sędziującego kierownika naszej sekcji, pana Bronka Gajewskiego, że podyktował karnego w ostatniej minucie. Ale według moich zapisków głównym powodem ich klęski była absencja bramkostrzelnego Helmuta Pniocińskiego, który po sezonie pojechał do swoich rodziców w Tarnowskich Górach.

Mistrzostwo Polski powtórzyliśmy trzykrotnie. Janusz zaczął z powodzeniem prowadzić także drużynę narodową. Do Spójni ściągnął znakomitych zawodników: Zygę Kuchtę, Wacka Książka, Ryśka Guzika, Janusza Jakubowskiego i Jurka Melcera – reprezentantów kraju. Większość została zatrudniona w klubie, skorzystali też z możliwości ukończenia studiów. Dyplomy magisterskie bronili u trenera, profesora Czerwińskiego.

Dobra passa Spójni w ekstraklasie trwała jeszcze parę lat, kiedy do zespołu dołączyli wychowankowie trenera Janka Kleina. Najlepsi, Piotrek Cieśla oraz Włodek Zieliński, sięgnęli po medal olimpijski. Nikt jednak nie poszedł na trudne studia politechniczne, czas amatorskiego Klubu Inżynierów gdańskiej Spójni dobiegł końca.

Na świecie zaczęło się zmieniać podejście do wyczynowego sportu. Nastął czas profesjonalizmu, sportowcy stali się pracownikami najemnymi, za grę w piłkę zaczęto płacić pieniądze, i to coraz większe.

Garbus

Andrzej Lech, popularnie zwany Garbusem, był chyba najbardziej barwną postacią w drużynie piłki ręcznej gdańskiej Spójni. Ten zwykle lekko pochylony mężczyzna, zawitał do nas jako młodzieniec ze słynnej ulicy Śląskiej w Gdyni. W tamtym środowisku skończył zawodówkę i już jako szesnastolatek zaczął pracować w Stoczni im. Komuny Paryskiej. I tak jeszcze przed pełnoletnością poznał dobre i złe strony dojrzałego życia.

Smykałkę do piłki miał od dziecka, gdy zatem pojawiła się szansa gry w drużynie inżynierów i magistrów, natychmiast ją podjął. Zostałem jego opiekunem po tradycyjnym „chrzcie”, który u sportowców jest odmianą zabawy w dupniaka. Wprowadzałem go w tajniki szczypiorniaka, zapraszałem do domu na kolacje. Szybko zaskarbił sobie sympatię mojej małżonki. Zgodnie z przyjętymi w Spójni regułami wymusiłem na nim powrót do nauki. Zakasał rękawy i zaczął wkuwać. Zdał maturę, dostał się na AWF, zrobił magisterkę i został asystentem w Katedrze Gier Sportowych u Janusza Czerwińskiego.

Ale Garbus przede wszystkim grał w piłkę ręczną. I to grał znakomicie! Zadziorny, ambitny i pracowity, brylował nie tylko w obronie, gdzie wykorzystywał zdobyte wcześniej koszykarskie umiejętności. Razem z Andrzejem Wlazło i Zygfrydem Kuchtą był autorem „dwójkowej zagrywki” w ataku, po której zawsze padały gole. Do blokowania obrońców wykorzystywał swoje



naturalne zgarbienie. Szybko awansował, grał na kole w Spójni i później w reprezentacji Polski. Po krótkim czasie w obu drużynach został kapitanem. Andrzej miał wybujały temperament, nad którym zawsze starał się panować, ale raz na wspólnym bankiecie Spójni i Wybrzeża nie wytrzymał i stuknął obrażającego go ubeka. I poniósł konsekwencje. Ówczesne władze pozwoliły mu jeszcze wziąć udział w monachijskiej olimpiadzie, ale potem jak wielu „trefnych” obywateli Polski Ludowej obowiązywał go ZOK, czyli zakaz opuszczania kraju.

Dla wybitnego sportowca był to przedwczesny koniec kariery. Nic zatem dziwnego, że gdy tylko nadarzyła się okazja, prysnął za granicę. Jak to zrobił, wiedzą tylko wtajemniczeni. Osiadł w pobliskiej Austrii. Nostryfikował dyplom nauczycielski na Uniwersytecie Wiedeńskim i grał jeszcze z powodzeniem przez kilka lat. Pomagał nam w kraju, pomagał także emigrującym do Austrii piłkarzom ręcznym.

Gdy zmarła mu przedwcześnie ukochana żona, rzucił się w wir pracy. Wychowywał syna, uczył w szkole, został trenerem. Prowadził z sukcesami męskie zespoły ligowe i słynną żeńską handballową drużynę Hypobanku z Wiednia, która zdobyła Puchar Europy.

Nagle zawitał do Gdańska i powiedział:

– Ała, mam dość tego kołowrotu w pracy i w domu, muszę ustabilizować

swoje życie, znajdź mi żonę. Najlepiej, żeby to była młoda lekarka, zajmie się moim zdrowiem, poprowadzi mi gospodarstwo.

Na jego prośbę zareagowała natychmiast Hania:

– Mam taką na podorędziu, świetna dziewczyna, chociaż po przejściach.

Spotkanie z Marylką, lekarką ze Szpitala Zakaźnego, zorganizowaliśmy w Heweliuszu. Po kolacji Garbus odprowadził ją do domu, a już rano Marylka zadzwoniła do żony:

– Haniu, co mam robić? Andrzej powiedział mi, bym pojechała z nim do Wiednia i jak przetrzymam zimę, to się ze mną ożeni.

Hania, która robiła za swatkę, odpowiedziała krótko:

– Jedź.

Na wiosnę się pobrali. Doczekali się dwójki dzieci. Stworzyli na obczyźnie wspaniały, otwarty dla wszystkich dom. Garbus dalej pomaga rodakom, nie tylko piłkarzom ręcznym. Umiejętność współżycia i postępowania z ludźmi, a przede wszystkim bezdyskusyjny autorytet, jaki zdobył w Austrii, były powodem, że został prezesem Polonii.

Tylko jak się wkurzy i dławi go tęsknota, wsiada w samochód, by wypić drinka w pobliskim Zakopanem. Nie zatrzymują go już na żadnych granicach. Tam Baca, jak siebie nazywa, czuje się najlepiej. Teraz, gdy wreszcie przyśpieszyły polskie pociągi i zbudowano też autostrady, przyjeżdża coraz częściej do Gdańska nad polskie morze.

Dziwny jubileusz

Janusz Czerwiński przyjechał do Gdańska z Dolnego Śląska. Ten skromny człowiek doskonale wkomponował się w nasz zespół, a piłka ręczna stała się szybko jego przeznaczeniem. Zawdzięczał jej karierę i tytuły naukowe. Ale, jak się okazało, i piłka ręczna też zawdzięczała mu wiele, bo Janusz opracowywał nowe kierunki jej rozwoju, które z powodzeniem sprawdzał na boiskach w kraju i za granicą.

Po latach zaprosił mnie na jubileusz pięćdziesięciolecia swojej kariery. Wydawało mi się, że przy tej okazji znów spotkają się starzy przyjaciele. Przybyło jednak znacznie więcej osób, a uroczystość swym zakresem przekroczyła nie tylko moje wyobrażenie. Na gdańskim AWF-ie zorganizowano ją z wielką pompą, co trąciło megalomanią. Prelegenci prześcigali się w bałwochwalczych wystąpieniach. Przyszedł czas na moją mowę, którą



Profesor Janusz Czerwiński,
rektor gdańskiej Akademii
Wychowania Fizycznego

wcześniej musiałem przesłać organizatorom do druku w okolicznościowej książce. Wygłosiłem ją jednak w nieco zmienionej wersji, którą przytaczam poniżej:

„Drodzy Koledzy i Koleżanki, Szanowny Jubilacie,

Profesora Janusza Czerwińskiego znam prawie tak długo, jak trwa czas jego kariery sportowej. Praktycznie od chwili, kiedy rzuciłeś ukochaną koszykówkę na Dolnym Śląsku i w Gdańsku zacząłeś grać w szczypiorniaka.

W Polsce sport był wówczas swoistą enklawą odgrodzoną od wprowadzonego po wojnie systemu bolszewickiego, tak zwanej dyktatury proletariatu, a mówiąc mniej elegancko: «dyktatury ciemniaków». Gra w piłkę była dla nas ucieczką ze świata absurdu w normalność, w sporcie bowiem zachowano prymat pracy nad lenistwem, rozsądku nad głupotą. Młodzi, tworzyliśmy z Tobą drużynę gdańskiej Spójni, odkrywaliśmy piękny świat wśród szarości życia. Co

ważne, świat uczciwy, przyjacielski, patriotyczny i – jak się okazało później – pełen sukcesów. Te sukcesy przeplataliśmy oczywiście i porażkami, co uczyło nas pokory i twardości. Dzięki temu łatwiej nam było znosić też życiowe niepowodzenia i zawsze wychodzić z nich obronną ręką.

Ale i w sporcie nie można było wtedy uciec od wszechogarniającej nas komunistycznej polityki. W piłce ręcznej mamy też stronę lewą i prawą.

Pamiętasz, Januszu, trener Leon Wallerand ustawił nas obu na «lewo». Mnie zapewne, bo miałem zawsze gromki głos komunistycznego aktywisty, Ciebie chyba dlatego, że byłeś mańkutem. I chociaż poglądy, jak większość Polaków, mieliśmy opozycyjne, zgodnie z ówczesną doktryną atakowaliśmy zaciekle tych z prawej strony, bo oni nacierali stamtąd na naszą bramkę. Gorzej mieli koledzy z prawej, a nawet ze środka, by nie podpaść władzy ludowej, obowiązkowo maszerowali wówczas w pochodach pierwszomajowych.

Zdobywaliśmy wspólnie różne trofea, nawet mistrzostwa polski, reprezentowaliśmy barwy narodowe za granicą. Co ważne, te sukcesy notowaliśmy nie tylko w sporcie. Spójnia przecież była drużyną inżynierów i magistrów. Po skończeniu kariery sportowej praktycznie wszyscy zrobili karierę, ustawili się w życiu. Ty zostałeś naszym trenerem, a potem przejąłeś z powodzeniem kadre narodową, zdobyłeś też medal olimpijski.

Ku zaskoczeniu większości z nas, dumnych ze swej neutralności, Ty, Januszu, wstąpiłeś do partii. I kiedy my «przymusowo» budowaliśmy Polskę Ludową, ten świat pełen pozorów – sam współtworzyłem polską energetykę, bo przecież – jak mawiał Lenin – «komunizm to władza Rad i elektryfikacja kraju», wtedy ty znowu nas zaskoczyłeś. Wyjechałeś za granicę, by «utrwać» kapitalizm na Zachodzie, najpierw w Islandii, potem w Grecji. Zaangażowałaś się aktywnie w tworzony przez księżęta i światowy biznes ruch olimpijski. Zazdrościliśmy Ci międzynarodowej kariery, ale równocześnie byliśmy dumni z Twoich wielkich sukcesów.

Nie było zatem nic w tym dziwnego, że gdy w Polsce wybuchł czas Solidarności, znów byliśmy razem, chociaż my z Wałęsą, a Ty w drużynie Mieczysława Rakowskiego i później Aleksandra Kwaśniewskiego.

Nie rozdzielił nas stan wojenny, kiedy zatem nastał czas rozmów Okrągłego Stołu, czas trudnej wolności, zaczęliśmy, każdy na swoim polu, wprowadzać w życie nasze idee sumiennej pracy.

Dla przykładu, widzimy naocznie jak tutaj, pod Twoim kierownictwem, rozwija się pięknie gdańska Akademia Wychowania Fizycznego.

Znów więc gramy w jednej drużynie – w Polsce, która zawsze była dla nas dobrem najwyższym. Bo tak przecież było i dawniej, kiedy graliśmy w narodowej reprezentacji z orzełkiem na piersi. Nie wiem tylko, kto gra po której stronie: lewej czy prawej? Ale jakie to ma teraz znaczenie...”

Impreza była udana, ale po kilku dniach Janusz zadzwonił do mnie i powiedział:

– Ała, przesadziłeś, niektórzy moi koledzy byli oburzeni. Odsłuchałem jeszcze raz nagrane twoje przemówienie, po co wmieszałeś w to politykę?

– Jeśli cię to uraziło, to przepraszam, ale ty też z tym jubileuszem przesadziłeś. Nie musiałeś też przemówienia nagrywać, bo mam je na piśmie i odpowiadam za każde słowo – zripostowałem.

Przez trzy miesiące mieliśmy ciche dni. Nasza przyjaźń przetrwała, bo przecież znamy się jak łyse konie i szanujemy wzajemnie. Tymczasem jego

ówcześni pochlebcy zgotowali mu wkrótce i to w ukochanej uczelni swoiste piekło. Życie okazało się brutalne, profesor Czerwiński dla równowagi ducha musiał ratować się wewnętrzną emigracją w swej daczce w Bieszczadach.

Trwało to krótko, teraz znów działa na niwie naukowej i sportowej, szefuje Klubowi Wybitnych Reprezentantów Polski w piłce ręcznej.

Ku zadowoleniu zapraszanych gości powrócił do organizowania spotkań i jubileuszy. Wśród nich nie widać już tych, na których się zawiódł, na spotkaniach przeważają teraz przyjaciele z boiska, także z gdańskiej Spójni.

Trzej przyjaciele z boiska

Trzej przyjaciele z boiska, skrzydłowy, bramkarz i łącznik,

Życie bez siebie nie mogą, dziarscy i nieodłączni,

Niejeden mecz już wygrali, niejeden przegrać zdążyli,

I wtedy się rozjeżdżali, lecz potem znów się schodzili.

To słowa znanej sprzed lat piosenki, śpiewanej bodaj przez aktora Andrzeja Boguckiego. W drużynie piłki ręcznej gdańskiej Spójni też było nas trzech

Ała



Sylwek





Bociek

przyjaciół: Andrzej, Janusz i Sylwek.

Na boisku wszyscy graliśmy w ataku. Ja na lewym skrzydle, Bociek na środku, Silweti na prawym. Razem awansowaliśmy do ekstraklasy. Niejeden mecz musieliśmy, przegrać, nim zaczęliśmy zdobywać najwyższe trofea sportowe z tytułem Mistrza Polski włącznie. Razem występowaliśmy w narodowej reprezentacji Polski, choć tylko Bociek grał w finałach Mistrzostw Świata. Razem zaczęliśmy studia na Politechnice Gdańskiej i z powodzeniem ją skończyliśmy, chociaż na różnych kierunkach.

Każdy z nas znalazł żonę na gdańskiej Akademii Medycznej. Podobnie jak my każda z nich, Hania Świcówna, Hania Szpotowicz i Basia Stadnicka, reprezentuje inne specjalizacje lekarskie. Wszystkim udało się też w trudnych komunistycznych czasach zbudować domy i letniskowe dacje na Kaszubach. Każdy z nas ma dwójkę dzieci: starszego syna i młodszą córkę, z tą samą, ukochaną żoną.

I chociaż w życiu często się rozjeżdżaliśmy, to jednak nadal utrzymujemy ze sobą kontakty. Odwiedzamy się, bawimy się na imprezach, jeździmy na wycieczki. Zamiast grać w piłkę, susujemy teraz na nartach. Coraz częściej jednak pobyty w górach łączymy z sanatoryjnym leczeniem naszych nadwerężonych kości.

Żyjemy szczęśliwie. Tylko Bociek na stare lata staje się coraz większym malkontentem. Na razie nie zdradza nam, co jest tego przyczyną.



Wysoka skakana i narciarskie szusy

Ostatni mecz w ekstraklasie piłki ręcznej zagrałem w 1969 roku. Leszek Pieczonka, który też kończył karierę, namówił mnie wtedy na grę w tenisa. Sam kiedyś był niezłym tenisistą gdańskiego AZS-u i powrócił na korty przy Hanki Sawickiej, dziś ulicy Uphagena. Tego mi właśnie brakowało, znów mogłem poszaleć na boisku.

Nie pobierałem lekcji, ale na korcie szło mi coraz lepiej. Rakiety były drewniane z małą główką. Ważna była nie tylko technika, ale i sprawność fizyczna oraz wytrzymałość. „Wysoka skakana na backhand i do siatki, by tam zakończyć wolejem” – taka była wówczas gardzielowa filozofia gry, skuteczna tylko do czasu.

W mistrzostwach Politechniki siedem razy dochodziłem do finału i tam przegrywałem, najczęściej z Maciakowskim, moim nauczycielem akademickim. W sopockich turniejach o Mistrzostwo Polski Oldboyów również stale dostawałem baty i tylko raz wszedłem do ćwierćfinału. Profesjonaliści też bez pardonu grali na mój fatalny „pchany backhand”. Satysfakcjonować musiały mnie moje tryumfy deblowe z Witkiem Błockim

i z bardzo sprawnym wuefiarzem Zbyszkim Milżyńskim. Najbardziej jednak cenilem sobie dość przypadkowe zwycięstwo nad moim mistrzem Leszkiem Pieczonką.

Z czasem odbijałem coraz lepiej, bo grałem większymi raketami z włókna węglowego. Biegałem jednak coraz wolniej i turniejowych postępów już nie robiłem. Systematycznie też dotykały mnie kontuzje. Likwidowałem je zwykle, wcierając w bolące miejsca różne maści. Przestrzegąła mnie moja Hania, świetna okulistka, bym przypadkiem nie wtarł sobie tych mikstur w śluzówki oczu. Bez skutku. Pewnego razu przed meczem maść wtarłem niechcący do śluzówki w niepożądanym miejscu. Myślałem, że wyskoczę ze spodenek. Przeciwnika starłem na korcie błyskawicznie i zrozumiałem, dlaczego dawniej chłopci przed sprzedażą starego konia wcierali mu do odbytu coś, co dziś nazywane jest dopingiem.

Grę w tenisa propagowałem z różnym skutkiem wśród rodziny i znajomych. Niektórych próbowałem uczyć, wśród nich nawet słynnego Nikosia, króla gdańskiego półświatka. Na korty przyjeżdżał najbardziej wypasionymi mercedesami. Mówiono, że prowadzi interesy na Zachodzie. Był jednym ze sponsorów piłkarzy gdańskiej Lechii, dlatego zaprosił mnie na decydujący o pozostaniu w ekstraklasie mecz ze Śląskiem. Nasi musieli wygrać jedną bramką, każdy inny wynik degradował gdańskich lub wrocławskich piłkarzy. I tak się stało. Mecz był ustawiony. Pozostał niesmak, który wyraziłem w ostrych słowach. Nikoś podszedł wtedy do mnie i powiedział z sarkazmem:

– Ała, ty grałeś w piłkę ręczną po amatorsku, teraz jest profesjonalizm. Jak w teatrze. Byłeś na Hamlecie?

– Tak, byłem.

– No właśnie. Z góry wiedziałeś, jak się skończy, a jednak poszedłeś. Liczy się dramaturgia i wrażenie artystyczne.

Na tym skończyliśmy dyskusję.

Po latach Nikoś wśród groźnych bandziorów też okazał się amatorem, nie przewidział, że zastrzeli go profesjonaliści.

Wkrótce zmieniłem korty Lechii na Podleśną. Pewnego razu koleddy przyprowadzili mi tam do nauki Ukrainkę ze Lwowa. Helenka przyszła umalowana i elegancko ubrana w szpileczkach. Do gry założyła niedbały strój i lewą ręką wymachiwała dość nieskoordynowanie pożyczoną raketą. Naukę z nią zacząłem od tańca. Moje tenisowe uderzenia były frajerskie, największą uwagę zawsze zwracałem na pracę nóg. Komicznie naśladowała ruchy moich



Z rakieta...

stóp, ale o dziwo coraz pewniej trafiała w piłkę. Wychodziłem z siebie, aby jej pomóc, a koledzy ryczeli ze śmiechu, nie wiedziałem dlaczego. Raptem przełożyła rakieta do prawej ręki, założyła opaskę na głowę i ograła nas wszystkich po kolei. Ugrałem honorowego gema. Okazało się, że Helenka to dawna mistrzyni juniorów Związku Radzieckiego. Do Polski przeniosła się na stałe i trenowała kobiecą kadrę sopockiego SKT.

Po tej wpadce swoje lekcje ograniczam do początkujących. Największym moim sukcesem było zaszczepienie tej pięknej gry w kręgu lekarskich rodzin: Smoczyńskich, a potem i Doboszów. Ulka i Andrzej oraz Aneta i Marek w tenisa tłuką bez przerwy. Mam satysfakcję, grają jeśli nie lepiej, to na pewno poprawniej technicznie i zdecydowanie ładniej ode mnie.

Zimą korty zamykano na kłódkę. Na początku lat siedemdziesiątych za namową Jacka Wyrwińskiego z Krętej, pasjonata jazdy na nartach, postanowiłem

próbować szusowania. To już nie była mordęga podchodzenia na długich nartach do góry, aby raz zjechać w dół, co pamiętałem z dzieciństwa. Narty stały się krótsze, wiązania bezpieczniejsze, buty bardziej dopasowane i przede wszystkim pojawiły się wyciągi. Najpierw orczykowe, potem coraz dłuższe i lepsze krzeselkowe, wagonikowe. Towarzyszyła mi żona, a później do jazdy doszlusowały nasze dzieci: Paweł i Ania. Pokochaliśmy ten piękny sport, bliski kontakt z naturą, góry, słońce, śnieg i upajająca szybkość. Zaczęliśmy wyjeżdżać z paczką znajomych do Bukowiny Tatrzańskiej i Zakopanego. Na wjazd do góry czekało się w kolejkach, największa była na Kasprowy. Zwykle na Halę Goryczkową szło się więc piechotą, by choć raz zjechać z tej kultowej góry na dół, do Kuźnic. Kiedy z pomocą śląskich górników powstał ośrodek narciarski w Szczyrku, porzuciliśmy z żalem Tatry. W Beskidach było znacznie więcej orczyków, ale i tam na wjazdy trzeba było czekać, szczególnie

kiedy na trasach narciarskich namnożyli się uprzywilejowani notable. To nam nie przeszkadzało, czasem używaliśmy różnych forteli, kombinowaliśmy lewe bilety, opłacaliśmy stacze.

Razu pewnego występowaliśmy na stoku jako kadra medyków. Na ten pomysł wpadł mój szwagier Piotruś Świca, który to załatwił z porządkowymi. Cały wic polegał na tym, że wszyscy mieliśmy jednakowe czerwone kurtki, okazjnie pozyskane w olsztyńskich zakładach Warmia. Nim się zorientowano w fałszerstwie, jeździliśmy pół dnia na okrągło i to za pół darmo. „Czarnego doktora”, czyli Piotra szukali później kontrolerzy. Bez skutku. On zbiegł na Golgotę i tam na najtrudniejszych dla narciarzy lodowych muldach katował swego przyjaciela Ciuchcią Juchniewicza. Mnie, i to z powodzeniem, przyszło wtedy uczyć jazdy na stokach Salmopolu stawiających pierwsze kroki na nartach Wiesię i Rafała, jego żonę i syna Piotra.

Wypadów na narty nie zaprzestaliśmy nawet w stanie wojennym, mimo utrudnień, gdyż trzeba było załatwiać specjalne przepustki w komendach milicji obywatelskiej. Pamiętam, że bawiliśmy w Szczyrku w knajpie Pod Żylicą. Zabawa była wspaniała, obok nas zasiedli górnicy z Wujka. Nie minęła godzina, a razem śpiewaliśmy na legionową melodię, że nie chcemy już komuny i nie oddamy Lwowa! Kierownika, interweniującego z obawy, że nas zamkną do więzienia, uspokajał wówczas Piotr Świca:

– Patrz pan, ile nas tu jest, a w pierdłu za rogiem są tylko trzy miejsca. Pomogło. Po dobrym kielichu do domów wróciliśmy bezpiecznie.

Komuna wkrótce padła, otwały się granice. Polscy narciarze ruszyli na alpejskie i dolomickie trasy, a my razem z nimi. Niestety rozpadła się nasza narciarska paczka, rozdzieliły się wyjazdy zaprzyjaźnionych rodzin.



Na nartach...

Wkrótce, po kolejnych kontuzjach, przestała jeździć Hania. Tylko na moment wróciła na stok w Wieżycy, by sobie udowodnić raz jeszcze, jak ładnie potrafi skręcać. Paweł, zdecydowanie najlepszy z nas, szuka zjazdów coraz bardziej ekstremalnych. Ania z Bartkiem i dziećmi do szusowania dołączyła wielokilometrowe biegi, nawet te słynne w Jakuszykach.

Szwagier Piotr dalej szaleje ze swoją lekarską grupą. Po przebytych zawalach jeździ zawsze w towarzystwie Pawełka Skarzyńskiego, który w ciągu lat w gdańskim środowisku medycznym stał się jednym z najlepszych specjalistów od chorób serc i to nie tylko niewieścich.

Ja zaś na starość dołączyłem do narciarskich grup seniorów, dla których bezpieczne wyjazdy w Alpy organizuje rodzina Zasłonków. Podczas kolejnego turnusu poczułem się głupio, gdy jeszcze w autobusie szef Wiesiu Zasłonka jako najstarszemu uczestnikowi przydzielił mi najbardziej dogodny apartament w hotelu na pierwszym piętrze. Po przyjeździe wszedłem do pokoju i zobaczyłem starszego pana, który pedantycznie układał poduszeczki na wielkim łożu. Rozpoczął swój drugi turnus. Przedstawiłem się i zapytałem bezczelnie:

– Czy pan sądzi, że będę z panem tu figlował?

Nieznajomy odpowiedział:

– Mam dwa sztuczne stawy, zabezpieczam się przed upadkiem.

– To dobrze się składa, bo moje stawy biodrowe też są sztuczne – odparłem ze śmiechem.

Pan Tadeusz Henicz, bo to on słał łożko, nie wytrzymał i skwitował nieco zdenerwowany:

– Niech pan nie drwi z mojej ułomności.

Próbowałem skończyć polubownie:

– To mam ścierać portki?

Zapadła cisza, gdy z toalety wybiegł Paweł Pertyński, towarzysz Tadzia, krzyząc:

– Ok...a, rekord Guinnessa! Na jednym łożku cztery sztuczne stawy.

Zaprzyjaźniłem się z moim towarzyszem niedoli. Ten wykształcony doktor rehabilitacji z wycuciem masował moje zmęczone ciało każdego dnia po szusowaniu na nartach. Do figli nie doszło...

Moi najbliżsi

Powrót taty

Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;

Tę balladę Adama Mickiewicza o powrocie taty czytała nam często mama na dobranoc. Wierzyliśmy zatem, że i nasz tato wróci do domu. I po wojnie wrócił, odnalazł nas w Miastku w listopadzie 1945 roku, na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych.

Pamiętam, jak do domu przy ulicy Szewskiej, gdzie się wtedy sprowadzi-
liśmy, wszedł nieznajomy, dobrze zbudowany mężczyzna w skórzanej kurtce.
Od razu poczułem jego siłę, gdy mocno mnie wyściskał. Nie rozumiałem
wtedy, dlaczego mama – witając go – płakała. Wkrótce zobaczyłem też
i płaczącego ojca. Jedyny raz w moim życiu. Stało się to tego samego dnia,
gdy razem z siostrą przed zaśnięciem, po wieczornym pacierzu, bezwiednie
prosiłmsy Matkę Boską o szczęśliwy powrót taty do domu... Tak samo
onegdaj modliły się dzieci w wierszu wieszczka:

Najświętsza Matko – przyśpiewują dziatki,
„Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!”

Przyjechał wówczas ojciec ze Szwajcarii pełen optymizmu i wiary, że teraz,
gdy nie ma już na świecie „zbójców”, można będzie od nowa szczęśliwie
urządzić życie. Nie wierzył w złowieszcze opowieści o bolszewikach, prze-
kazywane przez wypędzoną ze Lwowa rodzinę. Szybko zorientował się, że
w małym miasteczku są niewielkie perspektywy zatrudnienia i zdecydował,
że przeprowadzimy się do Gdyni. Do tego miasta miał sentyment, ponieważ
w nim jeszcze przed wojną poznał mamę. Dla rozeznania na Wybrzeże
wyjechał sam, w mundurze polskiego oficera, w którym dumnie parado-
wał. Wrócił po tygodniu zarośnięty, zgaszony. Pracy w Gdyni nie znalazł,
możliwość objęcia etatu ordynatora na ginekologii otrzymał w Gdańsku
w niezniszczonym Szpitalu Najświętszej Marii Panny na ulicy Łąkowej.



Mama i tato tuż po wojnie

UB przetrzymało go wówczas trzy dni na przesłuchaniu w areszcie na Okopowej. Sprawdzali, czy w polskiej armii na Zachodzie nie zaraził się kapitalizmem. I znów przytoczyć można prorocze słowa poety:

Dziatki sprawiły, że uchodzisz
cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc dziękuję za to, co się
stało,
A jak się stało, opowiem.

Wkrótce znaleźliśmy się już w Gdańsku, zatoka była wtedy cała skuta lodem. Lodowe panowały też stosunki w mieście między ludźmi a władzą. Tato zdjął mundur na zawsze... Nawet nie wiem, co mama z nim zrobiła. O swych przeżyciach wojennych w Drugiej Dywizji Strzelców Pieszych we Francji i internowaniu w Szwajcarii mówił zdawkowo.

Nie wiedziałem, że za granicą tych, co wrócili do kraju uważano za zdrajców. Dopiero po latach, już po śmierci ojca, przeczytałem o tym we wspomnieniach dowódców tatowej dywizji. To było niesprawiedliwe.

Gdańsk – mała ojczyzna

Dość długo moja najbliższa rodzina żyła w Gdańsku wspomnieniami Lwowa. Czasy były niespokojne. Między zwycięskimi aliantami zapanował swoisty rozejm, nazwany zimną wojną. Komuniści byli w ofensywie, opanowali Chiny, zaczęła się hałaburda w Korei. Większość Kresowiaków spodziewała się wybuchu nowej wojny i traktowała swój gdański pobyt



Gardzilewiczowie z babcią Jabłońską przed domem
na ulicy Śluza 12

jako stan przejściowy. Nie tylko wuj Kazik powtarzał, że wystarczy jedna bomba atomowa i wrócimy znów do Lwowa. To było chciejstwo, wyboru nie było.

Życie się normalizowało. Znikały powojenne gruzy, odbudowano Główne Miasto, stocznię, podnoszono z ruin kościoły, powstawały nowe szkoły. Trzeba było funkcjonować w nowych warunkach. Tego trudu podjęli się nasi rodzice. Był to patriotyzm pracy organicznej, który nie wszyscy akceptowali i który stał się tematem burzliwych dyskusji w naszych domach. Partyjni propagandziści stale próbowali nas indoktrynować, ale my okazaliśmy się w większości odporni. Budowaliśmy swoje jestestwo w kręgu rodziny, kościoła i szkoły, skutecznie broniąc ograniczonej niezawisłości.

Taką niezależną twierdzą był też dom moich rodziców. Obok nas czworga: mnie, mamy, taty i siostry Hani mieszkaly z nami babcia i ciocia Musia. Po rozłące i wojennych przejściach tato, dobrze prosperujący lekarz, spłacał dług rodzinie, pomagającej nam w czasie okupacji. Drzwi naszego domu były zatem zawsze otwarte dla krewnych: Doroszów, Jabłońskich,



Wojtek, Andrzej, Hania, Gosia, Jędrak

Ślotwińskich, Czerników. Na niedzielnych obiadach i w każde święta było u nas tłoczno, nieraz ze dwadzieścia osób, co jednak nie przerażało mamy, zawsze uśmiechniętej i zadowolonej, która te biesiady organizowała. Nie było telewizji, starsi debatowali głównie o polityce, ale gdy traktowali o sprawach poważnych, dzieci dla bezpieczeństwa wyrzucano za drzwi. Po podwieczorku grano w karty, czasem nawet przy kilku stolikach. Mężczyźni – do późna w brydża, a kobiety w taroka, remika, czy – przy uciesze dzieci – w loteryjkę na pieniądze.

W dni powszednie nasz duży dom był opanowany przez młodzież. Do Wojtka i Jędrka Doroszów doszła najmłodsza Gosia, ukochana córeczka wujcia Sławka. Obok nich przebywali u nas szkolni koledzy i koleżanki: razem się bawiliśmy, wspólnie odrabialiśmy lekcje, oni przychodzili też na wyżerkę, jedzenia bowiem w domu lekarskim nigdy nie brakowało.

Ten swoisty kołchoz nie trwał długo, sytuacja rodzin się poprawiała. Wielu przeprowadziło się do nowych mieszkań. W Gdańsku nie tylko budowano nowe osiedla, ale też zaczęto otwierać kina, teatry, powstała

opera. Premiera baletu *Mandaryna* z występem Alicji Boniuszko stała się sensacją w Europie. Tworzono wśród gruzów boiska, gdzie kopaliśmy piłkę. Na przebudowanym stadionie przy ulicy Traugutta grali swe ligowe mecze piłkarze Lechii i finiszowali kolarze Wyścigu Pokoju. Zwycięstwami naszych kolarzy nad zawodnikami Kraju Rad fascynowali się wszyscy. Ten burzliwy rozwój działalności kulturalnej i sportowej, który wymykał się spod kontroli aparatu partyjnego, był powodem, że my, młodzi, czuliśmy się wolni, nie doświadczaliśmy ustrojowych „ograniczeń”. W takich okolicznościach i w takim otoczeniu Gdańsk stawał się mi coraz bliższy i, o dziwo, to miasto zaczęli szanować zarówno jego dawni mieszkańcy, jak i powojenni przybysze.

Nastał rok 1956, potem 1968, 1970 i wreszcie niezapomniany Sierpień '80. Tym razem nie były to krwawe powstania, ale czasy protestów, które stały się milowymi krokami w kierunku zmiany systemu, w drodze ku wolności.

Po raz pierwszy w historii w tych przesileniach nie zginęło wówczas wielu. Wynikało to z doświadczenia kolejnych pokoleń, rozsądku przywódców,

Na gruzach przed Szkołą Podstawową nr 3 (z tyłu widoczny szpital na Łąkowej)



często obu przeciwnych stron. Nie tylko polski papież Karol Wojtyła nawoływał do dialogu, ale czynili to też ludzie stojący na czele opozycji, z prostym robotnikiem Wałęsą na czele. Za dialogiem opowiadało się też coraz więcej działaczy partyjnych, którzy często płacili za to wysoką cenę. Nawet wprowadzony w 1981 roku stan wojenny nie mógł już zniszczyć tego, co wypracowała polska Solidarność. Do zbrojnej walki z komuną chętnych było niewielu, ale do zmian powoli dojrzewała większość.

Zapowiedzią nowych czasów była obchodzona w 1987 roku rocznica śmierci słynnego gdańskiego astronoma Jana Heweliusza. Jej organizacją zajął się profesor Robert Szewalski, prezes Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. Obok członków Stowarzyszenia zaprosił do Ratusza Staromiejskiego biskupów, prezydentów, pierwszych sekretarzy, rektorów i senaty uczelni z Gdańska i miast kopernikańskich: Fromborka i Torunia. Wszyscy – duchowni, partyjni i bezpartyjni – przybyli solidarnie w galowych strojach. Na uroczystej sesji referat wygłosił, jak zwykle z pamięci, dziewięćdziesięcioletni już Szewalski, optymistycznie nawiązując do nowej rzeczywistości. Po nim zapadło mi w pamięci pełne empatii wystąpienie pana Hewelki, ostatniego z żyjących przedstawicieli rodu Heweliuszów. Przypominając losy znanej gdańskiej rodziny, wplątanej w dramatyczne historie grodu, mówił, że sam czuje się Europejczykiem, Polakiem, gdańszczaninem i Kaszubem.

W barwnym pochodzie wszyscy udali się później do kościoła Świętej Katarzyny, by wziąć udział w uroczystym pochówku szczątków wielkiego astronoma, odkrytych wówczas przez doktora Andrzeja Zbierskiego. Zgodnie z tradycją na zakończenie mszy błogosławieństwa tłumnie zebranych udzielił ówczesny biskup gdański Tadeusz Gocłowski.

Następnego dnia rano byłem u swego profesora i powiedziałem mu:

– Dziękuję za zorganizowanie wspólnie, patriotycznej uroczystości. Wczoraj zrozumiałem, że jestem nie tylko Europejczykiem, Polakiem, ale w pełni gdańszczaninem. Już nie lwowskim repatriantem, lecz autochtonem, ale też jeszcze nie Kaszubem. Od dzisiaj będę powtarzał wszem i wobec, że Gdańsk jest moją małą ukochaną ojczyzną.

Niedługo potem doszło do rozmów Okrągłego Stołu, nie tylko moim zdaniem największego osiągnięcia polityki ostatnich stuleci. Polska odzyskała niepodległość, dołączyła do rodziny demokratycznych krajów Europy, powróciła na tory gospodarki wolnorynkowej.

Gdańsk znów przeżywa złoty okres.

Zaręczyny siostry

W latach gimnazjalnych moja siostra nie cieszyła się powodzeniem u chłopców. Choć była piękną dziewczyną, w kontaktach z rówieśnikami czegoś jej brakowało, może zalotności, może spontaniczności czy odrobiny fantazji. Sytuacja nieco się zmieniła, gdy Hania została studentką. Jóki, bo tak zwracaliśmy się do Józefa Czauderny, był jej pierwszą sympatią. Gdy w 1957 roku pojawił się u nas w domu, wszyscy przyglądali się mu z zaciekawieniem. Mamie ten przystojny, czarny jak cygan mężczyzna z bielskiego Śląska spodobał się od razu. Kończył w Gdańsku medycynę, co gwarantowało życiową stabilność przyszłego małżeństwa. Tato też był zadowolony, bo Józek jego śladem, już jako student, zaczął specjalizację ginekologiczną, a do tego, co ważne w naszej rodzinie, grał w brydża. Dla mnie zaś najważniejszy okazał się fakt, że Jóki stał na bramce amatorskiej drużyny piłki nożnej Akademii Medycznej i natychmiast wybrał się na stadion przy ulicy Elbląskiej, aby zobaczyć mój pierwszy mecz, który rozegrałem w ekstraklasie szczypiorniaka.

Nic zatem dziwnego, że Józek przebywał w naszym domu dość często. Oczywiście przychodził do siostry, ale zapraszany przez tatę w weekendy zasiadał też do stołu brydżowego. Obok niego siadała Hania, chociaż jako jedyna w rodzinie miała awersję do kart. Trwała przy Jókim zawsze do końca, bo gra w męskim towarzystwie była u nas ostra, a jej obecność chroniła ukochanego przed besztaniem za popełniane błędy. Była skuteczna, w krytyce mitygował się nawet najbardziej impulsywny przy stole wuj Sławek. Pewnego razu Jóki zawitał do nas wcześniej i zastał w domu tylko

Jóki





babcię. Starsza pani czekała na taką okazję i bez ogródek mu zakomunikowała:

– Odwiedza nas pan od ponad roku, a do tej pory nie wiem, jakie są pańskie zamiary względem mojej kochanej wnuczki. To już najwyższy czas, aby się pan oświadczył.

Józef wyraźnie skonfundowany wyjawiał wszystko Haneci i skończyło się awanturą. Na babcię za to, że wtrąca się w nie swoje sprawy, krzyczały zarówno siostra, jak i mama.

Tydzień potem nastąpiła rzecz nieoczekiwana. Józek razem ze swymi rodzicami pojawił się u nas z wielkim bukietem czerwonych róż i oficjalnie się oświadczył. Wręczył też Hani zaręczynowy złoty pierścionek z brylancikiem. To była piękna uroczystość. Kilka dni później Jókiemu zmarł ojciec. Nie doczekał ślubu, ale dzięki naszej babci zdążył poznać przyszłą synową. Niedługo potem Hania z Józkiem się pobrali i doczekali dzieci: Piotra i Joasi. Hania poświęciła się pediatrii, Jóki zaś został znakomitym położnikiem. Żył jednak, podobnie jak jego ojciec, dość krótko. Zbyt krótko. Szybko straciłem najukochańszego szwagra i przyjaciela.

Próbowałem i ja z moją przyszłą żoną powtórzyć zaręczyny, ale one były wyraźnie skromniejsze. Ten piękny zwyczaj zaczął odchodzić w zapomnienie nie tylko w Polsce. A dziś młodzi coraz częściej próbują omijać nawet śluby.

Tradycja jednak nie ginie. Wydaje się, że zaręczyny powtórzą wkrótce wnuczka mojej siostry Hania i jej wybranek Maciej Markowski.

Pierwszy bal Hani

Kresowe lekarskie rodziny Gardzilewiczów i Świców trafiły do Gdańska w 1946 roku. Pierwsi spotkali się i zaprzyjaźnili ojcowie obu familii, doktorzy Piotr i Stanisław. Zostali zatrudnieni na oddziale chirurgiczno-ginekologicznym przez profesora Michejdę w szpitalu przy ulicy Śłuza. Przy tej samej ulicy zamieszkały też nasze rodziny.

Mój tato był ginekologiem, Świca chirurgiem. Obaj byli zdolni i dość szybko zasłynęli nie tylko w Dolnym Mieście jako znakomici operatorzy. Zaprzyjaźniły się wtedy i obie rodziny. Nas było więcej, Świców znacznie mniej. Obok Staszka tylko jego żona Klementyna, wybijająca się lekarz pediatry, ich córeczka Hania oraz gosposia Bronia, przywieziona z Krasnegostawu. Spotykaliśmy się na imieninach, razem spędzaliśmy święta. Na pasterkę chodziliśmy do Świętej Trójcy, gdzie kolędy pięknie grała strażacka orkiestra dęta. Na rezurekcję szliśmy do Świętego Mikołaja, bo tam odprawiano ją w sobotę i nie trzeba było wstawać na prymę w niedzielę o szóstej rano. Tylko w procesji na Boże Ciało uczestniczyliśmy w swoim parafialnym kościele na Łąkowej, gdzie malutka Hania sypała kwiatki. W niedzielę obie rodziny wyjeżdżały często na wycieczki w okolice Gdańska. Nieznane było jeszcze pojęcie weekendu, gdyż wówczas w soboty się pracowało i chodziło do szkoły.

Najbliżej nad morzem była plaża na Siankach. Tramwaj dochodził do mostu Siennickiego, potem czekała przeprawa promem przez Wisłę do Trojanu, a dalej to się szło piechotą. Mała Hania zwykle jechała na plecach swego taty. Mój ojciec czasami wyciągał motor i swoją victorią dwustupięcdziesiątką podwoził nas po kolei, zaczynając od najstarszych. Na Siankach było uroczo: słońce, woda, piasek. Do dziś pamiętam, jak mama pytała każdego po kolei:

– Kotleta schabowego czy cielęcego?

Ale nad morzem najlepiej smakował kompot z rabarbaru. Z pobliskiego lasu przynosiliśmy do domów zwoje drutu i innego zostawionego przez Niemców wojennego barachła. Żołnierze Wehrmachtu bronili się tutaj do upadłego. Ładunki wybuchowe praktycznie były już usunięte, ale na



Rodziny Gardzilewiczów i Świców oraz wuj Stawek
z synem na Siankach

podnieszonych domach widniały pisane cyrylicą przez Ruskich napisy „min niet”.

Na początku lat pięćdziesiątych wspólne wyjazdy się skończyły. Świcowie przeprowadzili się do Wrzeszcza, do willi na Kopernika. Urodził się im oczekiwany synek Piotruś, rozpieszczona córeczka przestała być jedynaczką. Nazwę Trojan zmieniono wtedy na Przeróbkę, gdy okazało się, że Trojan był hitlerowskim aktywistą. Sianki zmieniono na Stogi. Tramwaj zaczął dojeżdżać do samego morza, gdy odbudowano most na Martwej Wiśle.

Pewnego razu mama oznajmiła mi, że mam iść na szkolny bal z Hanią Świcówną. Obruszyłem się, byłem już studentem politechniki. Nie będę szedł z jakąś tam siuszką. Mama jednak wyjaśniła:

– To jest panienka z dobrego domu, jej nie wypada samej iść na pierwszy w życiu bal.

Ustaliła to zapewne z Muszką, jak potocznie wołano na Klementynę Świcową. Poszedłem, byłem zainteresowany zabawą w elitarnej Jedyńce, do której nie udało mi się wcześniej zawitać. Hania czekała w domu, była skromnie ubrana, krótka sukienka, czółenka od tatusia, które podkreślały



Haneczka
Świcówna

jej zgrabne nóżki. Ot, taki wyrośnięty podłotek. Po przyjeździe do szkoły powiedziałem jej:

– Teraz idź do swoich, ale na pewno odprowadzę cię do domu. I rzuciłem się w tany z maturzystkami. Nie przypadła mi żadna do gustu, powróciłem zatem do Hani, udało się nam zatańczyć ostatniego walca Straussa.

Do domu wracaliśmy piechotą. Hania szczebiotała całą drogę. Słuchałem przemądrzałej – jak mi się wydawało – dziewczynki jednym uchem. Nie spodziewałem się wtedy, jaką będzie w przyszłości wielką erudytką. Nie sądziłem też, że na długie lata zostanie moją żoną. Tak pięknie tańczonego walca nie powtórzyliśmy już nigdy więcej, ale gderania Hani słucham dalej dość często...

Ślub Anusi

Anusia z Bartkiem Borkowskim poznali się w Trójce, w cenionym gdańskim gimnazjum. Od razu przypadli sobie do serca. Już wtedy Bartek często nas odwiedzał, nikt jednak nie przypuszczał, że ten spokojny chłopak będzie przyszłym mężem mojej córeczki. Od szkolnych czasów byli nierozłączni, na ślub czekali jednak do ukończenia studiów. Bartka akceptowała cała

rodzina, ale mnie trudno było się pogodzić, że – po Pawełku – także córeczka opuści nasz dom.

W dniu zaślubin byłem nieswój. Ania nie pozwoliła robić żadnych zdjęć, kręcić filmów. Relację z tego uroczystego dnia przekazuję według odręcznego zapisu odnalezionej w pamiętnikach cioci Musi, która przez okres dorastania Anusi prowadziła nasz wspólny dom:

Dzień zaślubin Anusi i Bartka 27 czerwca 1998 roku był piękny i słoneczny, więc i nastrój w domu był pogodny, zwłaszcza że do tego czasu codziennie lało. To była dobrana i kochająca się para. Ania, którą znałam od kołyski, wybrała wspaniałego, grzecznego, dobrze ułożonego człowieka i to już na stanowisku, co miałam okazję sprawdzić osobiście. Na Krętą od rana zjeżdżali goście z różnych stron Polski. Z Warszawy przyjechała kuzynka Hani z dziećmi; z Wągrowca zawitał nestor Gardzilewiczów, stryj Zenek. Z Poznania przybyły jego córki z rodzinami i Zenią, stryjeczną siostrą Andrzeja z Kołobrzegu.

Był harmider i wiele radości. Do ślubu w naszym domu szykowali się też Młodzi, bo ceremonia miała się odbyć w kościele parafialnym panny młodej na Curie-Skłodowskiej. Anusia w swojej powłóczystej białej sukience i białych pantofelkach z wianuszkami bieluchnych kwiatków na głowie jawiła się cudnie. Bartuś w uroczystym stroju był czarujący. Kościół był pełen ludzi, ślubu udzielił ksiądz Eugeniusz Dutkiewicz, a świadkami byli bracia młodożeńców: Paweł i Filip. Na zakończenie zaśpiewała *Ave Maria* ich szkolna koleżanka Kasia Iwaszkiewicz. Kwiatów dostali tyle, że mogliby otworzyć kwaciarnię.

Wesele odbyło się w Sulminie, w majątku Borkowskich, rodziców pana młodego. Tam też udali się wszyscy na przyjęcie, a zaproszonych było ponad sto osób. Musieli długo czekać, bo zaślubieni pojechali nad morze... Wielką niespodzianką był zatem uroczysty przyjazd Pary Młodej do wsi wozem drabiniastym, z eskortą konnych jeźdźców. Na progu witali ich Rodzice. To wszystko malował na ustawionych przed domem sztalugach, wynajęty z Sulmina, wiejski artysta malarz.

Przy czarach szampana odśpiewano *Sto lat* i nastąpiła uroczysta prezentacja gości, wyreżyserowana przez Bohdana – tatę Bartka. To był wspaniały pomysł. Na uprzednio przygotowanej tablicy podawano szczegółowe informacje tych prezentacji. Pierwsza dotyczyła obu



Ksiądz Gienek Dutkiewicz udziela ślubu Ani i Bartkowi

koligaconych rodzin. Na długiej pięciometrowej desce siadali kolejno krewni i znajomi, przedstawiani przez ojców poślubionych. Tato Andrzej, ten po kądzieli, zaczął dowcipnie od swej pierwszej i jedynej żony, potem przedstawił syna Pawła, babcię Wandzię i wszystkich ze strony swojej oraz żony Hani; tych z Gdańska, z Polski i nawet ze Szwecji. Wyróżnił najstarszych: mnie i Zenka. Bohdan, teść po mieczu, wymienił małżonkę Grażynę z rodzicami, syna Filipa, a także swoich najbliższych z Gdańska i Poznania. Na końcu wyróżnił ciotkę Grażynę Roman, najukochańszą siostrę. W sumie, razem z dziećmi, krewnych było ponad czterdzieści osób.

A potem kolejno na ławie, ku ucieście gawiedzi zasiadali medycy, w tym Anusia; biznesmeni; Warszawiacy i ci spoza stolicy; koledzy Ani i Bartka; sąsiedzi z Krętej i z Sulmina; panie w kapeluszach; wreszcie sympatycy partii z prawej i lewej strony, od UPR-u, poprzez Unię Wolności, do SLD. Sądząc z roześmianych twarzy, Borkowski zabawiał gości pięknie, ale z racji przytępionego słuchu nie wszystko zrozumiałam.

Następnie przedstawieni goście udali się na przyjęcie, które odbyło się w przydomowym ogrodzie. I tu można było podziwiać inwencję

Bohdana. Było jak w bajce, w ogrodzie ustawiono stoły w podkowę, ukwiecone o tej porze roku drzewa oświecono lampionami. W środku stała specjalnie przygotowana estrada, przy której na podeście cichutko grała orkiestra ze starogardzkiej Szkoły Muzycznej.

Wszyscy, a było i ponad sto osób, zasiedli do suto zastawionych stołów, główne dania zapewniła z restauracji Kirkor mama Anusi, Hania. Wynajęci kelnerzy uwijali się, jak w ukropie, korzystając z rozstawionych na wypadek deszczu namiotów. Niestety, gdy zaczęły się tańce, opuściłam wesele. Do domu na Krętą, razem z siostrą Wandzią i Zenkiem odwiózł nas mój chrześniak Wojtek Dorosz, cioteczny brat Andrzeja. Wiem z opowiadań, że wszystko się skończyło nad ranem. Bóg pozwolił, że skończono przed straszną ulewą.

Ciocia Musia lat 93

PS

Tych parę słów, które napisałam, poświęcam mojej kochanej Anusi, która w moim sercu jest i będzie zawsze na pierwszym miejscu. Parze Młodej życzę szczęścia i wiele pogodnych i radosnych dni, niech Was Matka Najświętsza ma stale w swej opiece”.

Eton

Paweł w swoim postępowaniu był zawsze niekonwencjonalny i często zaskakiwał tym rodzinę i otoczenie. Wszystko, co zaczynał, szło mu jak z płatka, ale zwykle brakowało mu cierpliwości na skończenie rozpoczętych przedsięwzięć. Nie poszedł w moje sportowe ślady, chociaż i na tym polu był uzdolniony, o czym świadczyły postępy w jeździe na nartach. Ma słuch absolutny, co sprawdzono jeszcze w przedszkolu, ale muzyką zajął się dość późno, bo dopiero w średniej szkole, gdy przypadkiem zaczął grać na organach. Karierę wróżył mu sam Bogusław Grabowski, gdański mistrz gry na tym instrumencie. Za namową lekarskiej rodziny poszedł jednak na medycynę. Kupiłem mu wtedy niebacznie komputer, który go wówczas zainteresował. Ta fascynacja okazała się tak wielka, że chociaż skończył trudne studia medyczne, to grafice komputerowej oddał później swą duszę, ale dalej zaskakiwać nas nie przestawał.

Pewnego razu złożył mi propozycję, aby zrobić dość oryginalny interes.

– O co chodzi? – spytałem.

– Jest do kupienia koń. Rasowy, krwi angielskiej, do tego z rodowodem, i to okazjnie za jedyne tysiąc pięćset złotych.

Jak zwykle byłem ostrożny. Takie konie widziałem z bliska tylko kilka razy podczas gonitw na hipodromie w Sopocie. Odpowiedziałem, że się zastanowię. Czasy się zmieniły, ludzie wchodzili w różne biznesy, nawet Boniek po skończeniu kariery piłkarskiej kupował konie wyścigowe. Pierwsze rozeznanie zrobiłem u swego kolegi Jacka Ciesielskiego, który od dawna sponsorował jeździeckie hobby córki. Gdy zreferowałem mu sprawę, skrzywił się mocno.

– Gardziel, co ty gadasz mi jakieś pierdoły. Za mięso ze starego konia dostaniesz w rzeźni więcej. Ja za bombę spermy rasowego ogiera zapłaciłem w ciemno dwa tysiące złotych, a konia jeszcze nie mam, bo muszę znaleźć odpowiednią klacz. W co ty się chcesz wpakować?

Gdy powiedziałem o tym Pawłowi, usłyszałem w odpowiedzi:

– Tato, to jest kilkunastoletni wałach z państwowej stadniny pod Starogardem. Potknął się podczas pokonywania przeszkody i chociaż po rehabilitacji nie kuleje, został mu uraz w głowie i przestał skakać. Chcą go uśpić, a ja mam już miejsce w stajni w Koleczkowie, mogę go tam ujeżdżać.

Zawsze popierałem sportowe ciągotki syna, w większości różne niż moje. Zamówiłem ostateczną konsultację u „Ciuchci” Andrzeja Juchniewicza, znanego gdańskiego weterynarza. Okazało się, że Eton, jak nazwano wałacha, to koń zdrowy. Był mocno zmizerowany, pogryziony przez ogiera ze wspólnego boksu

Pawel z Etonem na pastwisku



i już nie skakał, ale jego noga była w porządku. Zapadła decyzja kupna. Paweł załatwił transport.

W niedzielę rano cała rodzinka stawiała się w Koleczkowie. Eton stał spokojnie w swoim boksie. Hania z Anusią przyszykowały aparaty fotograficzne, Paweł przygotował wałacha do pierwszego od dwóch lat wyjścia na dwór. Wkrótce zamknął wrota stajni i przekazał mi lejce. Ani się obejrzałem, a Eton, który poczuł wolność, ruszył z kopyta. Syn zdążył tylko krzyknąć:

– Tato, nie wypuść go!

Łatwo mówić, kilkusetkilogramowe konisko i ja ze swą koksartrozą. Biegłem za nim, utykając, ale na szczęście lejce były długie, wystarczyły do lonży, a Eton, gdy dobiegł do piachu, jak pies zaczął się tarzać. Stałem na drżących nogach, byłem uratowany! Dziewczyny, zaskoczone, nie sfotografowały mojej kłęski, Paweł zaś ze spokojem przejął kontrolę nad uszczęśliwionym koniem i rozpoczął ćwiczenia na uwięzi. Przez wiele lat z powodzeniem na nim jeździł. Próbowałem i ja raz dosiąść tego wałacha, ale na moje chore biodra miał niestety za szeroki grzbiet.

Po latach zainteresowanie Pawła koniem osłabło. Eton doczekał starości w klasztorze u sióstr zakonnych pod Wejherowem. Pomagał tam rehabilitować dzieci autystyczne.

Paśtek

31 sierpnia 1963 roku proboszcz parafii Chrystusa Króla ksiądz Kazimierz Kluz poświęcił mój związek z Hanią Świcówną. Odczytał nam posłanie świętego Pawła do Koryntian, słynny Hymn o miłości:

Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest,
Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku...
Nie unosi gniewem, nie pamięta złego,
Nie cieszy się z niesprawiedliwości,
Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy,
We wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma,
Miłość nigdy nie ustaje.

Wtedy te słowa do mnie nie docierały, byłem tylko oburzony, że tato Hani uparł się i staropolskim zwyczajem poprowadził ją do ołtarza. Siedzące

w kościele babinki komentowały, że taka młodziutka wychodzi za takiego starego.

Mój Paśtek, bo taki jest pseudonim żony, rzeczywiście był młody, Hania nie skończyła wtedy jeszcze dwudziestu jeden lat. Nie przypominam sobie, kiedy ją tak przezwąłem, ale w paczce listów miłosnych, które Hania trzyma w pudełeczku, przewiązanym wstążeczką, słowo „Paśtek” figurowało długo przed naszym ślubem.

W miarę czasu przesłanie świętego Pawła dochodziło do mej świadomości coraz bardziej, a i do mej małżonki chyba też.

Gdy pytam Hanię czy mnie jeszcze kocha, odpowiada zawsze jak Gołda swemu Tewjemu w *Skrzypku na dachu*:

– Powiedz, kto ci gotuje, opiera, sprząta, leczy...

Nasza miłość się jednak zmienia, czasami jest niecierpliwa, nie łaskawa, często się gniewa, jest pamiętliwa, ale wszystko znosi i nie ustaje. Nie ukrywam, że w życiu więcej zaznaliśmy radości niż smutku.

Skończyliśmy studia, zaczęliśmy pracować, ona okulistka, jak mawiał jej wuj Julek Baczyński, chociaż niewiasta bardzo kompetentna. Zbudowaliśmy dom, obok ogródek przez nią pieczołowicie pielęgnowany. Jeździmy po świecie, mamy udane dzieci, które też założyły swoje rodziny.

I na szczęście poglądy polityczne mamy te same, a to, jak się okazuje, jest ważne, bo też rodzi konflikty, czego niestety nie przewidział w swoim posłaniu święty Paweł.

Nie stanęła między nami żadna brzoza, nie zaległa mgła. Na pytanie, czy chcieliśmy się rozwiódź, odpowiadamy słowami mego mistrza profesora Szewalskiego:



Ksiądz Kazimierz Kluz i nowożeńcy



Paśtek



Sen Hani

– Nigdy, ale zamordować jedno drugiego chcieliśmy wiele razy, prze-
ważnie w czasie głębokiego snu.

Tak przeszło już nam ze sobą pół wieku. Koleżanki Hani nie mogą się
nadziwić, że wytrzymała ze mną tak długo. Ma na szczęście komu się po-
zalić, co czyni codziennie podczas półgodzinnych rozmów telefonicznych
z Basią Bielicką, cioteczną siostrą z Warszawy. Tamta też się pewnie żali na
swego Krzysia. Taki jest los większości mężów. Ostatnio Hania za swój trud
dostała w rocznicę naszego pięćdziesięciolecia medal od samego Prezydenta
Rzeczypospolitej. Ja również, ale mój medal jest jakby mniejszy, bo i moje
zasługi w tym stadle są mniejsze, przecież nie ja rodziłem dzieci.

Twierdza Sulmin

Sulmin to wioska niedaleko Gdańska. Jak podaje profesor Andrzej Janu-
szajtis w jednej ze swych monografii, pierwsze wzmianki o tej miejscowo-
ści pochodzą z XIII wieku. Od zarania mieszały się tu wpływy Niemców
i Polaków, z... przewagą Kaszubów, którzy – jak głosi legenda – pierwsi się
osiedlili na tych przygranicznych terenach zwaśnionych nacji.

Sulmin pojawił się w mej pamięci na początku lat osiemdziesiątych,
bo tam przeprowadził się chłopiec mojej córki, Bartek Borkowski. Jego

rodzice znudzeni życiem w mieście, zamieszkali w starym domu, dawnej karczmie, i jak wielu w tym trudnym dla Polski okresie, postanowili zająć się pracą na roli. Ania ich odwiedzała i ze śmiechem opowiadała, jak to jej Bartek w gospodarstwie taty gąski pasie.

Sam do Sulmina zawitałem później w dość dziwnych okolicznościach. Wracalem z rodziną autem z wizyty u Boćkowskich w Sitnie, gdy na horyzoncie pokazał się olbrzymi słup czarnego dymu. Postanowiłem zobaczyć, co się stało. I tak trafiłem do majątku Borkowskich. Ich wielka stodoła pełna różnorakiego sprzętu stała w ogniu. Przybyłym jednostkom straży pożarnej pozostała tylko ochrona budynku mieszkalnego, który polewano sikawkami wodą z pobliskiego hydrantu.

Bohdan Borkowski, ojciec Bartka, siedział na ławce osmolony i zdruzgotany. Do ostatniej chwili wynosił z wnętrza stodoły butle z gazem i kanistry z benzyną. Zrobiło mi się go bardzo żal i w braterskim odruchu zaproponowałem mu pomoc, nawet finansową. Podziękował cicho, ale jemu najbardziej potrzebna była wówczas pomoc lekarska, której udzieliła mu moja żona. Opatrzyła poparzone ręce i nadzorowała kolejne zmiany

Siedziba Borkowskich w Sulminie



opatrunków w Akademii Medycznej. Nasze rodziny poznały się wtedy bliżej i zaprzyjaźniły. Jak się okazało – na długie lata.

Bohdan nie załamał się tą klęską, szybko wrócił do zdrowia i do pracy. Nie po to zrezygnował z nudnej dla jego temperamentu kariery naukowej na Politechnice Gdańskiej, by się poddać. Jeszcze przed czasem Solidarności razem z żoną Grażyną zaczął rozkręcać, zgodny z ich uniwersyteckim wykształceniem, biznes rolniczy. Przeżył co prawda pierwsze niepowodzenia, gdy zlikwidował nieopłacalne w uprawie zagony pomidorów i zamknął nieprzynoszącą spodziewanych zysków hodowlę gęsi, ale właśnie wtedy z powodzeniem wkroczył w intratny handel rybami.

Pożar stał się impulsem do nowych działań. Ogień nie unicestwił wszystkich kupionych urządzeń chłodniczych umieszczonych tymczasowo w kontenerach. Znalazł też chętnych do pracy miejscowych Kaszubów, a do tego miał szczęście, bo w Polsce zaczął się czas przemian ustrojowych, który Bohdan potrafił znakomicie wykorzystać. Robił to z podziwu godną determinacją i z wielką fantazją.

Byłem świadkiem, jak przebojem załatwił dla firmy dostawę surowca. Z Bornholmu do Kołobrzegu przeniósł akurat swe wielkie zakłady przetwórstwa rybnego słynny Espersen – dostawca najwyższej klasy dorszowych zwonków dla europejskiej sieci McDonald's. W fabryce zbywały mu mniej wartościowe resztki rybne, które można było wykorzystać do produkcji popularnych na polskim rynku paluszków. Chętnych było wielu. Ogłoszono przetarg, trzeba było złożyć stosowną ofertę, przedstawić zawodowy życiorys.

Bohdan miał małe szanse na zwycięstwo, ale dowiedział się, że Espersen był wielkim przyjacielem Polaków, ożenił się z naszą rodaczką, dorsze kupował od naszych rybaków. I zagrał vabank. Po prostu zaprosił tego bogatego człowieka do Gdańska, by osobiście zademonstrować mu swoją firmę i – o dziwo – to zaproszenie zostało przyjęte.

Spotkanie odbyło się w siedzibie firmy w Sulminie, a Borkowski wyreżyserował je w najdrobniejszych szczegółach. Na szczęście dom po remoncie wyglądał pięknie. Odnowiono bramę wjazdową, postawiono szyldy, pięknie urządzone pomieszczenia biurowe, zainstalowano wypożyczone komputery, a na zewnątrz obok aut osobowych postawiono ściągnięte od znajomych także dostawcze.

Był maj, pogoda dopisała, świeciło słońce. Przez otwarte okna rozpościerał się wspaniały widok na ogród, zieloną trawę i morze kwitnących żółtych mleczy. Śpiewały ptaki, Espersen był zachwycony. Negocjacje z udziałem



Bogdan omawia program kolejnego spotkania w Sulminie

profesjonalnej tłumaczki przebiegały sprawnie. I wtedy, zgodnie z wcześniej ustalonym programem, na pięknym koniu krwi arabskiej pod okna posesji podjechał w eleganckim stroju sąsiad Kuba Sachse i nienagannym angielskim zapytał:

– *Bohdan, are you busy? Wouldn't you like to go for riding a horse?*

To był majsterszczyk, oczywiście Bohdan nie pojechał na przejażdżkę, ale kontrakt został podpisany, nie musiał nawet przygotować swojej biografii, bo – jak stwierdził Espersen – tę biografię zapisała wspaniała wizyta. Założona przez Bohdana firma nie okazała się wydmuszką i dalej się rozwija. Do biznesu dołączył syn Filip. Po pozyskaniu korzystnego kredytu z Unii Europejskiej w pobliżu Sulmina w Trzech Lipach zbudowano wielką chłodnię oraz hale dla przetwórstwa ryb. Dzięki temu na pokółchozowej ziemi sulmińskiej wiele ludzi znalazło dość dobrze płatną pracę.

Bohdan, kapitalista o ludzkiej twarzy i wielki zwolennik Korwin-Mikkego, próbował otworzyć w swej sulmińskiej siedzibie Centrum Myśli Konserwatywnej. Nie wiem, czy od tego odstąpił, gdy jego mistrz Korwin swoją ekstrawagancją poraża ostatnio nawet największych swych wielbicieli, ale to teraz dla niego nie jest już najistotniejsze.

Teraz w Sulminie najważniejszy jest dom i jego otoczenie, który pod okiem gospodarzy, Grażyny i Bohdana, co roku pięknieje. Tam razem z teściami zdecydowała się zamieszkać córca Ania z Bartkiem. Tam na wsi mają świetne życie moje wnuki Basia i Tadek.

Jubileusz cioci Musi

Setną rocznicę urodzin mamy i taty postanowiłem uczcić uroczyście razem z rodziną bliższą i dalszą. Zebrałiśmy się dwukrotnie: w dniu jubileuszu mamy w styczniu, a potem także taty w listopadzie 2009 roku w przytulnej restauracyjce w Parku Oliwskim. Opisałem wtedy historię rodziny, którą przedstawiono w „Dzienniku Bałtyckim”. Było mi niezmiernie miło, kiedy tę informację znana gdańska dziennikarka, pani Basia Szczepuła opublikowała w zmienionej formie w książce o gdańszczanach *Rajski ogród* w rozdziale zatytułowanym: „Romans Musi”. Utrafiła tym w dziesiątkę. Pokazała nie-

bagatelny życiorys skromnej kobiety, która w trudnych latach przełomu XIX i XX wieku przeżyła sto lat. Panią redaktor zafascynował nietuzinkowy romans siostry mojej mamy. Wykorzystała do tego także odręcznie opisaną przez ciotkę jej biografię.

Ten romans zaczął się jeszcze w latach dwudziestych, kiedy kilkunastoletniej dziewczynie, rozpoczynającej karierę urzędniczki w lwowskim urzędzie skarbowym, zawrócił w głowie kilkanaście lat starszy żonaty mężczyzna, jej przełożony Roman Mańczukowski. W tamtych czasach do skandalu nie doszło, pannę przerzucono do innego oddziału.

Musia poświęciła się wówczas rodzinie, była pomocna wszystkim, zawsze bezinteresownie. Służyła dziadkom, rodzicom, rodzeństwu. Dla przykładu, odpisywała za moją mamę na listy



Ciocia Musia we Lwowie

starającego się o jej rękę mego przyszłego taty. Później w czasie okupacji, gdy pracowała w magistracie, oddawała rodzinie wszystkie zarobione pieniądze.

Po wojnie ciocia przyjechała z nami do Gdańska. Czas mijał dla niej bezpowrotnie i kiedy zmarł nagle narajony przez babcię narzeczony, pan Frey, wydawało się, że Musia na zawsze zostanie starą panną. Mieszkała z nami, pracowała w Izbie Skarbowej, pomagała mamie w wychowaniu dzieci. Z upodobaniem grywała w karty ze szwagrami: w wista, taroka, a nawet w brydża, gdy brakowało czwartego.

Jak grom z jasnego nieba zaskoczyła zatem rodzinę wiadomość, gdy już w wieku emerytalnym ciocia powróciła z sanatoryjnego pobytu w Krynicy... z mężem. Po półwieczu, po śmierci pierwszej żony, odnalazł ją tam pierwszy absztyfikant Roman. Zamieszkali na Przeróbce w bloku wśród cyganów, bo tam ciocia pozyskała małe mieszkanko. Śmiała się później, że dom jest tak pilnowany, iż nie musi nawet drzwi zamykać na klucz. Niedługo potem Roman umarł. I wtedy zaopiekowała się swoim owdowiałym bratem Kazimierzem podczas jego choroby.

Kiedy zbudowałem dom i przeprowadziliśmy się na Krętą, ciocia na moją prośbę zamieszkała z nami. Pomagała nam w prowadzeniu gospodarstwa i wychowaniu dzieci – Pawła i Ani. To było dla nas bardzo ważne, bo przecież zaczynaliśmy mocno nas obciążające kariery naukowe. Gotowała obiady, a jako była księgową pilnowała nasze wydatki, by nie było deficytu.

Ciocia miała doskonałą pamięć i informowała nas o wszystkich rodzinnych uroczystościach: imieninach, urodzinach, rocznicach. Zawsze pisała listy z życzeniami do rodziny w kraju i do tych, którzy opuścili Polskę.

Pokłósiem jej korespondencji był dziwny telefon latem 2004 roku.

– Tu Czerkawski, chciałbym się z panem spotkać. – Usłyszałem w słuchawce.

– Chyba pan nie jest z Kanady? – burknąłem.

– Właśnie jestem.

– Czy pan gra w hokeja? – spytałem, bo tam występował przecież nasz znakomity zawodnik.

– Niestety nie – odparł.

Okazało się, że był to telefon męża naszej dalekiej krewnej, cioci Hani Popielowej. Inżynier Czerkawski przyjechał z córką, zaproszony przez ówczesnego



Ciocia Musia przed ukończeniem stu lat

prezydenta Warszawy, Lecha Kaczyńskiego na otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego, w którym przed laty brał osobisty udział. W Polsce był pierwszy raz od czasu wojny. Odwiedził rodzinę w Krakowie i Gdańsku. Przypomnił sobie mój adres, na który wysyłał „ofrankowane” listy od swojej żony Hani do cioci Musi. Mój numer telefonu znalazł w książce. Spotkaliśmy się i bardzo się zdziwił, gdy witając się z prawie stuletnią ciocią, usłyszał:

- Emil, dużo o tobie dobrego słyszałam.

Gdy zawiadomił o śmierci żony, cioteczka rzekła smutno:

- A ja ciągle czekałam na odpowiedź na swój ostatni list od Hanezki.

Spędziliśmy piękny weekend. Był zachwycony Polską. Cieszył się, że po latach zapomnienia bohaterstwo powstańców Warszawy uznali nie tylko Polacy, ale i okupanci, a przede wszystkim zwycięscy alianci. Z żalem

stwierdził, że gdy na obczyźnie opowiadał o powstaniu, brano go za Żyda walczącego w warszawskim getcie.

Zwiedzanie Trójmiasta skończyliśmy w Sopocie o północy. Usłyszałem wtedy od niego:

- Andrzej, byłem w sierpniu 1939 roku na obozie z drużyną harcerską imienia Króla Jana Kazimierza w pobliskim Orłowie. Codziennie, gdyśmy się kąpali, widziałem z daleka moło sopockie. Zejdźmy na plażę, nad morze, niech go dotknę.

Zbiegliśmy szybko, zdjęliśmy buty, podwinęliśmy nogawki i, trzymając się za ręce, wpadliśmy do wody. Emil zawołał głośno:

- Znasz nasz morski hymn?

I natychmiast gruchnęła pieśń:

Choć każdy z nas jest młody, lecz go starym wilkiem zwą,
Strażnikami polskiej wody marynarze polscy są,
Morze, nasze morze, wiernie ciebie będziemy strzec...

Ludzie patrzyli na nas ze zdumieniem. Jego córka Barbara skwitowała to krótko:

– *Crazies.*

Tylko ciocia Musia wyraziła potem żal, że nie pojechała z nami do Sopotu. Staruszka żyła jeszcze kilka miesięcy. Niemal do końca była sprawna umysłowo i fizycznie. Co miesiąc rozdawała w rodzinie swoją emeryturę: kiedyś nam, potem naszym dzieciom, na końcu dzieciom dzieci, zawsze po równo.

Do dziś przypominam sobie jej radość, gdy tuż przed ukończeniem stu lat dostała zawiadomienie od prezydenta Gdańska o podwojeniu emerytury. Powiedziała wtedy:

– Andrzejku, nie będę zwiększać wszystkim stawki, ale całą nadpłatę po kolei będę wypłacała moim ukochanym wnukom, od Piotrusia do Ani. Będą mieli na raz więcej do swojej dyspozycji, im pieniądze są bardziej potrzebne. Gdybym jednak umarła, to wtedy każdemu wyrównasz, aby nikt nie był pokrzywdzony.

Niestety nie doczekała stu lat, zmarła dwa tygodnie wcześniej, po tym jak złamała szyjkę kości udowej, nieostrożnie otwierając w nocy lodówkę. Cała lwowska rodzina spotkała się na cmentarzu i w smutku uczciła jej pamięć. Radosny, uroczysty jubileusz cioci Musi odbył się w trakcie promocji *Rajskiego ogrodu* w Ratuszu Staromiejskim.

W podniebnych przestworzach

Przy konsternacji rodziny Paweł definitywnie zrezygnował z kariery medycznej. Wszedł na dobre w środowisko grafików, założył prywatną firmę, by skutecznie walczyć o przetrwanie na trudnym rynku. Jak przystało na artystę, zmienił fryzurę, został na chwilę wegetarianinem. W picu alkoholu na szczęście nie przesadzał, ale niestety zaczął palić papierosy.

Gdy pytałem:

– Jak ci leci?



Odpowiadał niezmiennie moimi słowami:

– Daję sobie radę.

A potem dodawał z sarkazmem:

– Każdy jest kowalem swego losu.

Nie wszystko mu się jednak w życiu układało, ale jak było gorzej, tym bardziej się zamykał, czego niestety nie potrafiłem do końca zrozumieć. Zaczął latać na szybowcu, w podniebnych przestworzach szukał pewnie wewnętrznego spokoju. Jak zwykle i na tym polu szło mu dobrze, wygrywał zawody, o czym dowiedziałem się przypadkowo od postronnych mi osób.

Pewnego razu, na wiosnę, w piękny niedzielny poranek zawitał do domu i rzucił na wstępie:

– Tato, pojedziemy do Pruszcza na lotnisko, nigdy tam ze mną nie byłeś.

– Przecież odwoziłem cię ostatnio – zaoponowałem.

– Tak, ale padał deszcz, nawet nie wysiadłeś z auta – odpowiedział.

Miał rację, nie widziałem, jak fruwa. Na lotnisko jechaliśmy w milczeniu. Gdy wysiadłem z samochodu, podbiegły do mnie dwie dziewczyny, zakładając mi na głowę spadochron. Zbaraniałem, wiedziałem już, że synek zafundował mi podniebne harce. Patrzył zresztą z uwagą na moją reakcję. Przede mną stał dość wysłużony dwumiejscowy szybowiec, w sumie trochę dykty, płótna i plastiku. Nie było mi do śmiechu. Jeszcze na studiach

na to lotnisko kaperował mnie bez skutku mój kolega Olgierd Olszewski, zdobywca złotej oznaki szybowcowej. Zdołałem tylko wykrztusić:

– Polecę, ale nie z Pawłem. Jak, nie daj, Boże, spadniemy, żona mi tego nie wybaczy i będzie mnie szukać nawet w piekle.

Podszedł do mnie instruktor pilotażu, pan Zbyszek, zawiadamiając, że to on poleci ze mną.

– Boi się pan? – spytał na wstępie.

– Trochę, mam sztuczny staw biodrowy – odpowiedziałem.

– Proszę pana, gdyby coś się przytrafiło, to automatycznie spada plastikowa kapsuła, trzeba wtedy pewnie stanąć na nogi i wyskoczyć. To nie jest trudne, prędkość jest niewielka, taka jak na pudle pędzącej ciężarówce. No i spadając, musi pan pociągnąć za wystający z prawej strony troczek spadochronu. Jeśli się nie powiedzie, to ciągnie pan drugi, z lewej. Jak i to nie pójdzie, to zostanie tylko do odmówienia pacierz – dodał ze śmiechem.

Wsiedliśmy do szybowca i przyczepiono nas liną do samolotu, w którym siedział Paweł i ruchami rąk dodawał mi otuchy. Wzbiliśmy się w powietrze, odczepiła się lina od naszego szybowca. Frunęliśmy!

Pan Zbyszek, stukając mnie delikatnie w plecy, zapytał:

– Dlaczego pan taki spięty?

– Nie rozumiem – szepnąłem.



Paweł nad lekturą
„Gazety Wyborczej”

– No niech pan się tak kurczowo nie trzyma barierok – powiedział spokojnie.

Przy wyjściu z pierwszego kręgu rozluźniłem się. Spojrzałem w dół. Dworzec kolejowy, stara cukrownia w Pruszczu, a w oddali Wisła. Euforia!

– Widać morze! – krzyknąłem głośno.

Zatoczyliśmy drugie kółko i wylądowaliśmy.

Przed odjazdem do domu zwiedziłem dość dokładnie pruszczański aeroklub. Wracalem z Pawłem autem w milczeniu, ale tym razem było to milczenie pełne szczęścia z jego obecności i w poczuciu dobrze spełnionego lotu w podniebnych przestworzach.

Celiakia

Celiakia to trwająca praktycznie przez całe życie choroba gastrologiczna o podłożu genetycznym, charakteryzująca się nietolerancją glutenu, czyli białka zawartego w pszenicy, życie lub w jęczmieniu. Taką informację otrzymałem dawno temu od swojej teściowej, profesor Klementyny

Świcowej, wybitnej gdańskiej pediatry. Wtedy to właśnie w gdańskiej Akademii Medycznej skutecznie zaczęto ratować życie wielu chorym dzieciom, po prostu eliminując z ich diety chleb. Profesor Świcowa nie spodziewała się wówczas, że po latach chorobami układu pokarmowego dzieci zajmie się, i to profesjonalnie, jej wnuczka, a moja córka, doktor Ania Borkowska. Od tego czasu rozwój gastrologii znacznie przyspieszył, Ania opiekuje się teraz przypadkami znacznie trudniejszymi niż celiakia. Od niej to z grubsza wiem, na czym polega choroba Leśniowskiego-Crohna, kiedy i dlaczego należy stosować żywienie do- i pozajelitowe. Ania nie tylko leczy chore dzieci, ale z ludźmi dobrej woli w Fundacji Życ z Pompą, takimi jak Beata i Andrzej



Doktor Anna Borkowska

Stawiccy, społecznie zbiera potrzebne pieniądze. Opieka nad małymi dziećmi to spore wydatki, koszt tylko jednej koniecznej pompy przekracza trzy tysiące złotych.

Podziwiam wielkie zaangażowanie mojej córeczki w tym względzie, które po trochu wynika też z faktu, że u jej własnych dzieci, moich wnuków Basi i Tadek, stwierdzono celiakię. Mogła się przeto osobiście przekonać, jak w rodzinie przebiega proces leczenia. Gdy badania potwierdziły chorobę, z dużym spokojem nam zakomunikowała, że dzieci muszą przejść na dietę bezglutenową, i wyjaśniła ze szczegółami, jak sobie z tym radzić. Byłem najbardziej przerażony ze wszystkich, bo wówczas zacząłem sam przygotowywać wnukom jedzenie w letnim domku nad jeziorem. Łatwo powiedzieć: nie jedz chleba, ale trudno pożegnać się z wypiekami, a jeszcze trudniej wyeliminować

w kuchni gluten, który zawarty jest prawie we wszystkich dodatkach stosowanych w potrawach. Było trochę zachodu, ale Ani, a w końcu i mnie, udało się takie żywienie wprowadzić bez kłopotu. Teraz na szczęście powstaje też w Polsce coraz więcej sklepów, które sprzedają produkty zastępujące mąkę, a Ania z Bartkiem razem z dziećmi i przede wszystkim z babciami potrafią już przyrządzać bezglutenowe ciasta i torty. Ostatnio udało się nawet przygotować uszka z grzybami na wigilijny stół.

Podoba mi się, że Ania perypetie własnych dzieci i tych w szpitalu rekompensuje aktywnym życiem nie tylko zawodowym. To córka wyniosła z naszego domu. Cała jej rodzinka w niedalekim Sulminie nie tylko ostro pracuje i się uczy, ale wszyscy grają, śpiewają, biegają, pływają, jeżdżą rowerami, szusują na nartach. Jedzenie bezglutenowe im nie przeszkadza, okazało się przy tym, że jest dietetyczne, dobrze wpływa



Moje bezglutenowe wnuki – Basia i Tadek

na figurę i samopoczucie, co najlepiej widać po moim zięciu Bartku. Ale świeżutkiego chleba jednak żal.

Basia, Tadek i Borsuczek

Basia i Tadek po kądzieli, Kacper po mieczu. To moje ukochane wnuczęta, najpiękniejsze, najmądrzejsze i najwspanialsze.

Basia to już dobrze ułożona panienska, wszystko idzie jej jak z płatka. Ostatnio wygrała w szkole konkurs matematyczny. Może moimi śladami pójdzie na politechnikę, ale chwilowo przeżywa fascynację grą na fagocie. O, rany, jakie to trudne!

Tadek – uroczy, niespokojny duchem urwis, podobnie jak ja dawno temu, przeżywa rozterkę, czy grać w piłkę, czy uczyć się muzyki. Teraz i kopie futbolówkę, i z powodzeniem gra na ksylofonie.

Kacper, zwany potocznie Borsuczkiem, to dopiero roczny berbec. Na razie imponuje wewnętrznym spokojem, którego nie traci nawet podczas nauki pływania na basenie.

Basia i Tadek



Kacperek



Od zarania ich rodzice, zarówno Ania z Bartkiem, jak i Paweł z Agnieszką pięknie swoje dzieci wychowują. Nie przeszkadzam, ale oczywiście rozpieszczam moje wnuki, bo taka jest rola babć i dziadków na całym świecie. A one nie mają ze mną nudnego życia. Mam bardzo dobre kontakty z Basią oraz Tadkiem, próbuję się teraz zaprzyjaźnić z małym Kacprem. Cieszę mnie ich sukcesy, ale znam też ich malutkie wpadki. Mamy swoje tajemnice. Póki co nie będę ich tu zdradzać, może kiedyś sami napiszą o tym więcej.

Drzewa genealogiczne

Powojenny porządek wprowadzony przez zwycięską Armię Czerwoną wywracał wszystko do góry nogami. Nowa władza rozprawiała się z „pańską Polską”, zakłamywała naszą historię. W zniszczonym kraju sprzyjały temu bieda i migracje ludności. Ci uwolnieni z niemieckiej niewoli oraz ci wyrzuceni ze wschodu wracali do ojczyzny z przysłowiowym tobołkiem. Stracili nie tylko ziemię, domy, ale i gromadzony latami dobytek, w tym też pamiątki rodzinne. W trwającej rewolucji, w obawie przed aresztowaniem niektórzy niszczyli bezcenne dokumenty, dyplomy, akty własności.

Ten *exodus* dotyczył i naszej rodziny. Do Polski ze Lwowa przyjechaliśmy przecież w bydłowych wagonach w październiku 1945 roku. W zapakowanych kufrach udało się przywieźć wtedy to, co było najpotrzebniejsze: odzież, buty, pościel, naczynia. Zabraliśmy też ze sobą tylko najcenniejsze książki i w nich pochowano rodzinne relikwie: fotografie, portrety. Te nieliczne pamiątki stanowiły potem o historii rodziny, którą nam, małym dzieciom, opowiadała dość chaotycznie babcia. Wspominała ze szczegółami śmierć czternastoletniego syna Tadeusza, jednego z bohaterskich Orląt, obrońców Lwowa w 1918 roku. Znacznie trudniej było jej ustalić, gdzie i ilu krewnych zamordowali faszyci, ilu bolszewicy i banderowcy. Inni do tych trudnych czasów powracali niechętnie, uznając, że nie są to opowieści dla małych dzieci.

Po latach, kiedy powstała Solidarność, ludzie przemówili. Niektóre zakazane tajemnice zaczęły wychodzić na jaw ze zdwojoną siłą i nie zamknął już tego *exodusu* wprowadzony przez komunistów stan wojenny. Wstrząsające historie polskich rodzin drukowano w podziemiu, wreszcie przywracano godność naszym bohaterom.



Rodzina Gardzilewiczów na jubileuszu stulecia
dziadka Piotra w 2009 roku

Do rodzinnych korzeni sięgnął też stryj mojej małżonki Tadzik Świca, spokojny lekarz, bezpartyjny podpułkownik w wojsku. Miał czas, został odesłany na emeryturę za karę, kiedy w ciągu jednego dnia trzech jego synów prysnęło z żonami na Zachód. Tadeusz pojechał wówczas do rodzinnego Tomaszowa Lubelskiego i tam, korzystając z archiwów parafialnych i gimnazjalnych, odtworzył historię rodziny Świców i zbudował ich drzewo genealogiczne. Dokumentację przekazał synom, a także mojej żonie Hani i wkrótce niestety zmarł. Tym drzewem, dokładnymi opisami zdarzeń bardzo mi zaimponował, w annałach sięgnął XIX wieku.

Postanowiłem zatem i ja, na emeryturze, zbudować drzewa genealogiczne naszych lwowskich rodów, tych po mieczu i tych po kądzieli. Zaprezentowałem je na jubileuszu stulecia urodzin mamy i taty. To zadanie okazało się znacznie trudniejsze niż u stryjka żony. Większość dokumentów archiwalnych na utraconych Kresach, w tym także papierów rodzinnych, została zniszczona przez Rosjan, Niemców i Ukraińców, a seniorzy rodu odeszli już na zawsze. Na szczęście żyły jeszcze moja

mama i ciocia Musia. Chociaż obie przekroczyły dziewięćdziesiątkę, miały nadal znakomitą pamięć, a ciocia znalazła nawet własne zapiski, które uzupełniała przez całe życie.

Notatki cioci były bardzo dokładne, na ich podstawie drzewo genealogiczne mamy, z domu Jabłońskiej, zdecydowałem się połączyć z historią bardziej rozbudowanego klanu Schirmerów. To była familia babci, bogatych, spolszczonych mieszczan, która korzeniami sięgała Wiednia. Udało mi się odtworzyć historię Schirmerów od 1809 roku. Pomocne okazały się archiwa Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie, do których dogrzebali się podczas wyjazdów brat cioteczny Jędrzek Dorosz i siostrzeniec Piotruś Czauderna. Szukali tam zresztą też korzeni polskiej bankowości i medycyny, gdyż Andrzej to były prezes PKO SA, a Piotr to teraz profesor chirurgii dziecięcej na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym.

W szpargalach rodzinnych cioci, ku memu zaskoczeniu, zachowały się też akta sądu grodzkiego we Lwowie z 1938 roku dotyczące własności kilku działek na obrzeżach miasta przy ulicy Torosiewicza. Zajmowały powierzchnię czterech tysięcy sążni, równoważnej jednemu i czterdziestu czterech setnym hektara. Jak się okazało, większość masy spadkowej Schirmerów była obciążona hipotecznym długiem jednego ze spadkobierców, brata babci zwanego hrabią Rogalikiem.

Z odtworzeniem historii rodu taty było jeszcze trudniej. Pochodzący z centralnej Małopolski Gardzilewiczowie osiedlili się na wsi, na północy od Lwowa, jeszcze w XIX wieku. Tam kupowali majątki, budowali swe domy, wśród stanowiących większość mieszkających tam Rusinów. Niestety wszystkie dokumenty parafialne spłonęły w czasie pożogi wywołanej przez banderowców, tępiących wszystko, co polskie. Reszty dokonali bolszewicy. Dość skąpe informacje udało się pozyskać z tabliczek na opuszczonych grobach. Zebrane materiały zdążył uzupełnić przed śmiercią brat ojca Zenek i moja żyjąca najstarsza stryjeczna siostra Zenia, która wyjeżdżała stamtąd ostatnia w 1946 roku. Miała wtedy czternaście lat.

Na planszach drzew genealogicznych widać kilka pokoleń. Co za mieszanina nazwisk i narodowości! Polacy, Austriacy, Węgrzy i Rusini, jak nazywano na tych terenach Ukraińców. Jest i Żydówka, ciocia Aldona, pierwsza żona wujka Kazika.

Te drzewa, uzupełnione zdjęciami, zostały starannie przygotowane graficznie przez moje dzieci Pawła i Anię. W rodzinie Schirmerów centralne miejsce zajmuje pradziadek Józef, prezes Izby Rzemieślniczej miasta Lwowa.

Po pierwszej wojnie światowej, gdy wrócił z niewoli rosyjskiej, w oswo-
bodzonej Polsce pełnił ważne funkcje administracyjne w radzie miasta.
Miał trzech synów i siedem córek. Z jedną z nich, Marią, ożenił się mój
pochodzący z Tarnowa dziadek Kazimierz Jabłoński, prezes Cechu Piekarzy.

Poniżej figurują dzieci dziadków: Tadeusz, ten, który zginął w 1918 roku
w walce z Ukraińcami, Musia, Kazik, Stasia i moja mama Józefa zwana Wandą.

Z Wandą ożenił się doktor Piotr Gardzilewicz, mój tato, niekwestio-
wany *pater familiae* skoliigaconych ze sobą rodów. Na kolejnym poziomie
znajduje się siostra Hania obok męża Józia Czauderny, niżej ich dzieci:
Piotrus i Joasia. Dalej ja z moją żoną Hanią z domu Świcówną, a pod nami
nasze dzieci: nieżyjąca Magdusia oraz Paweł i Anusia. Potem wnuki, te od
siostry: Majka, Jaś, Marta – dzieci Piotra i Violi oraz Hania wraz z bliźniakami
Igusiem i Zosią – dzieci Asi i Darka Szreterów, wreszcie na końcu te moje:
Basia, Tadek, dzieci Ani i Bartka, oraz Kacperek – syn Pawła i Agnieszki.

Na drugiej planszy Gardzilewiczów – bogatych rolników poczesne
miejsce zajmuje dziadek Józef, ożeniony z Marią Pawluk, córką polsko-ukra-
ińskiego małżeństwa z Rożdżałowa. Pochodzący z Małopolski dziadek tam
na wschodnich kresach jeszcze przed pierwszą wojną kupował urodzajną
lessową ziemię, na której założył nowoczesne gospodarstwo. Według doku-
mentów z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Przemyślu z 1945 roku
do majątku dziadka w Rożdżałowie należało prawie pięćdziesiąt hektarów
ziemi ornej i łąk. Do tego dochodził las, ogród i liczne zabudowania, które
już wtedy kryte były dachówką. Dziadek umarł w 1938 roku, bolszewików
nie doczekał. Wielu nie miało takiego szczęścia, za życia zabierano im
później nie tylko włości.

Po drugiej wojnie obie rodziny opuściły kresowe majątki, większość
została repatriowana na Ziemię Odzyskane, wśród nich byli też moi naj-
bliżsi, którzy niedługo potem przenieśli się do Gdańska. Tylko nieliczni
tam pozostali, wielu wywieziono na Sybir, niektórzy zginęli na froncie
i w więzieniach. Nasze teraz gdańskie rodziny znów się rozwijają. Można
tu odnotować znanych lekarzy, inżynierów, ekonomistów, humanistów,
pozyskujących sławę nie tylko w Gdańsku. Niestety wielka rodzina Schir-
merów nie doczekała w prostej linii potomka. Na drzewku Gardzilewiczów
ostatni figuruje zaś tylko Kacperek, syn mego syna Pawła, który w proteście
wobec tradycji zmienił nazwisko. Został Borsukiem, nie wiem, dlaczego,
może zbuduje własne, niezależne drzewo? Ma szansę, poznał pełną wdzięku
dziewczynę Agnieszkę Dudek.

Moje zdrowie

Za młodu nie zastanawiałem się nad stanem mojego zdrowia. Chorób, których doświadczyłem w dzieciństwie, na szczęście nie pamiętam. Jak zacząłem grać w piłkę na dobre, okazało się, że wydolność mego organizmu jest wyraźnie większa od przeciętnej. Mimo że pochodzę z rodziny lekarskiej, u doktora bywałem tylko w przychodni sportowej, kiedy trzeba było zdobyć pieczętkę o gotowości organizmu do profesjonalnego uprawiania sportu. Jak pamiętam, czasem tylko biegłem do znajomego dentysty, by zakleić dziury, bo zęby rwał osobiście tato. Drobne kontuzje, a nawet złamania kończyn pomijam, regenerowałem się po nich nad wyraz szybko.

Pierwsze kłopoty pojawiły się pod koniec kariery sportowej, kiedy na jednym z ciężkich treningów we współzawodniczym szale zaczęliśmy dźwigać udostępnione nam przez zapaśników ciężary. Na sztandze nie było jeszcze cetnara, gdy strzeliła mi przepuklina, i to obustronnie. Trzeba było ją zoperować. Zrobił to doktor Diłaj. Czeka-
jąc w dziewięcioosobowej separacie, zrozumiałem wtedy, jak delikatne jest nasze życie. Niestety nie posłuchałem rad mojego teścia, wysokiej klasy chirurga, by zabieg rozdzielić na dwie części. Po operacji moje nogi były bowiem niesprawne i przy pierwszym wstaniu z łóżka jedna strona „popuściła” jeszcze w szpitalu. Te przepukliny uporządkował dopiero po latach znakomity chirurg młodego pokolenia, mój przyjaciel profesor Marek Dobosz. Wykorzystał postępy w medycynie, osłabione mięśnie wzmocnił plastikowymi siateczkami.

Muszę stwierdzić obiektywnie, że to właśnie rozwój nowoczesnych metod okazał się zbawienny dla mego zdrowia. Nowa technologia była mi

W szpitalu po kolejnej operacji



szczególnie potrzebna, gdy wysiadł przeciążony nadmiernie wskutek kariery sportowej staw biodrowy lewej nogi. Chociaż bolał, na operację czekałem z górą pięć lat, nie tylko ze względu na kolejkę, ale trochę ze strachu, ponieważ miałem w pamięci siostrę mamy, ciocię Stasię, która nieco wcześniej po wszczepieniu polskiego sztucznego stawu zmarła na zapalenie płuc.

Byłem się niepotrzebnie. Na przełomie wieków najnowsze technologie były w polskiej medycynie w zasięgu ręki. Można było zatem dostać staw Zweimüllera, z którym biega po świecie już kilka milionów Amerykanów. Operację wykonał perfekcyjnie doktor Michał Pawlak, który w Gdańsku w Szpitalu Kolejowym otworzył wtedy dobrze wyposażone centrum ortopedyczne. Tam separotka, zgodnie z nazwą, była jednoosobowa, z dostępem do łazienki. Ważne, że po pół roku wróciłem na korty, kilka miesięcy później pojechałem na narty.

Drugie biodro wysiadło po dziesięciu latach. Czekałem w kolejce znacznie krócej, a po nagłej śmierci mego doktora Pawlaka dostałem się pod nóż równie utalentowanego doktora Kolarza. Tym razem na korty i stoki narciarskie wróciłem jeszcze wcześniej. Tyle że za namową profesora Andrzeja Smoczyńskiego, mego tenisowego partnera i ortopedycznego konsultanta, nie gram już na punkty. Muszę uważać i zmniejszyć obciążenie stawów. Jest mi łatwiej, bo grająca z nami jego żona Ula też nigdy nie liczy swoich zwycięskich piłek. Nie chce nas upokarzać.

Nowoczesna medycyna okazała się także zbawieniem dla moich zębów. Dentystów nigdy nie unikałem, ale z winy wojennego odżywiania i zapewne genów dość szybko straciłem część uzębienia. Na pewno przyczyniły się do tego archaiczne metody leczenia. Nim się zorientowałem, już musiałem wstawiać uzupełniające koronki. Ten zabieg wykonał Marek Marcinkowski, wówczas młodziutki, bardzo uzdolniony dentysta, polecony mi przez znajomą siostrę – Irenkę Cichecką. To był strzał w dziesiątkę!

Ten Marcinek dorobił się wkrótce prywatnego gabinetu, który zamienił w doskonale wyposażoną klinikę stomatologiczną. Stosuje w niej najnowsze rozwiązania. Ma dobrą renomę, leczy teraz u niego zęby cała moja rodzina. Oczywiście najlepszą reklamą były moje koronki.

Niestety po kilkunastu latach „odezwał się” w mojej dolnej szczęce środkowy ząb trzonowy, ten najważniejszy dla całej konstrukcji. Pobiegłem do Marcinka natychmiast i wtedy usłyszałem straszny wyrok:

– Panie Andrzeju, trzeba wszystko z dołu usunąć, na trzech implantach postawię sztuczną szczękę, tak jak to jest w fortepianie. Będzie stabilnie.

Wróciłem do domu załamany, miałem jeszcze dziewięć, co prawda mocno sfatygowanych, ale własnych zębów. Nawet na chwilę minął ból, nie na długo jednak. Były wakacje 2012 roku, w letniskowym domku w Wieprznicy czekały na mnie wnuki. Zdecydowałem się. Ekstrakcje poszły błyskawicznie, nawet nie spuchłem. Marcinek wykonał potrzebne wyciski, wstawił błyskawicznie opartą na moich koronkach tymczasową protezę.

Z górą sześć tygodni czekałem na kolejny zabieg. Przeżywałem gehennę: nie mogłem niczego gryźć, krojony i maczany w kawie chlebek, wyciskane kiwi i do tego wklejona na corega-tabs ruszająca się protezka. Nie tak jak u babci w telewizyjnej reklamie, chociaż wyglądało to nie najgorzej.

Dzielnie zniosłem kolejne zabiegi, wiercenie i gwintowanie, dość trudno z uwagi na „koguci grzbiet” mojej szczęki. Wkręcenie implantów udało się zakończyć dopiero po trzech godzinach. Nastąpiła przerwa na wygojenie.

Z Sylwkiem Tomaszewskim i Mirkiem Welizarowiczem pojechałem wówczas do Krynicy. Proteza dalej uwierała mi w gębie, klej nie zawsze ją trzymał. W sanatoryjnym jadłospisie preferowałem „miękuszkę” i musiałem zrezygnować ze znakomitych steków. Pewnego dnia na stoku w drogę wjechała mi mała dziewczynka. Gwałtownie usiadłem na tyłku. Sygnał ze stosu pacierzowego „zablokował” mi na krótko myślenie. Czułem się nieswojo, ale pojechałem wyciągiem do góry. Zaniepokojony Mirek na szczycie zapytał:

– Gardziel, co z tobą?

– No nic – burknąłem.

– Jak to nic? To u ciebie dziwne, w czasie pięciominutowej jazdy krzesłem ani razu się do mnie nie odezwałeś. Czy jak upadłeś, nic nie zgubiłeś? – pytał Mirek.

Otrzepałem się raz jeszcze ze śniegu i krzyknąłem:

– Zgubiłem protezę!

– Nie martw się, wiem, gdzie się wyróciłeś, jadę na dół – odkrzyknął.

Stałem jak wryty, bo nie pamiętałem miejsca, gdzie upadłem. Zjechałem za nim ostrożnie. Na dole Mirek jak pies Huckelberry kopał metodycznie w śniegu, szukając mojej zguby. Za chwilę śnieżne przymy przekopywaliśmy obaj, gdy podeszła starsza pani. Zainteresowała się, czego szukamy.

– Sztucznej szczęki – rzuciłem przez ramię.

– A złota była? – indagowała z zaciekawieniem.

– No nie – burknąłem i naraz uświadomiłem sobie, że chyba zostawiłem szczękę w sanatorium. Skruszony podszedłem do Mirka, dzieląc się z nim swoją wątpliwością.

– Dzwonił do Sylwka do hotelu – odpowiedział.

Zadzwoiłem:

– Sylwek, zobacz w mojej szufladce, czy w pomarańczowym pudełeczku, które dostałem od żony, jest moja proteza?

Była. Dalszy ciąg dialogu z Mirkiem zapamiętałem w najdrobniejszych szczegółach:

– Cholera jasna, tak to jest, jak się z gówniarzami jedzie na narty. Jeden rozwalił kolano, a drugi nie potrafi upilnować swojej szczęki!

Mirek zadzwonił do Józia, zaprzyjaźnionego taksówkarza. Jego taksówka jak tylko poczuła pieniądze, w oka mgnieniu była na górze. Józek przywiózł w zanadrzu znakomitą, pędzoną przez siebie śliwovicę. Przed wypiciem kielicha Mirek, po konsultacji z małżonką, specjalistką rehabilitacji, sprawdził moje warunkowe odruchy. Były prawidłowe. Szybko znalazłem się w łóżku, ale rano całą paczką znów byliśmy na stoku. Mirek jest starszy ode mnie o rok, a od Sylwka tylko o lat cztery...

Po powrocie do Gdańska moja nowa szczęka była gotowa. Marcinek założył ją na przygotowanej szynie, przymocowanej do implantów. Pasowała jak ulał. Powrócił zgryz, wygoda i uroda. Na szczęście nie zmienił się też tembr mego głosu.

W Instytucie

Puzyrowa grupa

Do Instytutu Maszyn Przepływowych PAN zostałem przyjęty w czerwcu 1962 roku. Uzgodniłem z profesorem Robertem Szewalskim, że do pracy zgłoszę się po wakacjach. Już po tej rozmowie przybiegł do mnie wysoki, energiczny mężczyzna z pytaniem, czy nie mógłbym angażu zacząć wcześniej, na zasadzie drobnych prac zleconych. Moja odmowa wyraźnie go rozczarowała, ale grałem wtedy w reprezentacyjnej kadrze w szczypiorniaka i planowałem wyjazd na obóz sportowy.

We wrześniu zgłosiłem się w Zakładzie Gazodynamiki. Kierownik zakładu dr Jerzy Krzyżanowski przedstawił mi bezpośredniego szefa Romualda Puzyrewskiego. Ku zaskoczeniu rozpoznałem w nim energicznego faceta, którego wcześniej obcesowo zbyłem. Romek był człowiekiem wielkich ambicji, nie tylko uzdolniony, ale też bardzo pracowity i – chociaż niewiele ode mnie starszy – kończył doktorat. Był pupilkiem Szewalskiego, właśnie wrócił ze stażu na Uniwersytecie Leningradzkim. W Instytucie powierzono mu zorganizowanie pracowni przepływów dwufazowych. Z pewnym wahaniem przyjmował mnie do swojej grupy, bo mnie nie znał, następnie, którzy dołączyli: Roman Jasiński, Stefan Krzeczkowski, Tadek Król, Staszek Marcinkowski, Wojtek Studziński mieli już jego rekomendację. W Instytucie nawet laborantów przyjmowano wtedy do pracy drogą konkursu.

Szef natychmiast zagonił nas do wytężonej pracy i codziennie sprawdzał postępy. Nie było szans na objanie się. W rewanżu przewaliśmy go Puzyrem, chociaż na początku miał być Bąblem, co wynikało bezpośrednio z ruskiego tłumaczenia jego nazwiska. Zrezygnowaliśmy z tego złośliwego pseudonimu, wszak badaliśmy przecież, jak zachowują się w przepływie pary wodnej kropelki, a nie bąbelki.

Od początku wielką uwagę zwracaliśmy na prace eksperymentalne, które pozwalały weryfikować turbinowe obliczenia. Dzięki temu powstały unikalne stoiska do badania: kondensacji w dyszy de Lavalą, dezintegracji i separacji faz w przepływie pary mokrej. W pracowni powstała kamera szybkiej kinematografii, która wykonywała milion zdjęć w ciągu sekundy.



Puzyrowa grupa. Siedzą od lewej: Maja Bagińska, szef – Romek Puzyrewski, Andrzej Gardzilewicz, Krysia Jucha-Namieśnik, Tadek Król, konsultant – Jurek Kołodko, Stefan Krzeczkowski; stoi Piotr Doerffer

Wkrótce Puzyrewski pojechał na stypendium do Caltechu, słynnego Instytutu w Kalifornii. Gdy wrócił po roku, z zadowoleniem stwierdził, że bez kontroli nie zwolniliśmy tempa. On sam za to się zmienił. W Ameryce przekonał się, że człowiek żyje nie tylko pracą, ale że warto też zachowywać harmonię między duszą a ciałem. Wzorem swych amerykańskich przyjaciół zaczął systematycznie „kręcić” na rowerze, zjeżdżać na nartach, maszerować piechotą codziennie do pracy. Inaczej zaczął też patrzeć na moje sportowe „wygibasy”. Zaprzyjaźniliśmy się. Zaczął nawet chodzić z nami na śniadania do politechnicznego klubu, który przed wyjazdem zawsze omijał.

Ku naszemu zaskoczeniu przyjął też do grupy pierwszą dziewczynę. Po przyjeździe z Ameryki wiedział, że idą czasy obliczeń komputerowych i w zespole niezbędna jest dobra programistka. Młodzietka, sympatyczna Maja Bagińska przyjechała do Gdańska z Warszawy, gdzie z wyróżnieniem

skończyła na uniwersytecie matematykę. Patrzyliśmy na Maję, kobietę pełną wdzięku z zaciekawieniem i zazdrością, ale ona wodziła swoje rozmarzone spojrzenie tylko za... nieczułym szefem.

Wkrótce Maja weszła w krąg mojej rodziny. Zamieszkała u cioci Musi. Okazała się nie tylko zdolną numeryczką, ale i znakomitą nauczycielką, prowadzącą korepetycje naszych dzieci. Plotkowała często z moją żoną, która znając moich kolegów, pewnego razu spytała bez ogródek:

– Maju, jak ty z nimi wytrzymujesz w Instytucie?

Maja odpowiedziała:

– Nie są najgorsi, zapraszają mnie nawet codziennie na herbatkę, a przy stole Puzyr sładzi pierwszy, Gardziel drugi, a następnym jest Stefan.

Byłem świadkiem tej rozmowy i przekazałem ją Romkowi. Gdy kolejny raz zaprosiliśmy Maję na herbatkę, Puzyr usłużnie podał jej cukiernicę. Natychmiast usłyszał rezolutną odpowiedź:

– Dziękuję, nie sładzę.

Tego dnia nikt z nas już nie sięgnął po cukier.

Minęło kilka lat. Do grupy dołączyły kolejne dziewczyny: Krysia Juha i Lidka Bogdali, a także Leon Bitel i Piotr Doerffer. W hierarchii instytutowej stale zachowywaliśmy wysoką pozycję, której nie zachwiał partyjny atak na Romka, gdy jako jedyny z wielkich sprzeciwił się po marcowej nagonce zwolnieniu profesora Szewalskiego. „Dramatyczne” wystąpienie jednego z twardogłowych na egzekutywie, że grupę Puzyra za wrogą postawę polityczną należy wysłać do kamieniołomów w Bieszczadach, traktowaliśmy jako swoiste wyróżnienie.

Romek, ograniczany w Instytucie w swej samodzielności, znalazł nową pasję, którą były wykłady dla studentów. Zaczynał w Szczecinie, potem przyszedł Elbląg i na końcu Politechnika Gdańska. Zajęcia prowadził perfekcyjnie, poświęcając na nie coraz więcej czasu.

Traciła na tym nasza paczka. Pierwsza z grupy odeszła Maja, po niej Tadek i Staszek. Jeszcze przed czasem Solidarności Puzyrewski pojechał jako visiting professor do koncernu ABB w Szwajcarii. Za granicę udali się po nim kolejno Stefan, Wojtek, Jurek i Piotr. Zachorował Leon. Czas Puzyrowej grupy praktycznie dobiegł końca. Nasz szef wkrótce po powrocie został profesorem zwyczajnym na Politechnice Gdańskiej i objął kierownictwo katedry hydromechaniki.

Teraz spotykamy się z Romkiem okazjonalnie, czasem też przy herbatce. Wymieniamy poglądy, wspominamy czasy świetności grupy. Dzięki niemu

większość zrobiła niebagatelne kariery w kraju i za granicą. „Robię” na tych spotkaniach zawsze za pierwszego ucznia, bo chociaż wśród wychowanków profesora nie byłem *the best*, to przecież mnie pierwszego przyjął do swojej Puzyrowej grupy.

Na Syberii z zaproszeniem

W czasach PRL-u w Instytutach Polskiej Akademii Nauk pracowali zwykle najlepsi. Były tam relatywnie wyższe uposażenia, wielu wyjeżdżało na nieliczne wtedy stypendia zagraniczne, głównie do USA. Nawet komusze władze wiedziały, że dla uzyskania wysokiego poziomu naukowego trzeba zapewnić pracownikom kontakty z najlepszymi ośrodkami na świecie.

Nie inaczej było w Instytucie Maszyn Przepływowych. Profesor Szewalski, korzystając ze swoich przedwojennych i wojennych kontaktów, zaczął wówczas organizować cykliczne konferencje „Turbin wielkiej mocy”. W czasach zimnej wojny na neutralnym gruncie spotykali się w Gdańsku najwybitniejsi energetycy wrogich obozów ze Wschodu i z Zachodu.

Ucieszyłem się niezmiernie, gdy sam zostałem wyznaczony na pierwszy służbowy wyjazd do znanych na świecie ośrodków turbinowych MEI w Moskwie i CKTI w Leningradzie. Był rok 1965. Z otrzymaniem zaproszeń do Rosji nie było kłopotu, gdyż pracowali tam znajomi Staruszka, wielcy profesorowie: Szczegłajew i Trojanowski. Nie napotykalismy też specjalnych trudności w załatwieniu paszportu, chociaż w dalszym ciągu należało składać oddzielne podanie do biura PAN-u w Warszawie. Problemem było jednak, jak do Rosji dostać wizę na czas. Kraj Rad dbał, by na jego terytorium nie dostawali się wrogowie rewolucji. Do „posolstwa” radzieckiego składało się dziewięć kwestionariuszy z naklejonymi fotografiami, a po dokonaniu opłat na decyzję trzeba było czekać co najmniej sześć tygodni.

Podanie cyrylicą na dostępnej w instytucie maszynie pisałem dwukrotnie, gdyż powielacze jeszcze nie istniały, a kalka przebiegała druk tylko na pięciu kartkach. Zajął mi sporo czasu, by bezbłędnie odpowiedzieć na szczegółowe pytania, dotyczące rodziny w kraju i za granicą i mej wszechstronnej działalności. Tylko na chwilę wpadłem do toalety, by umyć ubrudzone kalką ręce i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku papiery oddałem do podpisu dyrektora. Rano Rybcia, nasza sekretarka, zawiadomiła mnie, że zdenerwowany szef już na mnie czeka. Wszedłem do gabinetu.

Profesor Szewalski, trzymając w ręku moje kwestionariusze, grzmiał:

– Czy pan chce być bohaterem międzynarodowego skandalu?

Na moim podaniu zauważyłem podkreślony na czerwono pisany cyrylicą zapis: *W magazynie popa wystawiona żopa*. Szewalski, wyraźnie udając powagę, rzucił krótko:

– Niech pan to weźmie i natychmiast wykreśli.

Wróciłem do sali 201, gdzie siedziało nas kilkunastu, gdy przepisywałem trefną stronę, bacznie zerkałem na swych współtowarzyszy, ale nikt się nie przyznał do perfidnego żartu. Domyślałem się, że musiał to zrobić Stefan, który ruskich wierszyków nauczył się od babci z Briąńska, ale on milczał.

Całe szczęście, że mój dyrektor z przedwojenną klasą nigdy nie podpisywał dokumentów bez ich uprzedniego przeczytania, zapewne dzięki temu pojechałem na konsultacje do Moskwy. Kierunek wschodni w mojej karierze naukowej miał od tego czasu wyraźny priorytet, poznałem tam wielu znakomitych uczonych, znalazłem prawdziwych przyjaciół.

Kilka lat później dostałem zaproszenie na daleką Syberię. Do Irkucka miałem lecieć samolotem tuż po powrocie z Budapesztu, do którego pojechałem z żoną na modny za Gierka wyjazd bezwizowy z dowodem osobistym. Przesiadkę mieliśmy w Warszawie i tam wieczorem na dworcu kolejowym pożegnałem Hanię. Jakież było moje zdziwienie, gdy w mieszkaniu wuja Władka Amirowicza zorientowałem się, że paszport z obowiązkową wizą rosyjską i biletem pojechał z Hanią do Gdańska. Trzeba pamiętać, że nie było powszechnie używanych obecnie komórek. Pojechałem szybko na dworzec. O pomoc poprosiłem naczelnika stacji, który korzystając z bezpośredniej



W chacie polskiego sybiraka nad Bajkałem



linii telefonicznej, wydał polecenie pracownikowi kolei, by w Działdowie, gdzie miały się na trasie pociągi, zabrał moje dokumenty od Hani i przekazał je kierownikowi pociągu zmierzającego do Warszawy. Podałem mu numer wagonu. Nieznany kolejarz krzykiem obudził drzemiącą Hanię. Błyskawicznie znalazła papiery i paszport, a te dotarły do mnie na czas.

Wuj, urzędnik ministerialny, który ostrzegął mnie przed konsekwencjami przekazywania paszportu osobom trzecim, był wyraźnie zaskoczony sprawnością kolejarzy. A ja pojechałem na daleki Wschód, dokąd bez przygłoszenia wywieziono wcześniej wielu członków rodziny.

To była wspaniała wyprawa. Spotkałem polskiego sybiraka Samsona, który osiedlił się tam po zsyłce. Dzięki niemu zobaczyłem zniszczone już obozy pracy u źródeł Leny i zbudowaną przez więźniów bajkalską, słynną transsyberyjską magistralę kolejową. Po przyjeździe opowiedziałem to wszystko Julkowi Baczyńskiemu, kuzynowi Hani, który BAM budował osobiście jako zesłaniec. Wtedy dopiero się otworzył, dowiedzieliśmy się o jego syberyjskich przeżyciach, o wiecznym głodzie i wielkich mrozach, które były powodem wielu zgonów.

Przy okazji wyjawiał nam, że na zlecenie Jerzego Giedroycia z paryskiej „Kultury” przetłumaczył arcydzieło Szałamowa *Opowiadania kołymskie*. Zrobił to z mistrzowskim kunsztem. Po latach cenzury książka, już w wolnej Polsce, doczekała się trzech wydań.

Wyprawę na Syberię powtórzyłem później zimą, tym razem odwiedziłem Instytut Tęploty w Akademgorodku niedaleko Nowosybirsk. W trakcie konsultacji temperatura spadła do minus czterdziestu dwóch stopni, co rzeczywiście było nie do wytrzymania na otwartej przestrzeni. Gdy po kilku dniach zezłżało, wziąłem tam w międzynarodowym zespole udział w sztafetowym biegu narciarskim. Przybiegliśmy w środku stawki, swój pięciokilometrowy odcinek pokonałem w czasie poniżej dwudziestu minut. Był to dobry wynik – procentowały moje sportowe treningi.

Ten narciarski sukces powtórzyła po latach córka Ania w Biegu Piastów na Jakuszyckiej Polanie w Sudetach. Teraz ona biega szybciej krokiem łyżwowym i to na znacznie dłuższych dystansach. Próbuje nadażać za nią Basia, mąż Bartek i Tadek preferują z kolei zjazdy i konkurencje alpejskie.

Idy u Szewalskiego

Profesor Robert Szewalski był człowiekiem wielu zainteresowań. Jego inwencja, szerokie horyzonty dotyczyły nie tylko technicznej profesji, ale też nauk humanistycznych, kultury i sztuki. Dbał, byśmy chodzili do teatru, uczestniczyli w koncertach, spektaklach operowych i teatralnych. Członkostwo w gremium Polskiej Akademii Nauk, przy bieglej znajomości co najmniej sześciu języków, pozwalało mu na utrzymywanie szerokich kontaktów zagranicznych. Gdy dodać do tego wrodzoną elegancję i nienaganne maniere wyniesione z rodzinnego domu, można go uznać za człowieka renesansu, jakiego trudno było spotkać w kraju w tamtej powojennej rzeczywistości.

W instytucie utrzymywał dyscyplinę, sprawdzał nasze dokonania, ganił, ale i wynagradzał. Zaskakiwał niekonwencjonalnymi propozycjami:

– Czy poprawił już pan swój angielski? Proszę przygotować papiery na wyjazd stypendialny do Stanów. Najlepiej do profesora Kestina, znam go osobiście, napiszę do niego list.

– Jest miejsce na uniwersytecie w Moskwie, czeka tam profesor Dejc, niech się pan wreszcie zdecyduje.

Innym razem indagował:

– Dlaczego nie widziałem nikogo z panów wczoraj na koncercie?

Dyskretnie interesował się naszym życiem prywatnym, był obecny na ślubach i pogrzebach. Niektórych zapraszał do swego domu na prywatne

spotkania, zwane idami. Idy to w starożytnym Rzymie święto boga Marsa, podczas którego Cezar dokonywał paradnego przeglądu legionów.

Idy u Szewalskiego to uroczyscie obchodzone imieniny, na których on też osobiście dokonywał przeglądu swych przyjaciół i wyróżnionych wychowanków. Obok grona profesorów, bliskich kolegów z instytutu, lekarzy, artystów zapraszani byli uczniowie, młodzi doktorzy, inżynierowie. Ci po ślubie – oczywiście z żonami.

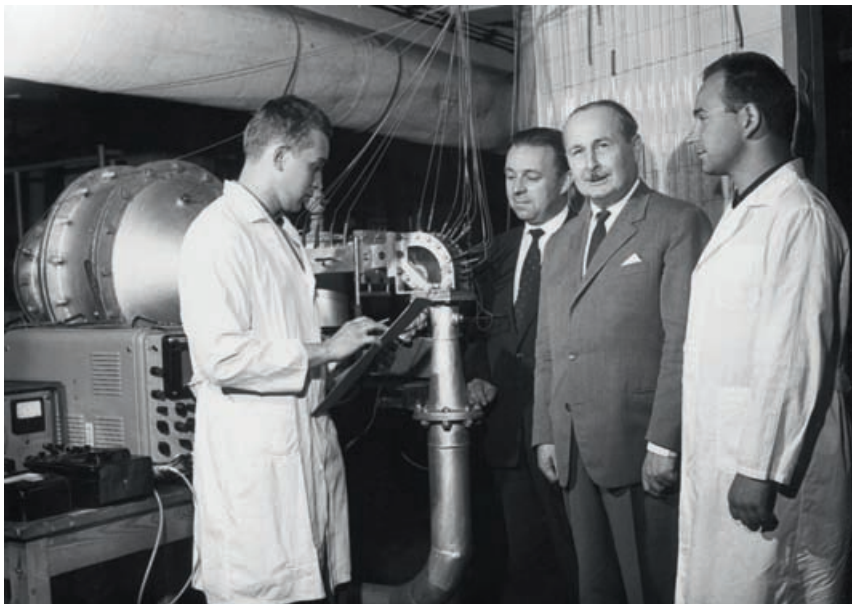
W pokojach pięknej willi na Batorego profesor z małżonką witali wszystkich gości już w drzwiach. Wchodziliśmy speszeni do urządzonego w starym stylu salonu, gdzie po wzajemnej prezentacji, poznawaliśmy program wieczoru. My, młodzi mieliśmy okazję spotkać luminarzy polskiej nauki i kultury. Słuchaliśmy opowieści bohaterów ostatnich wojen, w tym i profesora, który sam w nich uczestniczył. Swe przygody w powietrzu przybliżał nam jeden z pierwszych polskich pilotów. Inni mówili o potyczkach z bolszewikami w 1920 roku. Instytutowi stypendyści po powrocie zza granicy opowiadali, co nowego wydarzyło się za żelazną kurtyną. Na prośbę profesora zdawaliśmy z Hanią sprawozdanie z pierwszej wizyty Jana Pawła II w Polsce w 1979 roku, wyświetlając na wielkim ekranie nasze slajdy ze spotkania w Gnieźnie. Niektórzy czytali napisane przez siebie poematy i wiersze, uczestniczyliśmy w dysputach filozoficznych, ekonomicznych i historycznych.

Byłem częstym gościem tych imienin, ale wtedy trudno mi było ustalić algorytm takich wyróżnień. Teraz widzę, że profesor tymi wielodyscyplinarnymi i wielopokoleniowymi spotkaniami próbował przede wszystkim odbudowywać elitę intelektualną, zniszczoną przez okupantów i później przez partię komunistyczną.

Idy zawsze otwierały toasty. Pamiętam, gdy ku zaskoczeniu zebranych wielki erudyta profesor Mieczysław Gamski z Akademii Medycznej na jubileusz pięćdziesięciolecia kariery naukowej solenizanta wygłosił łacińską laudację, pisaną na dodatek w heksametrze. Odpowiedział mu natychmiast jubilat, oczywiście też po łacinie. Zaległa cisza, nie było oklasków. I wtedy Janeczka, żona profesora, z filuternym uśmieszkiem zwróciła się z prośbą, której inni nie śmieli wypowiedzieć:

– Miciu, Robercie, prawie nic nie zrozumiałam, przetłumaczcie mi te swoje frazy.

Mieczysław zeszywniał, z trudem przekładał na polski swój misternie przygotowany poemat, bez charakterystycznego już dla heksametru tempa.



Z profesorem Szewalskim, dyrektorem technicznym
Smętnym-Sową i elektronikiem Jasińskim
przy stoisku w laboratorium

Robert miał zatem dużo czasu i odpowiedź zacytował perfekcyjnie. Przeczytał też wtedy prywatny list od ówczesnego I sekretarza KW PZPR w Gdańsku Tadeusza Fiszbacha, pokazując nam otrzymany w podarunku piękny pas słucki. Poczuliśmy się zaskoczeni, wszak imieniny były spotkaniem „właściwej” opcji politycznej, do której rzadko dopuszczano towarzyszy partyjnych. Profesor wyczuł nasze zażenowanie i oznajmił:

– Znam Fiszbacha, to kresowiak i porządny człowiek, prezent od niego jest wyróżnieniem.

Przekonaliśmy się o tym dość szybko. Tadeusz Fiszbach zapisał się pięknie w naszej pamięci w trudnych czasach Solidarności.

Potem zasiadaliśmy do stołu. Kryształowe kieliszki, miśnieńska zastawa, na porcelanowych plakietkach przeznaczonych dla każdego z nas, ręką mistrza wypisane nazwiska. I dopiero wtedy Janeczka serwowała swoje przysmaki, na które wszyscy czekali. Zaczynaliśmy od wyszukanych przystawek, potem serwowano zupełną szparagową, potrawki z cielęciny, a na koniec tort Sachera i pischinger. Zawrót głowy i to w czasach, gdy na rynku wszystkiego

Pani Janina
Szewalska
na odsłonięciu
pomnika Profesora
w stulecie
jego urodzin
w towarzystwie
wice-prezesa
Alstomu Bolesława
Łuniewicza
i rzeźbiarza
Stanisława Gierady



brakowało. Do tego wina, do wyboru czerwone i białe, różnorakie wódki. Już na początku trzeba było mieć uważanie, bo dostęp do trunków był nieograniczony, a przesada w picciu, jak doświadczyli poniektórzy, kończyła się ewakuacją jeszcze przed podaniem półmisków serowych.

To była swoista szkoła *savoir-vivre'u*. Wielu z nas, wychowanych na przysłowiowych wtedy musztardówkach, przed przyjęciem studiowało w popularnym „Przekroju” porady Kamyczka o zachowaniu się przy stole. Ale i tak trudno było uniknąć wpadek. Takowa przytrafiła się nawet nowo mianowanemu członkowi Akademii Nauk, gdy koniakiem, a nie winem, wznosił u Roberta toast imieninowy.

Na koniec, już przy luźnej atmosferze, opowiadano dowcipy. Były też zaskakujące niespodzianki. Razu pewnego profesorowa postawiła na stołeczku czteroletniego synka swej siostrzenicy, by powiedział wierszyk. Przystrojony malec pięknie się uklonił i wystrzelił:

– Pan profesor z krzywym jajem zapier...ła za tramwajem.

Konsternację zebranych przerwał Szewalski, głośno klaszcząc, a chłopczyk z płaczem szybko uciekł do kuchni. Nikt nigdy nie spytał, kto ułożył wierszyk i czyim był pomysłem. Teraz myślę, że to było osobiste przesłanie profesora do jego wychowanków, by się nie wywyższali, nie grzeszyli pychą. Staruszek dobrze pamiętał słowa Bismarcka: *Acht und achzig Professoren...*

Gdy po latach udawałem się do Belwederu po profesorską nominację i powiadomiłem o tym swą córeczkę, usłyszałem w słuchawce śmiech i znajomy mi wierszyk: „Pan profesor z krzywym jajem...”, a na końcu: *und Vaterland, du bist verloren.*

Najważniejsze idee

Już na emeryturze dostałem zaproszenie na spotkanie przedstawicieli znanej na świecie firmy General Electric ze studentami. Aula Politechniki Gdańskiej pękała w szwach. Doktor Marian Lubieniecki ze swadą prezentował realizowane w Polsce pod jego kierownictwem podwodne konstrukcje u wybrzeży Afryki i Ameryki dla eksploatacji złóż ropy naftowej. Było mi przyjemnie, gdy w przerwie przywitał się serdecznie i powiedział:

– Dziękuję, profesorze, że onegdaj umożliwił mi pan pracę w ABB. Zrobiłem potem karierę w przemyśle, przede wszystkim dlatego, że udało mi się realizować pańskie idee w postępowaniu z ludźmi.

Zdębiałem i odpałem:

– Panie Marianie, zapomniałem, jakie to były idee?

Odpowiedział krótko:

– Przyjmować do pracy lepszych od siebie.

Po powrocie do domu długo nie mogłem zasnąć. To oczywiście nie była moja maksyma, ale ogólnie znana na świecie idea, która stanowi o rozwoju i postępie w każdej dziedzinie. Stosowali ją w Instytucie z żelazną konsekwencją profesor Szewalski i jego następcy. Ale dlaczego Marian powiązał swoje awanse ze mną?

Gardziel na turbinie podczas pomiarów



Z moją grupą
na jubileuszu
pięćdziesięciolecia
Instytutu. Siedzą od
lewej: Staś
Marcinkowski,
Basia Kurant, Piotr
Lampart; obok mnie
stoją: Mariusz
Szymaniak, Jurek
Głuch i Jurek
Świrydyczuk,
2006



Odtwarzałem w myślach swoje szefowanie. Rzeczywiście, zawsze sięgałem po najlepszych. Tak było, gdy grałem w Spójni i z trenerem Januszem Czerwińskim ściągaaliśmy do drużyny wyróżniających się zawodników młodego pokolenia, którzy poziomem nas przegonili. Tak też postępowałem w Instytucie, gdy po odejściu profesora Romka Puzyrewskiego dyrektor Krzyżanowski dał mi szansę prowadzenia pracowni, a potem zakładu. W PAN-owskiej placówce, która głównie zajmowała się czystą nauką, wbrew wielu skierowałem wysiłki na współpracę z przemysłem, co wydawało się przekraczać moje skromne kompetencje. Dla realizacji Systemu Komputerowego Projektowania Turbin wykorzystałem konstruktorów elbląskiego Zamechu: Bolesława Łuniewicza, Mariana Koczuba, Krzysztofa Kietlińskiego, Wojtka Radulskiego, Czesława Szyrejkę, a przede wszystkim skaperowanego do Instytutu Gienka Błażkę. W budowanym zespole udało mi się wtedy zatrudnić najlepszego matematyka w Instytucie Tadeusza Jankowskiego, i to z jego uzdolnionymi programistkami, z Basią Kurant na czele. To dzięki nim udało się zadanie doprowadzić do końca, a przy okazji wypromować dwóch doktorów: Mariusza Szymaniaka z Gdańska i Dariusza Obrzuta z Elbląga. Ku zdumieniu moich starszych kolegów razem z nowo zatrudnionymi w pracowni Piotrem Lampartem i Jurkiem Świrydyczukiem porwałem się wówczas na równanie Naviera-Stokesa. Przy blokadzie informatycznej Zachodu dla jego aplikacyjnego rozwiązania nie

wahałem się wykorzystać specjalistów zza wschodniej granicy z Charkowa. Ukraińcy: Sergej Jerszow, Andrej Rusanow i Witalij Gniesin stali się moimi pracownikami i także przyjaciółmi. To wtedy też dla eksperymentalnej weryfikacji prowadzonych obliczeń udało mi się odbudować i twórczo rozwinąć grupę pomiarów turbinowych Staszka Marcinkowskiego.

Wreszcie razem z Jurkiem Głuchem, Goską Bogulicz i Wickiem Uziębłą oraz Saszką Jefimowem z Charkowa zacząłem z powodzeniem realizować swój pomysł dotyczący diagnostyki cieplnej turbozespołów z prognozowaniem remontu urządzeń.

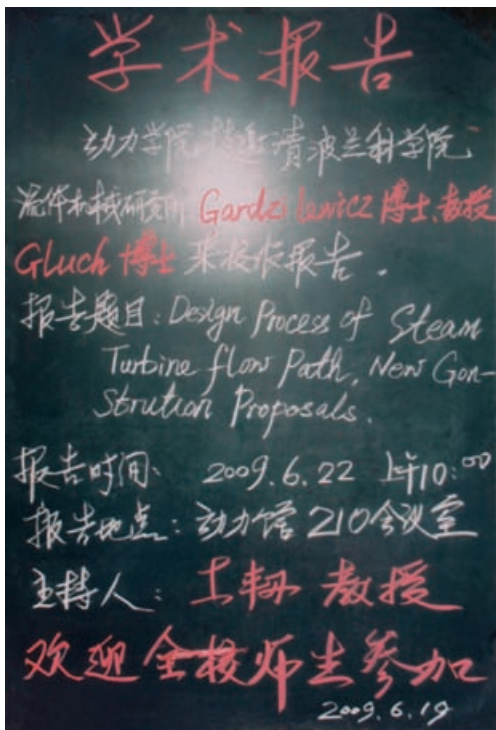
Wprowadzony w Polsce kapitalizm pozytywnie zweryfikował te pochynania. Uświadomiłem sobie wtedy, że pozyskałem współpracowników, ponieważ potrafiłem nie tylko zaczynać, ale i kończyć podjęte tematy, a przy tym dzielić się nie tylko sławą mołojeczką, ale też zarobionymi pieniędzmi. Dzielenie się z innymi było równie ważnym przesłaniem przekazanym mi jeszcze przez mamę i tatę w domu rodzinnym.

Uff..., chyba nikogo nie skrzywdziłem, mogłem już spokojnie zasnąć.

Ucz się języków

Tato zawsze gonił mnie i siostrę do nauki języków obcych. Po wojennym internowaniu, kiedy wrócił z wielojęzycznej Szwajcarii do Polski, wiedział, jak ważne jest wzajemne komunikowanie się w nowoczesnym świecie. Znał świetnie niemiecki, niezłe ukraiński i francuski, a także z lat szkolnych łacinę. Powojenne czasy nie sprzyjały jednak nauce języków, granice Polski na długo zostały zamknięte. W Gdańsku co prawda wielu moich kolegów „szprechało” po niemiecku, ale ten język znieawidzonego okupanta był na indeksie, próby zaś nauki angielskiego z mocno zapracowanym tatą, bez fachowych porad i przy braku podręczników, z góry skazane były na niepowodzenie. Tym bardziej że ganiałem za piłką.

W szkole podstawowej wszyscy uczyli się rosyjskiego, ale dopiero od piątej klasy. Nie kochaliśmy bolszewików, brakowało nauczycieli, a do tego oddzielała nas od Rosji cyrylica. W gimnazjum doszedł drugi język obcy, ale ja zamiast uczyć się angielskiego, zgodnie z tradycją lekarskiej rodziny wkuwałem łacinę. Po maturze, dzięki profesor Szlagier, dukałem jako tako po rusku z beznadziejnym akcentem, po łacinie zaś, przy znajomości zasad gramatycznych, potrafiłem recytować heksametrem Cycerona:



Anons mojego wykładu na uniwersytecie w Szanghaju

bossem był światowej sławy termodynamik profesor Josef Kestin, polski Żyd z Kołomyi, jak się potem dowiedziałem. Referat oczywiście musiałem przygotować po angielsku i nauczyłem się go na pamięć. Na kilkuset uczestników konferencji z naszego socjalistycznego obozu obok mnie było dwóch Rosjan i Czech. Tam przeżyłem szok. Co prawda poszło mi dość dobrze, miałem ładne przeźrocza, które przygotował w Instytucie nasz nieodżałowanej pamięci kreślarz, pan Henio Wąsik, ale po referacie zostałem zasypany gradem pytań, które nie do końca rozumiałem. Odpowiadałem dość lakonicznie, gdy nagle wstał młody jankes i z ręką w kieszeni, mówiąc do mnie, strzelał po angielsku jak z karabinu maszynowego. Stałem osłupiały, ale Gardziel zawsze może liczyć na swoje szczęście. Przewodniczącym sesji był Rosjanin, profesor Tarzimanow, uczeń sławnego Wukałowicza, a ten

– *Quo usque tandem abutere Catilina, patientia nostra?*

Na studiach liźnąłem niemieckiego, który przydał mi się w kontaktach sportowych, w piłkę ręczną grały bowiem w tym czasie przede wszystkim kraje germańskie.

Jako młody uczony Instytutu Polskiej Akademii Nauk nie odczuwałem kompleksów, gdyż nasze zagraniczne kontakty zamykały się głównie w strefie sowieckiej. Do Ameryki udawali się nieliczni. Dzięki lektoratom biernie znałem angielski, co wystarczało do studiowania literatury technicznej i pomagało w zagranicznych kontaktach. Dopiero w czasach powszechnej komputeryzacji język angielski stał się priorytetem w stosunkach międzynarodowych.

Na swą pierwszą konferencję na Zachód pojechałem do Francji w 1974 roku. Zorganizowało ją Międzynarodowe Stowarzyszenie Badania Własności Pary i Wody, a głównym

w ogóle nie znał języków obcych. Organizatorzy przydzielili mu tłumacza. Gdy zatem Amerykanin skończył, z flegmą zwróciłem się do służącego pomocą tego pana:

– *Mr Flower, would you like to translate me these questions into English?*

Sala gruchnęła śmiechem. Stałem przerażony, kiedy zamiast tłumacza znów wstał ów jankes i ponowił pytanie, ale tym razem powoli i wyraźnie. Zrozumiałem, ale śmiech był jeszcze większy, kiedy odpowiedziałem mu krótko:

– *Unfortunately, no.*

Co zresztą było zgodne z prawdą. Przyplątał się po tym do mnie pewien Szkot, który stwierdził, że to był najlepszy *joke* konferencyjny.

– Chamów zza oceanu trzeba uczyć angielskiego – powiedział i do końca obrad stawał mi w barze szkocką whisky.

Czy Amerykanin poprawił swój angielski, nie wiem, ja dalej miałem trudności, chociaż angielskie wystąpienia czekały mnie coraz częściej. Tak było, gdy prowadziłem konsultacje w Meksyku i kiedy wygłaszałem cykl wykładów w największym Instytucie Turbinowym w Szanghaju.

W tym kontekście największym sukcesem, już na koniec kariery, była moja prawie godzinna angielska prezentacja wygłoszona „z głowy” na Uniwersytecie w Cambridge w słynnej Sali Madelaine. Jak mi powiedział obecny tam mój przyjaciel Jurek Głuch, tylko siedem razy do szacownego



Z profesorem
Johnem Dentonem
w Cambridge

audytorium wtrąciłem po polsku, często używane przeze mnie słowo „rozumiesz”. Były oklaski, chyba mnie zrozumieli.

Niemieckiego też niestety nie poprawiłem, chociaż i w tym języku prezentowałem referaty konferencyjne. W czasie jednego z wykładów w Dreźnie na prośbę przewodniczącego musiałem zrezygnować z angielskiego. Gdy przeszedłem na niemiecki, siedzący w pierwszym rzędzie prezes Alstomu Bolesław Łuniewicz znieruchomiał i rzucił:

– Samobójca!

Ale kiedy skończyłem, przeprosił mnie. Nie popełniłem harakiri, bo przyznać muszę, że byłem wcześniej na to przygotowany. Swoje wystąpienie ćwiczyłem z panią Halinką Szczepańską, najlepszą instytutową germanistką.

Dzięki przyjaciółom zza wschodniej granicy dość swobodnie mówię za to po rosyjsku, wielokrotnie też prowadziłem w tym języku wykłady. Czasem nawet śpiewam i wygłaszam cenione w tamtym środowisku toasty. Jeden z nich omal nie stał się przyczyną skandalu na wschodniej Ukrainie. Brałem tam udział w Międzunarodnej, ale i Wsiechsojuznej Konferencji Energetycznej w Charkowie. Spoza państw byłego Kraju Rad oprócz Polaków było też kilku Czechów, Słowaków i Amerykanin. Na zakończenie konferencji po kurtuazyjnym przemówieniu gospodarza Ukraińca, podchmielony Rosjanin wznosił toast:

– *Za rodinu i... Putinu!*

Nie wytrzymałem i zabrałem głos:

– *Mój toast budiet nietypicznyj – zacząłem spokojnie, ale dalej pojechałem ostrzej. – Ja rodiłsa w sientabrie 1939 goda we Lwowie, w polskim gorodie. Nastala wojna, na Polszu napastli z odnoj storony Hitler, z wtoroj Stalin. Kak maleńkij rebionok, ja mog srazu pozna komitsia, czto znacziť komunizm. Dla was vsiech to izwiestno, komunizm to Sowieckaja Włast plus elektryfikacja stran. Siejczas komunizm upať, ostała elektryfikacja i za nieju nam energetikom nužno wypiti toast...*

Buchnęły oklaski, większość Ukraińców wypiła do dna. Mój instytutowy kolega Janusz Steller, który wówczas był tam obecny, podbiegł do mnie i kłęknął z uszanowaniem. Ale Rosjanie zamilkli i nie odezwali się do mnie do końca obrad.

Było to latem 1985 roku. Do Gdańska zawitał z dalekiego Meksyku pan Labaton, dyrektor Instituto de Investigaciones Eléctricas. W upalnej kanikule instytutowa wierchuszka wyraźnie zlekceważyła tego człowieka o indiańskich rysach, który do Europy zawitał z określoną misją znalezienia fachowców dla realizacji nowej polityki energetycznej w jego kraju.

Profesor Krzyżanowski przed odjazdem na urlop rzucił mimochodem, bym się nim zajął. Labaton interesował się szeroko pojętym problemem projektowania turbin. Szybko znalazłem zatem z nim bezpośredni kontakt. Pokazałem mu nasze stanowiska badawcze w laboratorium, realizowane w Instytucie prace dla biura konstrukcyjnego Fabryki Turbin, udało mi się nawet zorganizować wyjazd do Elbląga.

Po miesiącu do Instytutu przyszło zawiadomienie z UNIDO w Wiedniu, bym złożył papiery na konkurs doradcy rządu meksykańskiego w specjalności turbin parowych dla energetyki geotermalnej. Sprawdziłem w encyklopedii: United Nations Industrial Development Organization to agenda ONZ-tu. Przeżyłem szok. W pierwszej chwili euforia, a potem przerażenie. Startować, rezygnować? Czy sobie poradzę? Kontrakt był trzymiesięczny, a mój dyrektor stwierdził, że przed końcem roku może mnie puścić tylko na miesiąc. Złożyłem jednak papiery, ale gdyby nie wsparcie bliskiego mi Zygi Domachowskiego, profesora na Politechnice Gdańskiej, chyba bym zrezygnował.

Sytuacja rozwijała się błyskawicznie. Na wyjazd dostałem zgodę Podstawowej Organizacji Partyjnej, poszedłem na przyśpieszony kurs angielskiego i wkrótce pojechałem po akceptację do Warszawy. Zacząłem od całodniowego ideologicznego szkolenia w Komitecie Centralnym, gdzie lektorzy poinformowali mnie i innych szykujących się też do wyjazdu na Zachód, o czym można swobodnie rozmawiać na kontrakcie. Odsłuchałem wykłady, które przypominały groch z kapustą: Kopernik, Chopin, Curie-Skłodowska, krótkie prymitywne informacje o polskiej gospodarce, kulturze i sporcie. Potem wizyta w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, które miało przejąć mój kontrakt. Podpisałem wstępny akces i skierowano mnie do Ministerstwa Finansów, gdzie zobowiązałem się odprowadzać trzydziestoprocentowy podatek od moich przyszłych apanaży. Od służbowego urzędnika usłyszałem, że dostanę duże pieniądze i przestrzegł mnie, aby nie „kombinować”.

Pobyt w Warszawie kończyłem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. W olbrzymim gabinecie przyjął mnie podpułkownik w cywilu, życząc powodzenia w wiedeńskim konkursie. Bez ogródek powiedział:

– Nie znam pana, proszę tam za granicą nie robić żadnych podejrzanych, szpiegowskich czynności, nawet dotyczących gospodarki. Ma pan wypełnić tylko swoją misję. Niedawno mieliśmy z tego tytułu poważną wpadkę.

Na odchodnym krótko zapytał o Wałęsę. Wydaje się, że wysłuchał z zadowoleniem mojej pozytywnej o nim opinii. Niczego nie musiałem podpisywać, dla późniejszych tropicieli IPN-u pozostałem czysty.

Gdy wróciłem do Gdańska, miałem już skierowanie na briefing do Wiednia i szczegóły kontraktu. Sześć tysięcy baksów miesięcznie plus dodatkowe jakieś tam *allowances*, czego nie rozumiałem do końca. Nawet po odliczeniu podatku po czarnorynkowym kursie była to równowartość dziesięcioletnich poborów. Byłem zachwycony, skończyłem budowę domu, miałem długi, dzieciaki dorastały, a w rodzinie padł jakiś pomór na mężczyn. Odeszli tato, potem teść i szwagier Jóki, wybitni gdańscy lekarze.

Razem z żoną, studiując warunki kontraktu, doszliśmy do wniosku, że gdybym w trakcie wypełnienia obowiązków zginął tragicznie, za przysługujące z tego tytułu milionowe odszkodowanie, zapewniłbym dostatnie życie nawet prawnukom.

W listopadzie poleciałem do Wiednia. Na lotnisku czekał przyjaciel z boiska Andrzej Lech, którego wcześniej udało mi się zawiadomić telefonicznie. Pojechaliśmy do jego domu, gdzie wyjaśniłem mu cel przyjazdu i swoje obawy. Uśmiechnął się, wyciągnął z biurka nostryfikację dyplomu swojej gdańskiej magisterki na wiedeńskim uniwersytecie i powiedział:

– Ała, nie możesz zrobić mi wstydu, ty nasz największy autorytecie, zawożę cię jutro do centrali UNIDO i ani się waż przegrać z jakimiś tam patałachami.

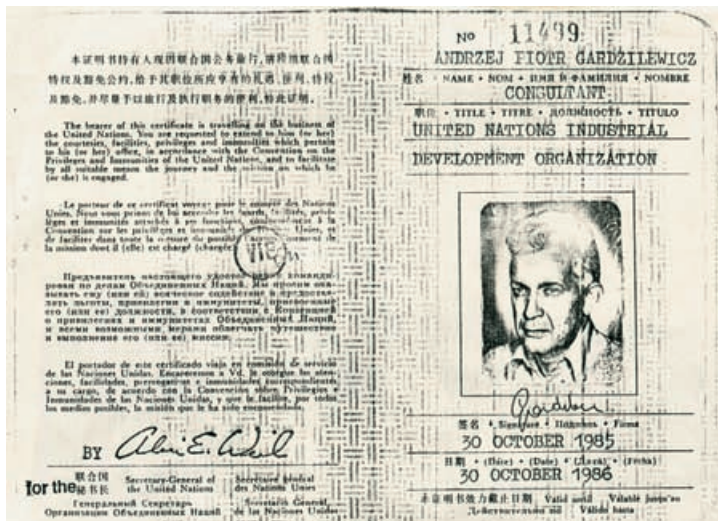
Rano wszedłem do olbrzymiego gmaszyska, gdzie znalazłem swój departament. Czekał na mnie czarny jak smoła Senegalczyk, który zaprowadził mnie do oddzielnego pokoju i wręczył do wypełnienia stosowne papiery. Z górą dwie godziny straciłem na odpowiedzi. Dotyczyły głównie mojej fachowej wiedzy z turbin parowych. Oczywiście korzystałem ze słownika i wcześniej przygotowanych ściąg. Gdy skończyłem, kazano mi pójść coś przekąsić. Nie wiedziałem, że moich konkurentów, którymi byli Niemiec z NRD i Węgier, startujący do konkursu z partyjnego klucza, wcześniej już zdyskwalifikował Labaton. Po obiedzie Senegalczyk złożył mi gratulacje,

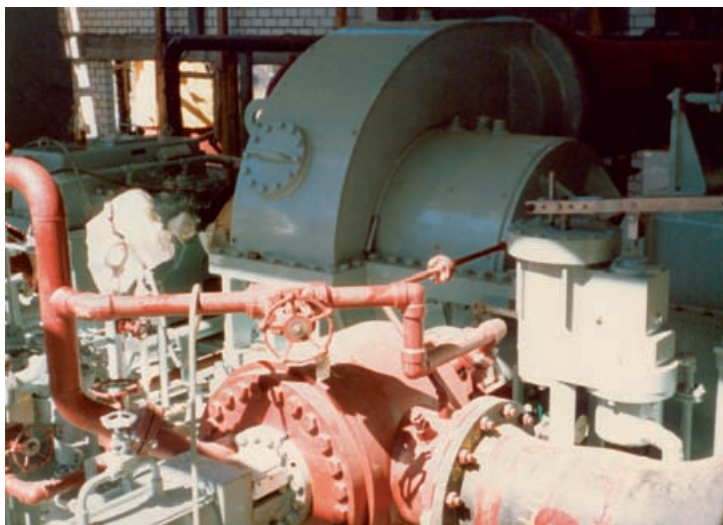
na biurku czekał już na mnie trzymiesięczny kontrakt. Podpisałem papiery. Dopiero wtedy powiedziałem mu o swoich kłopotach w Instytucie z urlopem i poprosiłem, żeby moją wizytę w Meksyku rozłożył na dwie części, co odnotował w swoich zapiskach. Dostałem zgodę.

Następnego dnia otrzymałem szczegółowe informacje o miejscu pobytu. Jechałem do Cuernavaki! Swoistego raj na ziemi, gdzie średnia temperatura powietrza w ciągu roku waha się w granicach dwadzieścia, dwadzieścia jeden stopni. Senegalczyk, życząc powodzenia, przekazał mi równocześnie legitymację doradcy rządowego podpisaną przez Sekretarza Generalnego ONZ pana Cuéllara, bilet samolotowy w biznes klasie do Mexico City i oczywiście kwitek do kwestury na odbiór zaliczki. Okazało się wtedy, że te *allowances* były moimi dodatkowymi dietami pobytowymi i przelotowymi, wynosiły – bagatela – trzysta dolarów dziennie.

Na lotnisku w Meksyku odebrał mnie przedstawiciel UNIDO i zawiózł do stosownych urzędów. W przepastnych gmachach ministerialnych załatwienie formalności zajęło mi kolejne trzy dni. Szybko zrozumiałem, co w ich języku znaczy *maniana*. Meksyk, mimo że zaliczany do krajów trzeciego świata, zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie, ale na pobyt w zarezerwowanym luksusowym hotelu musiałem wydać prawie wszystkie przyznane mi dodatkowe fundusze. Do odległej z górą dwieście kilometrów od stolicy Cuernavaki zawiózł mnie osobisty kierowca Labatona. Znajomy dyrektor

Legitymacja eksperta UNIDO z podpisem zastępcy Sekretarza Generalnego onz





czekał na mnie zniecierpliwiony. Miałem rozstrzygnąć, jako neutralny ekspert, złożone w jego instytucie oferty na dostawę pięciomegawatowej turbiny na parę ze źródeł geotermalnych. Na przygotowanie opinii miałem miesiąc. Zabrałem się ostro do roboty. Dwa dni straciłem na pobieżny przegląd kilku opastych tomów współzawodniczących ze sobą konkurentów

i to najwyższej klasy: z USA i Japonii. Byłem załamany, oferty były świetne technicznie i podobne, długo nie mogłem zasnąć.

Rano pojawił się w moim pokoju inżynier Janusz Kubiak, kolega ze studiów, mój partner z brydżowych turniejów w Elblągu, długoletni pracownik Zamechu i IMP PAN-u. W stanie wojennym wyjechał za granicę i od niedawna był tu zatrudniony. To było moje kolejne szczęście. Okazało się, że mogę liczyć na jego pomoc. Brał udział w rozmowach z producentami turbin geotermalnych, znał ich słabe punkty, orientował się, jakie są preferencje kupujących. Przy okazji u znajomego Meksykanina załatwił mi tanio locum. Za miesięczny czynsz zapłaciłem równowartość doby w eleganckim hotelu, który mi już zarezerwowano. Ostro zabrałem się do pracy, w ciągu czterech tygodni straciłem na wadze sześć kilogramów, ale przygotowana przeze mnie trzydziestostronicowa opinia została bardzo dobrze przyjęta przez szefów. W następnej kolejności od Labatona dostałem zadanie opracowania koncepcji bazy laboratoryjnej dla badań przepływowych turbin parowych. Był zdziwiony, że kontrakt rozdzieliłem na dwie części. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku razem z rodziną Janusza zrobiłem jeszcze wypad do Acapulco i wróciłem do Polski.

W Gdańsku dokończyłem obowiązujący mnie raport końcowy i spokojnie przygotowywałem się do drugiej tury. Tymczasem z Meksyku zaczęły przychodzić dziwne informacje o trudnościach finansowych dotyczących kontraktu. Jesienią dostałem z wiedeńskiej centrali UNIDO urzędowe pismo z poleceniem zwrotu sześciu tysięcy dolarów, które mi wypłacono a conto następnego wyjazdu. Zdębiałem! Pobiegłem do banku, gdzie na zastrzeżonym rachunku trzymałem dewizy. Faktycznie, pieniądze tam były. Sprawę ewentualnego zwrotu skonsultowałem u dyrektorki oddziału. Uspokoiła mnie, że to nie jest mój błąd i dała mi adres biegłego w tych sprawach prawnika. Byłem u niego na drugi dzień. Na wstępie zażądał tysiąca baksów. Powiedziałem, że się zastanowię i pojechałem na weekend na Mazury do Janusza Samorzewskiego, kolegi mojego sąsiada Jacka Wyrwińskiego. Gdy przy ognisku opowiadałem zebranym tam o swoich trudnościach, Szkap, bo taki był pseudonim Janusza, ryknął zadowolony:

– Gardziel, ty jesteś w czepku urodzony! Za chwilę przyjdzie tu profesor Ney, szef nowo otwartego biura UNIDO w Warszawie, który przyjechał nad Krutynię na urlop.

I tak darmową konsultację dostałem z pierwszej ręki. Dowiedziałem się, że błąd popełnił Senegalczyk, a pieniądze zapewne roztrwonili urzędnicy

w Meksyku. Ney oznajmił mi też, że jeśli tych pieniędzy nie zwrócę, nie poniosę żadnych konsekwencji, ale nigdy już nie dostanę w ONZ-cie kontraktu.

Byłem w rozterce, olśnienie przyszło w trakcie snu, po którym doślałem ataku śmiechu, czym przeraziłem żonę. Rano moje przemyślenia sformułowałem na piśmie, które skierowałem bezpośrednio do niejakiego Pietrowa, żądającego w imieniu UNIDO zwrotu pieniędzy. Wyraziłem tam swoje rozczarowanie dotyczące zerwania kontraktu i zawiadomiłem, że honorarium zwrócę po odliczeniu wszystkich strat, które skrzętnie wylizyłem. Nie były to jednak sumy znaczące. Majstersztyk znajdował się w postscriptum pisma i to było źródło mego nocnego rozbawienia. Napisałem, że niestety pobory przekazałem do banku i zwrotu mogę dokonać jedynie w złotówkach po oficjalnym kursie jeden do czterech, a nie jeden do stu, jak mogłem zarobić. Zakończyłem beczelnie:

– *I am not guilty that Polish currency is not invertible.*

Tym sposobem praktycznie zachowywałem prawo do przejścia większości pieniędzy. Pietrow odpowiedział po miesiącu:

– Pana kontrakt jest wznowiony, proszę jechać do Meksyku.

Poleciałem samolotem natychmiast i zaprezentowałem tam nowe propozycje, poparte wykładami dla specjalistów. Swoją misję zakończyłem pełnym sukcesem. Do Gdańska wracałem przez Wiedeń, gdzie raport z kontraktu przekazałem bezpośrednio do rąk Pietrowa. Miał trudności językowe, spojrział na mnie spod okularów i prosząco spytał:

– *Goworisz po ruski?*

– *Da* – odparłem.

– *Mołodiec!* – rzucił mimochodem.

Poszliśmy na obiad. Studia energetyczne kończył na lwowskiej politechnice. Gdy dowiedział się, że bilety na samolot do Warszawy przed świętami są już wykupione, podpisał mi ekstra diety na trzy dodatkowe dni.

Te trzy dni spędziłem u mojego przyjaciela z boiska – Garbusa, którego na zakończenie misji zaprosiłem na kolację do przytulnej restauracji. Orkiestra kameralna grała walce Straussa, podano wykwintne dania, znakomite wina, bez przerwy opowiadałem o Meksyku. Kiedy na końcu zapłaciłem rachunek, zakręciło mi się w głowie. Nie od sumy, ale dopiero wtedy zaskoczyłem, że sam opróżniłem całą karafkę wina. Niebacznie zapomniałem, że w czasie Wielkiego Postu Andrzej Lech nie pił alkoholu. Nigdy przedtem ani potem nie byłem tak wstawiony. Aby wrócić do domu, musiałem skorzystać z pomocy przyjaciela.

Do Meksyku z mojej i Janusza Kubiaka poręki wyjechało później na kontrakty z naszego Instytutu i elbląskiego Zamechu niemal dwudziestu pracowników. Niektórzy zostali tam na zawsze.

Solidarność i Jurek Milewski

Założony w 1955 roku Instytut Maszyn Przepływowych zawsze był swoistą enklawą wolności w PRL-owskiej rzeczywistości. W nim liczyły się przede wszystkim zdolności i praca, nie było miejsca na komunistyczną propagandę. Powszechnie żartowano, że tu partia nie wyszła jeszcze z podziemi. Dyrektor Szewalski, bezpartyjny państwowiec rodem ze Lwowa, musiał jednak przestrzegać obowiązującego porządku. Zdawał w komitetach stosowne sprawozdania i nawet organizował pierwszomajowe pochody. Miał silne poparcie w Warszawie we władzach Akademii Nauk i dlatego nie musiał chodzić na pasku komunistycznych sekretarzy wojewódzkich. Nie zanotowałem przeto, by za jego kadencji ktokolwiek był politycznie prześladowany, a pracowali u nas przecież AK-owscy bohaterowie czy ludzie demokratycznej opozycji. Tu poznałem pana Zdzisława Sitkowskiego, trzymanego w celi śmierci w kazamatach na Rakowieckiej.

Staruszek w specyficzny sposób pilnował ograniczonej instytutowej demokracji. W Polsce Ludowej nie było jeszcze niezależnych od władzy związków zawodowych, tymczasem w Instytucie na sprawozdawczych zebraniach Związku Nauczycielstwa Polskiego przystępowaliśmy zawsze do wolnych wyborów, które on poprzedzał dyrektorską prezentacją osiągnięć. Nie można było robić antykomunistycznej propagandy, ale w kularach wyborczych powszechnie wiedziano, że nie wolno głosować na czerwonych – członków partii oraz na „rudych”, jak zwano instytutowych hochsztaplerów. Do zarządu związkowego wybierano uczciwych i odważnych, którzy obok społecznej działalności pilnowali sprawiedliwego rozdziału społecznych funduszy.

Ten układ zachwiały nieco perturbacje 1968 i 1970 roku. Związkom nie udało się wtedy obronić pozycji Szewalskiego, ale na jego dyrektorskie miejsce nie wchodzili aparatczycy z klucza, lecz zawsze uczeni z klasą, profesorowie: Gerlach, Krzyżanowski, Mikielewicz. Warto wiedzieć, że w tym czasie działaczom związkowym udało się nawet wyciągnąć z więzienia aresztowanego w marcowych zamieszkach naszego wiceprezesa



Z Jurkiem na zebraniu Solidarności

Jurka Litorowicza i zatrzymanych pracowników, rozprowadzających w mieście nielegalną bibułę.

Nic zatem dziwnego, że gdy w sobotę 16 sierpnia 1980 roku w Stoczni Gdańskiej wybuchł strajk, to już w poniedziałek osiemnastego instytutowe związki zawodowe zorganizowały zebranie załogi. Głównym inspiratorem był Gienek Partyka, jak się później okazało człowiek Andrzeja Gwiazdy, jednego z najważniejszych organizatorów stoczniowego protestu.

Wczesnym popołudniem nasi delegaci jechali już do Komitetu Strajkowego z listem popierającym. Znalazłem się wśród nich, zresztą razem z Jerzym Majewskim reprezentującym naszą komórkę... partyjną.

I wtedy do odjeżdżającej do stoczni nyski podszedł docent Jurek Milewski. Sprawdził listę podpisanych i zapytał krótko:

– Gardziel, masz piera? Jeśli tak, to jadę z wami!

W stoczni naszą delegację przywitano z atencją. Byliśmy tam pierwszymi przedstawicielami nauki. Przyjął nas osobiście Lech Wałęsa i skwitował w swoim stylu:

– Jajogłowi, dlaczego tak późno? Postulaty zostały wypracowane, powiedzcie, kto zostaje tu z nami?

Został Milewski. Szybko wróciłem do Instytutu, by zdać czekającym tam kolegom sprawozdanie. Tymczasem późnym wieczorem Wolna Europa cytowała wielokrotnie nasz list. Do gdańskiej stoczni weszli zachodni korespondenci, a Jurek, który po stypendialnym pobycie w bostońskim Massachusetts Institute of Technology dobrze znał angielski, przetłumaczył nasze pismo.

Zaczął się pełen napięć, wspaniały czas Solidarności, a Jurek Milewski stał się jedną z najważniejszych jej postaci. Był człowiekiem nietuzinkowym,

kierownikiem zakładu, jednym z najzdolniejszych uczonych w naszym środowisku, twórcą pierwszego w Polsce lasera wielkiej mocy. Znałem go dość dobrze, ceniłem wiedzę, podziwiałem zdolności organizacyjne i odwagę. Wychowywał go dziadek, powstaniec wielkopolski, mama zmarła mu dość wcześnie, a ojca zamordowali w Katyniu bolszewicy, jeszcze w 1940 roku. To właśnie z powodu Katynia dla władz był trefny. Po maturze, którą zdał z wyróżnieniem w Kórniku, nie przyjęto go na studia. Musiał odpękać w Braniewie służbę wojskową w pułku o podwyższonym reżimie. Dopiero potem przyjechał do Gdańska, skończył politechnikę, skąd bezpośrednio do Instytutu przyjął go Szewalski. Szybko w nim awansował. Równoległe z działalnością naukową profesjonalnie uprawiał wspinaczkę wysokogórską. W tym środowisku poznał swą drugą żonę, działaczkę KPN. Sam przystąpił do opozycji, kiedy dowiedział się, że żonę i ich nieletniego syna pobito w trakcie trzeciomajowej manifestacji w 1980 roku przed gdańskim pomnikiem Sobieskiego.

W Stoczni natychmiast nawiązał kontakty z komitetem strajkowym. Tu, w Gdańsku było centrum dowodzenia. Jurek Milewski u Wałęsy, Borusewicz, Gwiazdy, Pienkowskiej i Lisa był znacznie wcześniej niż Mazowiecki i KOR-owcy. Został przewodniczącym Solidarności w naszym Instytucie. Kierowani przez niego, razem z przedstawicielami Stoczni Gdańskiej zakładaliśmy wtedy komisje związkowe na prowincji: w Tczewie, Malborku, Sztumie. Bezkrwawa rewolucja rosła w siłę, a Milewski błyskawicznie piął się w hierarchii władz Solidarności, wkrótce też stał się najważniejszą postacią w Krajowej Komisji Nauki. W swej działalności miał ułatwione zadanie, gdyż w komisji Instytutu zastępowali go skutecznie Gienek Partyka wraz z Halinką Lubowską. Postawił na Wałęsę, uważał bowiem, że brak wykształcenia w walce z komunistami może być poważnym atutem. Gdy inteligentna opozycja szukała rozwiązań w utopijnym socjalizmie z ludzką twarzą, to właśnie prosty robotnik Wałęsa, wbrew potężnemu Związkowi Radzieckiemu, nie bał się popierać w tej części świata kapitalizmu i jego sprawdzonych w praktyce oczywistych reguł ekonomicznych.

Milewski jako jeden z pierwszych doszedł też do wniosku, że związki same nie przeprowadzą zmian ustrojowych, i zaczął zakładać partię. Oparta na wielkich zakładach Polska Partia Pracy, mimo że miała bardzo spokojny i zrównoważony statut, naruszała jednak polityczny *status quo*, zwany wtedy dyktaturą proletariatu. Nigdy też jej nie zarejestrowano, a Milewskiemu przysporzyło to wiele kłopotów. Z jednej strony zaczęła

Jerzy Milewski,
szef Biura
Koordynacyjnego
NSZZ „Solidarność”
za Granicą,
na spotkaniu
z prezydentem
USA Ronaldem
Reaganem



inwigilować go bezpieka, z drugiej o tę działalność mieli pretensje sami związkowcy.

Gdy jesienią 1981 roku coraz częściej mówiono o nieuniknionej konfrontacji z komunistami, Jurek zaczął budować Sieć Wielkich Zakładów. Stocznia Gdańska i Gdyńska, Ursus, Cegielski, Nowa Huta, kopalnia Wujek miały tworzyć na wszelki wypadek strajkowe ośrodki oporu, ale bez broni. Zawsze mówił, że zwyciężyć trzeba pokojowo jak kiedyś Ghandi. Pojechałem wtedy jako jeden z jego emisariuszy do lotniczych zakładów wsk w Rzeszowie.

Te solidarnościowe sieci dobrze się sprawdziły, gdy wprowadzono stan wojenny, ale on sam tego nie doświadczył, z końcem listopada wyjechał do USA na konferencję naukową i do kraju już nie wrócił. Na emigracji został kierownikiem Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” w Brukseli. Na obczyźnie skoordynował pracę praktycznie wszystkich grup emigracyjnej Solidarności, silnie ze sobą skłóconych. Błyskawicznie rozwinął bardzo szeroką działalność pomocy politycznej i społecznej. Interweniując w sprawie legalizacji związku, spotykał się z wielkimi tego świata, wśród nich z Janem Pawłem II i prezydentem Ronaldem Reaganem.

Rzecz ciekawa, że Jurek, skazany sądownie przez władze stanu wojennego za opozycyjną działalność, cały czas był pracownikiem Instytutu,

skierowanym 1 stycznia 1982 roku do pracy w zdelegalizowanym związku zawodowym NSZZ „Solidarność”. Nie relegowano go też z Gdańskiego Towarzystwa Naukowego.

Wiosną 1989 roku nastąpiły zmiany. Po rozmowach Okrągłego Stołu w Polsce wracała demokracja. W tym czasie Jurek jeszcze przebywał w Brukseli, musiał zamknąć swe biura i przewieźć zebrane tam archiwa do Polski. Gdy przyjechał do kraju, został sekretarzem stanu i szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego u prezydenta Wałęsy. Zaangażował się w reformy przeprowadzane w wojsku, po dość zagadkowym konflikcie z Wachowskim jednak, po tak zwanym obiedzie drawskim, abdykował. Wszystkich zaskoczył powrotem na stanowisko w BBN, ale u prezydenta... Kwaśniewskiego. Jak niesie plotka, sprawcą była ważna persona Belwederu pani Danuta, w której się zakochał i to z wzajemnością. Niektórzy odczytali to jako zdradę. W gabinecie prezydenckim nie pracował już długo, ciężko zachorował i wkrótce umarł.

Poświęciłem bohaterowi Sierpnia kilka fraz, bo o Jerzym Milewskim zapomniano nawet w moim Instytucie. Na pewno przyczyniły się do tego insynuacje z kół IPN-u i publikacje prawicowych żurnalistów, których sam nie mógł już sprostować. Kiedy po latach spytałem legendę Solidarności Bogdana Borusewicza, co sądzi o Milewskim, usłyszałem zwięzłą odpowiedź:

– W tamtej Solidarności był rzeczywiście jednym z najważniejszych.

Sponsor

Staszka Bednarskiego poznałem jeszcze w szkole średniej. Był ode mnie o rok starszy, przeto wcześniej zaczął studiować, szybciej też poszedł do pracy. Imponował mi swoim postępowaniem, ponieważ w życiu zawsze szukał rozwiązań niekonwencjonalnych, stale też gonił za przygodami. Zaprzyjaźniliśmy się jeszcze w trakcie kajakowego spływu Wisłą, graliśmy potem – i to dobrze – w tandemie brydżowym. Nie ukrywam, że miał on istotny wpływ na moje decyzje życiowe. To za namową Staszka poszedłem na Politechnikę Gdańską, a potem razem zaczęliśmy karierę naukową w Instytucie Maszyn Przepływowych.

Nasze drogi się wówczas rozeszły. On terminował u profesora Perycza, ja zaczynałem u doktora Krzyżanowskiego. Gdy po pracy dalej ganiałem za piłką, Staszek z pasją uczył się języków. Wiedział, po co, w ludowej

ojczyźnie było mu duszno. W lecie 1964 roku dostałem wiadomość, że przysnął nielegalnie do Włoch. Było to po ślubie z Mają Szawernowską, granicę z wolnym światem przekroczyli nielegalnie w Jugosławii. Od Staszka taty dowiedziałem się, że pojechał do Ameryki, gdzie błyskawicznie robił karierę w znanej na świecie firmie General Electric. Kierował pracami innowacyjnymi, zdobywał patenty, obronił doktorat. Straciłem z nim wtedy kontakt, wydawało się, że na zawsze.

Odezwał się po latach z Arabii Saudyjskiej, gdzie jako Amerykanin nadzorował budowę siłowni gazowej. Wpadł na pomysł, żeby i nas tam zatrudnić. Jego telefoniczne kontakty z „komunistami”, bo tak nas wtedy potraktowano, źle się skończyły i Staszka w trybie natychmiastowym wydano z tego ortodoksyjnego kraju. Pojechał wówczas do Libii i w listach, które mi przysyłał, poznałem więcej szczegółów jego emigracji. Zaciekle walczył o swoją pozycję w koncernie GE, nie tylko odpierał niesłuszne ataki, ale przystosowywał się do panujących tam twardych reguł współzawodnictwa. Kiedy było mu źle, w chwilach niepowodzeń – biegał, dzień za dniem, metr za metrem. Przekonał się, że w Ameryce pewnego progu w karierze inżynierskiej nie przeskoczy. Jak mówił, zawsze miał głupszego szefa od siebie. Postanowił się przebić poza granicami Stanów i stąd wyjazd do Arabii, gdzie pracował jako manager. Szybko poznał mechanizmy, które rządzą światowym biznesem. Zaczął robić karierę w finansach, w dziedzinie zwykle dla Polaków niedostępnej. Jego pasją, a potem głównym zajęciem stała się gra na giełdzie.

Wrodzona pracowitość, precyzja myślenia, zmysł matematyczny, a przy tym żyłka hazardzisty sprawiły, że i na tym polu błyskawicznie piął się do góry. Większość majątku zdobywał, kupując i sprzedając akcje firm inwestycyjnych, tak zwanych *close-ends*. Został milionerem, postacią znaną i poważaną nawet w centrum Wall Street. Nazwisko Bednarski trafiło na łamy takich czasopism jak: „Inwestor”, „Forbes”, „Business Review”.

Długi czas miał zakaz przyjazdu do kraju, ale o Polsce nigdy nie przestał myśleć. Jako obywatel Stanów Zjednoczonych stale wysyłał kwestionariusze wizowe do polskich konsulatów na całym świecie, aż dopiął swego. Zgodę na odwiedziny pozyskał dość przypadkowo w konsulacie egipskim i odtąd do kraju przyjeżdżał rokrocznie. Mimo ograniczeń znów z ojczyzną wiązał swoją przyszłość. Zaczął zakładać polsko-amerykańskie spółki typu joint venture. Wiele osób doświadczyło jego pomocy, i to nie tylko z kręgu rodziny. Będąc jąkałą, finansował badania logopedyczne na Uniwersytecie

Lubelskim, fundował też aparaturę dla wielu szpitali, stąd pozyskał przydomek Sponsora. Nie była to jednak czcza filantropia. Dając, zawsze sprawdzał wykorzystanie funduszy. Czas Solidarności utwierdził go w przekonaniu, że i w Polsce mogą zajść zmiany w ekonomii. Wałęsę sprawdził osobiście – spodobał mu się. Stan wojenny nie zmienił jego podejścia do naszych zmian. Kupił w Warszawie mieszkanie i jeszcze mocniej zaczął się angażować w konkretne przedsięwzięcia. Pamiętam, gdy pewnego razu wpadł do Polski na urlop i pojechał z nami na narty do Szczyrku. Z entuzjazmem wprowadzał nas w tajniki ekonomii, objaśniał zawile przepisy wolnego rynku, tłumaczył różnicę między spekulacją a giełdą i dlaczego nie wkracza do Polski obcy kapitał.

A poza tym świetnie się z nami bawił, nie raziły go nasze prymitywne warunki i stale starał się nas czymś zaskakiwać. A to pojechał z dziewczynami na zakupy do dolarowego Pewexu, gdzie zachwycone cieszyły się zapachem słynnych perfum Chanel, a to porwał dzieci na kulig z pochodniami. Gdy raz niebacznie zmęczonego Staszka zostawiłem koło wyciągów na Solisku, za chwilę w megafonie usłyszałem informację, że dzięki anonimowemu darczyńcy przez dwie godziny wyjazdy dla narciarzy na szczyt są bezpłatne. Ale była zabawa!

Jego pobyt przerwała wiadomość o ważnym spotkaniu w Warszawie. Pojechałem z nim do Bielska wartburgiem, Staszka pilotowała uroczą Hania Sowińska. Na dworcu zniecierpliwiony tłum czekał na pociąg do Warszawy.

– Wymyśl coś, Gardziel – powiedział krótko. Poszliśmy do naczelnika stacji kolejowej, prosić o miejscówki, gdzie przedstawiłem Staszka jako milionera z Ameryki. Wysokiej rangi kolejarz rzucił obcesowo:

– No i co z tego, przecież nie doczepię wam wagonu.



Staszek przed wyjazdem do Ameryki

– Dlaczego nie? – spytał Staś.

– Bo to kosztuje majątek, co najmniej sto dolarów – usłyszał w odpowiedzi.

– Ile? – ... W tym momencie Staszek wyciągnął portfel i wyłożył żadaną sumę zielonych na stole. Do warszawskiego pociągu doczepiono dodatkowy wagon sypialny! Gdy podano tę informację publicznie, natychmiast ustawiała się kolejka po bilety, a ja stałem zdegustowany. Powiedziałem przyjacielowi, że traktuje nas jak murzynów.

– W Ameryce to równowartość trzech godzin pracy, a do Warszawy jadę, by i w Polsce wróciły normalne czasy – rzucił na odchodnym.

Po wyborach czerwcowych 1989 roku dowiedziałem się, że dostał propozycję doradcy finansowego w Narodowym Banku Polskim. Ale nie przyjął tej funkcji, a do Warszawy pojechał, by razem z Jerzym Kosińskim i Romanem Waschko założyć Amerbank, pierwszy obcy bank w wolnej Polsce. Wiedział, że w przebudowie polskiej gospodarki najważniejsza będzie prywatyzacja i uporządkowanie finansów. Wkrótce przekazał mi do studiowania opasłe tomy ekonomii Keynesa i Friedmana, oczywiście po angielsku. Kupił willę na Jaśkowej Dolinie we Wrzeszczu, gdzie chciał założyć filię Amerbanku, w którym przewidywał mnie zatrudnić. Był mocno rozczarowany moją rezygnacją, ale byłem już wówczas zaangażowany po uszy w swoich turbinach.

Była zima 1991 roku i raptem dostaliśmy wiadomość ze Stanów, że Staszek Bednarski nie żyje. Umarł po porannym biegu, jego serce nie wytrzymało, amerykańscy lekarze nie zdążyli mu pomóc. Po sześciu miesiącach spotkaliśmy się wtedy w gronie przyjaciół na powtórzonej w Sopocie ceremonii pogrzebowej. Żona Maja przywiozła do Polski część jego prochów. Atmosfera na stypie daleka była od smutku, znajomi ciepło wspominali zmarłego. Zaprzyjaźnieni z nim świetni kardiologzy Paweł Skarżyński i Piotr Świca wyrazili ubolewanie, że nie zdążył zamieszkać w Gdańsku, tutaj na pewno nie pozwoliliby mu odejść z tego świata... Wydawało się, że Staś za chwilę tu wejdzie, znów nas czymś zaskoczy. I rzeczywiście drzwi się z hukiem otworzyły, wszyscy zamarli. Do sali wkroczyła bardzo podobna do Stasia jego córka Sabina, podeszła do mnie i powiedziała głośno:

– Jest problem z tatą, wracam z cmentarza, gdzie modliłam się nad jego urną. Grób jest otwarty, nie byłam w stanie sama zamknąć płyty. Coś trzeba zrobić, bo mogą ukraść marmurową urnę z tatusem.

Była piękna czerwcową noc, pojechaliśmy natychmiast dwoma takśówkami na cmentarz. Obudzony nagle ze snu lekko zapity grabarz wziął

wiaderko z cementem. Zabezpieczyliśmy wieko nad Staszkiem i zaśpiewaliśmy mu ostatni raz: W mogile ciemnej...

Staszek pozostawił po sobie zaczyn. Teraz Polskę z wymienialną już złotówką, wbrew wszystkim przeciwnościom losu, z powodzeniem zaczęliśmy modernizować.

Prywatyzacja Zamechu i... Stoczni Gdańskiej

Po studiach zostałem zatrudniony w Gdańsku w Instytucie Maszyn Przepływowych PAN, ale i elbląski Zamech był stale obecny w mojej zawodowej działalności. Instytut stanowił naukowe zaplecze tego zakładu, co wynikało z polityki dyrektora Szewalskiego i jego następców. Ta współpraca zaczęła się jeszcze od wyprodukowania pierwszej polskiej turbiny parowej. Od jej zarania powstawały wspólne patenty i rozwiązania konstrukcyjne, wdrażane później w elektrowniach. Uczeni konsultowali prace wykonywane w Elblągu, niektórych tam nawet zatrudniano. Na budowanych w Gdańsku stoiskach laboratoryjnych badano dla fabryki stopnie turbin, regulatory, łożyska, sprzęgła, zawory, wymienniki ciepła.

Wielu inżynierów z Elbląga zrobiło wtedy w Gdańsku doktoraty, najwybitniejsi zostali nawet członkami rady naukowej w Instytucie. Pamiętam pierwszych animatorów tej kooperacji, tych z Instytutu: Roberta Szewalskiego, Stefana Perycza, Jerzego Krzyżanowskiego, i ze strony Zamechu: Stefana Derenia, Andrzeja Piechotę, Kamila Czwiernię. Ich trud zaowocował też po latach, kiedy Polska przestawiała się na tory gospodarki rynkowej. Jeszcze przed 1989 rokiem kupnem elbląskiego Zamechu zainteresował się znany na świecie koncern ABB, a głównym tego powodem były nie tylko mniejsze koszty robocizny, ale nasze możliwości, które Szwajcarzy i Szwedzi rozpoznali podczas wspólnej budowy elektrowni w Bełchatowie. Gdy zatem przenoszono część produkcji ze Szwajcarii i Niemiec do Elbląga, wiedziano już, że Polacy dadzą sobie radę. Szybko podpisano porozumienie. Ile było krytyki, gdy nieoficjalnie podano niską cenę transakcji kilkunastu milionów dolarów, a przecież kontrakt nie obejmował ceny ziemi, a zakład ledwie wówczas dychał i praktycznie nie miał zamówień. W istniejącym stanie więcej kosztowało jego roczne utrzymanie.

Nim zrealizowano pierwsze kontrakty, przeprowadzono konieczną restrukturyzację, unowocześniono procesy technologiczne i ograniczono



Budynek biura konstrukcyjnego fabryki turbin w Elblągu po renowacji

nadwyżkę zatrudnienia. Zwolnieni pracownicy przeszli na przyśpieszoną emeryturę lub do innych części zakładu, nieprzejętych wtedy przez koncern. Już po roku osiągnięto pierwsze zyski, kupiono nowe obrabiarki, skomputeryzowano cały proces produkcji i z mozołem zaczęto odnawiać wydzierżawione budynki. Ale przede wszystkim zaczęły się szkolenia załogi: od inżyniera po robotnika, dotyczące techniki, ekonomii, informatyki i z angielskiego. Byłem nie tylko świadkiem, ale i uczestnikiem wielkich przekształceń i przedsięwzięć. Wykreowano wtedy zdolną kadrę kierowniczą: Pawła Olechnowicza, Roberta Butzkego, Bolesława Łuniewicza, Jakuba Radulskiego, Andrzeja Twardowskiego, Eugeniusza Sampa.

Notabene, świetnie prowadzący elbląską fabrykę pierwszy prezes Olechnowicz przeszedł po latach

do wielkiej rafinerii gdańskiego Lotosu, która pod jego kierownictwem zanotowała okres świetnej prosperity.

Mocnym akordem weszli do koncernu elbląscy konstruktorzy. Wojtek Naumowicz, Olek Malec, dwóch Piotrów – Dobrowolski i Ostrowski, Romek Karpiuk czy Krzysztof Kietliński swą inwencją przewyższali niejednokrotnie zagranicznych kolegów. Furorę zrobił też mój instytutowy kolega profesor Puzyrewski, który w ABB Baden, w dziale badań i rozwoju, wykładał Szwajcarom aerodynamikę turbin i prowadził tam kilka pilotowych projektów. W tej współpracy zatrudnionych zapewne było wielu innych, nie mniej ważnych, których nie poznałem, muszą wybaczyć mi, że ich tu nie wymieniłem.

Wchodząca na międzynarodowy rynek elbląska fabryka szybko wprowadziła międzynarodowe standardy ISO. Jakość wykonania olbrzymich



Doktor Dariusz Obrzut na pomiarach turbinowych

wirników turbinowych dla siłowni atomowych USA zaskoczyła wówczas nawet odbierających je Amerykanów. Koncern co prawda był zwolniony przez pięć lat z podatków, ale płacił, i to sporo, za dzierżawę ziemi i nieruchomości, finansował niektóre przedsięwzięcia dla miasta: w służbie zdrowia i edukacji. Niestety nie udało się pozyskać dodatkowych pieniędzy offsetowych na rozwój krajowego zaplecza badawczego, ale ten mankament dotyczył wtedy większości przeprowadzonych w Polsce kontraktów.

W tym samym czasie zaczęto także prywatyzację gdańskiej Stoczni. Tu byłem tylko biernym obserwatorem. Przy propozycji kupna przez zakłady w Bremie padały sumy wielokrotnie przekraczające transakcję elbląską, bo stocznia miała międzynarodową renomę, ale nie satysfakcjonowały one przede wszystkim stoczniovców. Rozmowy się przeciągały, w Polsce mało kto się orientował, jak prowadzi się takie przedsięwzięcia. Wyznaczone do wyceny majątku komisje w swych kalkulacjach sięgały miliardów. Nikt nie wnikał, że stocznia, po wycofaniu się Rosjan, straciła większość kontraktów i stała się wielkim bankrutem. Przestarzałe technologie, niezmienniana od lat organizacja pracy, a zwłaszcza olbrzymia rzesza zatrudnionych, nie wróżyły powodzenia. Do transakcji nie doszło, a sytuacja stoczni była coraz gorsza.



Lech Wałęsa z Barbarą Piasecką-Johnson
w parafii Świętej Brygidy

Nie pomogła „księżniczka” Barbara Piasecka-Johnson, która po sprawdzeniu faktycznego stanu zakładu przez wyspecjalizowaną spółkę Arthur Andersen, wycofała się z hukiem ze składanych obietnic. Prowadzone z nią negocjacje Lech Wałęsa na spotkaniu w sali BHP posumował krótkim zdaniem:

– Ma pani sto milionów dolarów i kupuje stocznię, bo jeśli nie, to do widzenia. – I mrucząc pod nosem: „po co pani zawracała głowę”, opuścił salę.

Obrażona pani Basia zalała się łzami i na tym się skończyła bajka. Po śmierci męża pozyskała co prawda majątek, ale w koncernie kosmetycznym. Nie miała pojęcia, jaka sytuacja zapanowała w przemyśle okrętowym. Pieniądze, i to niewielkie, zainwestowała później, bez większego powodzenia, w „cudowne” maści torfowe profesora Tołpy.

W odnowionej Polsce, przy roszczeniowych związkach zawodowych, stocznia niestety dalej dołowała, nie miała też szczęścia do prowadzących z politycznego rozdania menedżerów, nie pomogły przyznawane *ad hoc* państwowe dotacje. Zbyt długo do świadomości załogi docierało, że najważniejsze jest pozyskanie rynków zbytu, i że nie można egzystować z kosztami produkcji większymi od kosztów sprzedaży.

Porównując oba te przekształcenia po latach, widać, jaki sukces odnieśli ówcześni elbląscy negocjatorzy. W Elblągu nadal produkowane są turbiny wielkiej mocy i to te z najwyższej półki. Zbudowano wysokiej klasy centra obróbki metali, a także jedną z najnowocześniejszych w Europie odlewnię staliwa. Nadal działa biuro konstrukcyjne, które wyspecjalizowało się w serwisowaniu i modernizacji starych siłowni turbin parowych. W fabryce

pojawiła się rzesza utalentowanych projektantów, że wspomnę znanych mi: Piotra Marszałka, Daniela Lewandowskiego, Piotra Czerwińskiego, Wiesława Michałowskiego, Jacka Topolskiego, Mariusza Banaszkiewicza i mego doktoranta Darka Obrzuta. Dzięki takim jak oni w koncernie dalej powstają turbiny realizowane też według polskiej dokumentacji.

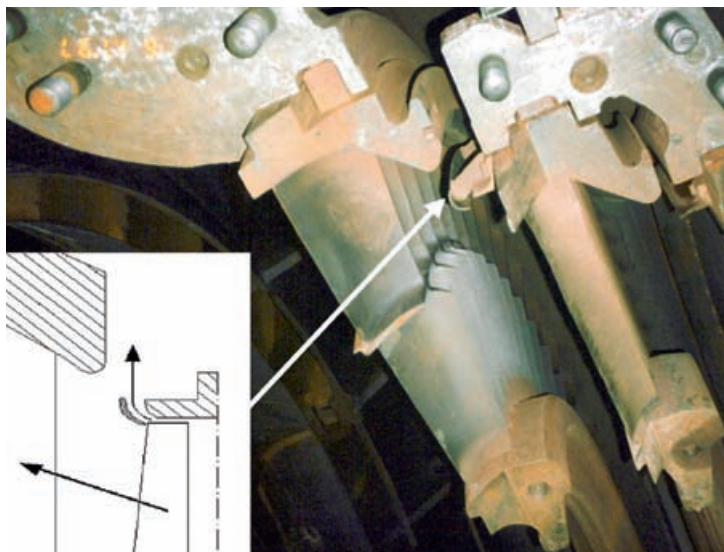
W kryzysie energetycznym w fabryce nie doszło do zwolnień i istotnych perturbacji, produkcji turbin nie zachwiało też przejście zakładu przez nowych właścicieli z Alstomu czy ostatnio przez General Electric.

W przemyśle okrętowym było gorzej, ale i tu zanotowano ostatnio pozytywne zmiany. Mimo wielkiej konkurencji głównie ze strony Chin i Korei, dość dobrze sobie radzą już sprywatyzowane zakłady, te największe: Remontowa w Gdańsku i Crist w Gdyni. Dołączają do nich też i mniejsze. Nawet w Stoczni Gdańskiej po sprzedaży Ukraincom, chociaż ograniczono produkcję, także zanotowano sukcesy. I tu wykreowano zdolną kadrę inżynierską oraz wykwalifikowanych robotników. Wiedzą oni, że nie pomogą już związkowe protesty, na utrzymanie nawet najbardziej zasłużonych zakładów nie można dokładać pieniędzy. Sprawdzono to wcześniej w polityce Londynu, Goeteborga, Bilbao, gdzie ostatnio z powodzeniem zagospodarowano wiele terenów postoczniowych na inne cele. Takie szanse pojawiły się także w Gdańsku. Dzięki zmniejszeniu powierzchni stoczni i nasze miasto pozyskało wspaniałe miejsca na dalszy rozwój. Zbudowano tu już Europejskie Centrum Solidarności, a jeśli będzie społeczne przyzwolenie, wkrótce wejdą nowi inwestorzy. Może doczekam, aż wreszcie ożyje ta zrujnowana nie tylko przez wojnę część miasta...

Złoty pierścionek

Umiejętności dopotąd są jeszcze próżnym wynalazkiem,
Może czym tylko rozumu wywodem albo próżniactwa zabawą,
Dopotąd nie są zastosowane do użytku narodów.

Zapis tej myśli Stanisława Staszica eksponowany na ścianie auli Politechniki Warszawskiej przeczytałem po raz pierwszy, będąc studentem. Nie do końca go wówczas rozumiałem. Miałem jednak szczęście, że w moim Instytucie zajmowano się nie tylko czystą nauką, lecz zdobyte umiejętności i patenty przekuwano też na konkretne aplikacje użytkowe.



Samo zdobycie patentu nie jest sprawą prostą, ale znacznie trudniej jest go zastosować w praktyce, a jeszcze trudniej uzyskać z tego tytułu sławę i znaczące pieniądze. Urząd Patentowy po zgłoszeniu musi sprawdzić pierwszeństwo pomysłu na świecie i jego zgodność z ogólnymi prawami przyrody. A potem zrealizowane rozwiązanie trzeba zweryfikować w eksploatacji, przy czym decydujące znaczenie mają poniesione koszty. To dlatego tak trudno wdrażać w przemyśle rodzime innowacje, bo często łatwiej wprowadzić wcześniej sprawdzone i tańsze rozwiązania zagraniczne.

Przekonałem się o tym osobiście, mając wgląd do zgłaszanych rozwiązań w instytutowej komórce wniosków racjonalizatorskich i patentów, do której zostałem skierowany na początku zatrudnienia.

W tym czasie największą sławę wynalazcy w Instytucie zdobył profesor Staszek Dąbrowski. Jego opatentowane rozwiązania sprzęgieł hydrokinetycznych zastosowano w kilkudziesięciu pompach i wentylatorach nie tylko w Polsce, ale i za granicą. W niektórych elektrowniach można je spotkać do dziś. Nawet jak na czasy PRL-u zarobił on duże pieniądze.

Przełomowe wtedy zgłoszenia patentowe profesora Szewalskiego, dotyczące siłowni parowych na parametry nadkrytyczne, zbyt mocno wyprzedzały istniejącą technologię. Opłaty wnoszone za nie przez długi

okres w kraju i za granicą, niestety poszły na marne. Kiedy bowiem z górą po trzydziestu latach rozwiązania zostały wdrożone na świecie, licencje dawno już wygasły. Najbardziej płodny wynalazca w Instytucie profesor Józef Śmigieński, autor pięćdziesięciu patentów, nie doczekał żadnego praktycznego zastosowania. Jego sprawdzone w laboratorium zawory, w których regulację przepływu wody zapewniały grzybki przesuwane elektromagnesem, zatkały się po kilku dniach pracy. Nie przewidział on, że w sieciach ciepłowniczych razem z wodą płyną drobne cząsteczki żelaza. Inne zaś pomysły profesora, chociaż ciekawe, okazały się nieopłacalne w realizacji.

Do dziś pamiętam przywieziony do Instytutu pod specjalną ochroną i w zaplombowanej teczce patent oficera Marynarki Wojennej, który proponował swoiste zamrożenie imperialistów amerykańskich. Szczytny cel miał być uzyskany przez obrót kuli ziemskiej, wynikający z przyłożenia pary sił. Rozwiązanie dotyczyło odpowiednio umieszczonych do tego celu urządzeń o napędzie atomowym w taki sposób, aby Stany Zjednoczone znalazły się na biegunie północnym...

Z premierem Leszkiem Millerem w towarzystwie profesora Jarosława Mikieliewicza i inżynierów: Henryka Sobery, Janusza Bartochowskiego, Stanisława Marcinkowskiego, Józefa Kiebdója i Jerzego Gronerta



Wkrótce sam stanąłem w szranki tej trudnej konkurencji. Pierwsze patenty realizowałem w grupie Puzyra. Powstały udane rozwiązania konstrukcyjne stopni turbin parowych, ale i one ze względu na koszty doczekały się zastosowania tylko na pojedynczych blokach.

Kolejny patent powstał już w mojej pracowni i był czystym przypadkiem. Jeszcze raz potwierdziło się, jak ważne w życiu jest szczęście. W trakcie prowadzonych razem ze Staszkiem Marcinkowskim pomiarów cieplnych na turbinie dwieście megawatów w elektrowni w Kozienicach stwierdziliśmy, że intensywny przeciek pary nad łopatkami wirnikowymi zaburza przepływ w strumieniu głównym. Wstawiliśmy do wnętrza turbiny pierścione, który ten „wredny” przeciek odprowadzał na zewnątrz, do istniejącego w tym miejscu upustu pary. Udało się – wzrosła sprawność turbozespołu, co dało zyski mocy sięgające megawata. Zgłosiliśmy nasz wynalazek w Urzędzie Patentowym. Procedura zatwierdzenia oraz badania eksperymentalne trwały cztery lata. Projekt konstrukcyjno-technologiczny i wdrożenie na blokach w Kozienicach i Turowie, realizowane z nami przez sopocki Posteor we współpracy z elbląskim Zamechem, zajęły następne dwa. Ale od tej chwili pierścienie wkładaliśmy do turbin jak bułki do pieca. Zmodyfikowaliśmy ponad trzydzieści bloków, za co pozyskaliśmy ze Staszkiem niezłe gratyfikacje finansowe, dostaliśmy nagrodę Prezesa

Z profesorem
Arkadijem
Zariankinem
w Moskwie



Rady Ministrów. W nagrodzonym zespole wyróżnieni zostali obok nas pracownicy Elektrowni Henryk Sobera i Józef Kiebdój.

Gardziela poznały największe polskie Elektrownie: Kozienice, Turów, Połaniec, Pątnów, Dolna Odra, Łaziska, Jaworzno, Rybnik, Ostrołęka i Bełchatów.

Badań nie przerwałem i wkrótce pierścienie znalazły zastosowanie także w siedemnastu nowoczesnych turbinach Alstomu. Nowe rozwiązanie konstrukcyjne opracowałem tym razem z Andrzejem Pałzewiczem i moim doktorantem Mariuszem Szymaniakiem. We wdrożeniu nie mniejsza była zasługa sprawdzonych wcześniej wykonawców z Posteoru, inżynierów Jerzego Gronerta i Piotra Graczyka, którzy małą innowacyjną spółkę przekształcili w tym czasie w wyróżniającą się zakład produkcyjny ekonomicznej strefy warmińsko-mazurskiej.

Pierścienie chcą teraz stosować na Ukrainie. Tam niestety nie wnieśliśmy stosownych opłat dla ochrony patentu. Na razie koledzy ze wschodu sprezentowali mi dobrą wódkę. Trzeba było ją wypić na miejscu.

W rozpowszechnieniu patentu pierwszym współpracującym ze mną menadżerem był inżynier Leszek Solski. Znałem go dobrze, grał nieźle w koszykówkę, jego żona Ewa Jesionek była bliską koleżanką mojej siostry. Wiedziałem, że Leszkowi, gdy był małym dzieckiem, bolszewicy rozstrzelali ojca w Katyniu w 1940 roku. Przypadek losu sprawił, że naocznym świadkiem okrutnego mordu na polskich oficerach był dziesięcioletni wówczas chłopiec Arkadij Zariankin. Dowiedziałem się o tym w czasie służbowego pobytu w Moskiewskim Instytucie Energetycznym. W tym znanym na świecie ośrodku turbinowym Zariankin był profesorem i wtedy przygotowywał się do laboratoryjnych badań naszego patentu.

Leszek i Arkadij poznali się w Gdańsku. Stary profesor opowiedział Solskiemu, co widział w rodzinnej wiosce. Po Katyniu nigdy już nie mógł uwierzyć komunistom. Sam po donosie teściowej, która nie akceptowała małżeństwa z jej córką, został zesłany na Syberię, jak zresztą wielu innych świadków tego morderstwa. Było to już po obronie doktoratu. Miał wówczas szczęście, gdyż na interwencję promotora i szefa katedry, profesora Szczegłajewa, wysadzono go wcześniej z kolejowej kibitki i w trybie pilnym odesłano do Leningradu. Był tam potrzebny, aby skończyć prace zaczęte w laboratorium, dotyczące badań wylotu rosyjskiej dwusetki. Traf chciał, że właśnie w tych dwusetkach zaczęliśmy później montować pierścienie. Wtedy w Leningradzie Arkadij pracował pod nadzorem NKWD, mieszkając w domu studenckim. Miejsce w akademiku pozyskał dzięki ponownemu

zdaniu egzaminu wstępnego na studia. Oczywiście z zajęć go zwolniono, pracował przecież w laboratorium wielkiej fabryki turbin...

Gdy po śmierci generalissimusa wrócił do Moskwy, żony już nie zastał, zmarła razem ze swoją matką wywieziona na Sybir. Teścia Zariankina, który był profesorem medycyny, Stalin kazał rozstrzelać wcześniej. Ponoć źle się nim opiekował w czasie choroby.

Leszkowi też nie było lekko, ale w Polsce więzienia uniknął. Udało mu się skończyć studia na Politechnice Gdańskiej. Pracował w wielu zakładach, nim znalazł miejsce w Posterze, gdzie na styku przemysłu i nauki udało mu się później wdrożyć wiele wynalazków. Zginął tragicznie w 2010 roku w wypadku samolotu TU-154 w Smoleńsku, kiedy razem z polskim prezydentem Lechem Kaczyńskim wyruszył do Katynia, by złożyć ostatni pokłon swemu zamordowanemu ojcu...

Spółka Diagnostyka Maszyn

Krótko po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego do Instytutu zawitała kontrola NIK. Dyrektorowi Krzyżanowskiemu postawiono proste pytanie: na czym polega działalność jego podwładnych? Odpowiedź brzmiała banalnie: w Polskiej Akademii Nauk uczeni realizują prace podstawowe. Znacznie trudniej było wytłumaczyć kontrolującym pułkownikom, co to są za prace. Oczywiście nad nowymi technologiami, wyprzedzającymi ich przysze wdrożenia, ale znów pytanie: o ile lat? Na zebranej *ad hoc* naradzie doktor Ryszard Kozubowski, sekretarz naukowy Instytutu, przestrzegwał, że nie może być to zbyt długi okres, przypominając prognozy uczonych z 1890 roku w kwestii rozwoju końskiego transportu. Wszak według nich Paryż już na początku XX wieku miał utonąć w gównie. Stało się wtedy na dwudziestu pięciu latach. Na taką odpowiedź kontra wojskowych była natychmiastowa: pokażcie swoje aplikacje, pokażcie wdrożone wynalazki.

Na szczęście Instytut nawet w komunistycznych czasach utrzymywał stałe kontakty z przemysłem energetycznym, bo tam było największe zapotrzebowanie na realizację naszych ciekawych pomysłów. Jeszcze pod kierownictwem profesora Szewalskiego powstał projekt pierwszej polskiej turbiny parowej, zrealizowany później w elbląskim Zamechu. W Instytucie skonstruowano wiele pomp, sprzęgła hydrokinetycznych i turbin wodnych zastosowanych potem w elektrowniach. Te prace, nawet w opinii wojskowego z NIK-u,



Z zespołem Diagnostyki Maszyn. Stoją: Danusia Kruszewska, Wicek Uziębło, Małgosia Bogulicz, Zygfryd Domachowski; siedzą obok mnie: Stefan Presch i Jurek Głuch

usprawiedliwiały egzystencję naszego ośrodka naukowego i pozytywnie pozwoliły przejść weryfikację.

Autentyczne kontakty z przemysłem okazały się istotne, gdy Polska wróciła na tory gospodarki rynkowej. Dyrektorowi Krzyżanowskiemu udało się wówczas podpisać z prezesami przejętej przez ABB elbląskiej fabryki, Olechnowiczem i Łuniewiczem, umowę o współpracy naukowo-badawczej. W zapisie istotną rolę przypisano utworzeniu przy Instytucie sprywatyzowanych spółek typu spin-off, z natury rzeczy bardziej mobilnych w realizacji konkretnych zadań wdrożeniowych.

Zostałem założycielem i dyrektorem jednej z nich, nazwanej Diagnostyką Maszyn. Miałem pomysły na taką działalność, wcześniej wdrażałem przecież w praktyce realizowane w mojej grupie patenty, programy projektowania turbin czy specjalistyczne metodyki pomiarowe. Razem ze mną przystąpili do spółki Tadek Jankowski, Wicek Uziębło i emerytowany księgowy Stefan Presch. Ten ostatni odpowiadał za organizację obsługi księgowości. Sam



Hala turbinowa w elektrowni Kozienice

byłem bałaganierzem i pracę Stefana doceniłem dopiero wtedy, gdy na spółkę spadł nawał różnych kontroli i inspekcji. Wiele z nich wynikało zresztą z anonimów wysłanych do urzędów przez moich instytucyjnych kolegów. Wyszliśmy z tego obronną ręką, ale do dziś pamiętam przerażenie Stefana, gdy ukarany mandatem za dość drobne uchybienie w płatności podatku, kazałem mu w obecności członków kolegium Urzędu Skarbowego tę karę wrzucić w koszty zarządu. Wprowadziłem tym w osłupienie przewodniczącą, co skończyło się awanturą, ale na szczęście tylko podwojeniem niewielkiego zresztą mandatu. Zapłaciłem go natychmiast ze swego rachunku osobistego.

Diagnostyka Maszyn swe prace skupiła na szeroko pojętym projektowaniu, zagadnieniom pomiarów i eksploatacji maszyn przepływowych w zastosowaniu przede wszystkim do turbin parowych.

Plany rozwoju spółki miałem początkowo wielkie, łącznie z budową specjalistycznego warsztatu do produkcji turbinowych łopatek. Były na to szanse, gdyż w Polsce pojawiło się wiele kontrahentów reprezentujących znaczny kapitał. Niestety zawitali też naciągacze. Po nieudanym mariażu z amerykańskim hochsztaplerem, *nomen omen* niejakim panem Mazurkiewiczem, wyraźnie te zapędy ograniczyłem. Pożyczka, którą wtedy mu niebacznie podpisałem, kosztowała mnie sporo nerwów. Firmie groziła

nawet upadłość, aby ją zażegnać, straciłem nieco własnych pieniędzy. Za to, jak mówi stare porzekadło, pozyskałem doświadczenie.

Od tego czasu w spółce zaczęliśmy pracować przede wszystkim głową. Udało mi się włączyć do takiej działalności potencjał naukowy nie tylko Instytutu i bratniej Politechniki Gdańskiej, ale również wybitnych fachowców zza wschodniej granicy, z Ukrainy i Rosji. Po śmierci Tadka i odejściu Wicka dołączyli do nas profesorowie Zygfryd Domachowski i Jerzy Głuch oraz Gosia Bogulicz. W sekretariacie odchodzącego na emeryturę Stefana zastąpiła Danka Kruszewska, a nadzór finansowy sprawuje spółka Księgowość i Podatki prowadzona przez panie Kysię Wróblewską i Irenę Klukowską.

Mamy się czym pochwalić: Diagnostyka Maszyn to nie była jakaś fidygałka w moim życiu. W ciągu dwudziestu pięciu lat firma zrealizowała ponad trzysta kontraktów za kilkanaście milionów złotych. Powstało z górą sześćset opracowań, w tym też oryginalne konstrukcje oraz programy komputerowe stosowane w maszynach i urządzeniach energetycznych. Maksymalnie zatrudniano w niej dwadzieścia pięć osób. W swej sponsorskiej działalności spółka finansowała w Instytucie wyjazdy zagraniczne, stypendia, seminaria, a nawet wydawnictwa naukowe.

Wśród zleceniodawców, obok elbląskiej fabryki turbin, figurują najbardziej znane na świecie firmy energetyczne: ABB, Alstom, GE, Vattenfal, Siemens, Rolls-Royce. Zaprojektowane u nas unikalne sondy do pomiaru parametrów termodynamicznych pary wodnej weryfikowały prace wielu turbin nie tylko w kraju, ale i za granicą. Badania rurociągów wylotowych z reaktora atomowego Oskarsham w Szwecji doprowadziły tam do pięciokrotnego zmniejszenia niebezpiecznych drgań. Mojej konstrukcji koszykowe czujniki mierzą teraz ciśnienia w większości polskich skraplaczy. Programy komputerowego projektowania turbin wykorzystywane są nadal w praktyce elbląskiego biura konstrukcyjnego Alstomu, a cieplno-przepływowa diagnostyka turbin parowych pracuje w elektrowniach i pomaga w ocenie racjonalnego prognozowania remontów.

Nie tylko dla polskiej energetyki wykonaliśmy kawał dobrej roboty.

Jak zostałem atamanem!

Moje wyjazdy do Rosji nie ograniczały się tylko do Moskwy czy Leningradu, podróżowałem też do znanych na świecie ośrodków termodynamiki



w Nowosybirsku i w Irkucku. Najciekawszy jednak był dla mnie kontakt z Ukrainą, gdzie w 1973 roku zawiązałem do Charkowa, wielkiego centrum przemysłu. Jeszcze przed wojną zbudowano tu potężną fabrykę turbin na amerykańskiej licencji General Electric, ale kiedy tam przyjechałem, produkowano już własne maszyny, w tym także dla elektrowni atomowych.

Odwiedzałem najczęściej Instytut Budowy Maszyn Rosyjskiej Akademii Nauk, który zorganizował znany nie tylko w Rosji akademik Szubenko-Szubin, bliski przyjaciel Chruszczowa, członek Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej. Co ciekawe, od początku w czasie licznych konsultacji nawiązałem z nim dość dobry kontakt.

Do dziś pamiętam jego tubalny głos, kiedy podczas konferencyjnej dysputy przy obecności wielu pracowników wytłumaczył mi różnicę między chachłami i kacapami:

– *My Ukraińcy kak chachły, bo na gołowie u nas ogon, Moskale kak capy, bo u nich barody.*

Moim kolegom opowiadam też często o ostatnim spotkaniu z nim, kiedy był już bardzo stary. Poprosił mnie wtedy o komentarz do wprowadzonego w Polsce stanu wojennego. Na jego pytanie:

– *Skolko tysiaczej ludiej w tiurmie?*

Odpowiedziałem:

– *Wsiewo sorok, no nie tysiaczej.*

Skwitował to krótko:

– *Ni czorta nie ponimaju, spasiba.*

I na tym zakończył.

W Charkowie poznałem wielu znakomitych uczonych turbinowej specjalności, z którymi potem konsultowałem nasze badania.

Po zmianie systemu, role się odwróciły. Tym razem to oni częściej przyjeżdżali do nas i nie tylko na konsultacje, ale też do pracy. Dobrze wykształceni rozwiązywali z nami trudne zadania naukowe. Zatrudniłem nawet u siebie w spółce wnuka Szubenko-Szubina, młodziutkiego Saszkę. Ale najważniejszy w tej współpracy był dla mnie niezwykle uzdolniony tandem: aerodynamika profesora Sergieja Jerszowa i programisty doktora Andreja Rusanowa. Dość szybko stali się oni moimi najbliższymi przyjaciółmi.

Czas się zmieniały, wkrótce rozpadł się Związek Radziecki i Ukraina uzyskała niezależność. Moi przyjaciele przyjęli to z entuzjazmem, chociaż ich kraj popadł natychmiast w kryzys spowodowany olbrzymią korupcją i złodziejstwem. Tam na wschodzie, w Małej Rosji, wiedzieli, jak trudne jest określenie własnej tożsamości, dlatego dość szybko zaczęli się interesować naszymi przemianami.

O zachodzących zmianach w ich osobowości świadczyła reakcja profesora Jerszowa na dowcip, który usłyszał ode mnie o szpiegach dwóch światów.

– Jestem Bond, James Bond – przedstawia się pierwszy.

– Gej, Sir Gej – ripostuje drugi.

Jerszow, który nigdy nie krył rosyjskiego pochodzenia, odpowiedział mi:

– Andrzej, ja jestem Sergij, Ser-giej to imię rosyjskie!

Ucieszyła mnie ta reakcja i gdy moich kolegów odwiedziłem kolejny raz na Krymie, po wygłoszonym referacie powiedziałem do zebranego audytorium:

– *Tridcat lat temu nazad, ja prijechał k wam pierwyj raz i poslie interesnoj konsultacji, ja prowozğłasił tost „Haj żywe samostijnja Ukraina”. Togda nastala tiszina i wie ubiežali. Siejczas nie budu eto razwiwat, tolko skažu, czto u mienia babuszka ot storony otca Pawliuk. I tepier chocz u znowa prowozğłasił: Za samostijnju Ukrainu! Dumaju, czto siewodnia nie ubiežajetie.*

Nastala cisza, ale potem były *burnyje ałłodismenty*. Moi przyjaciele sprezentowali mi wspaniałą buławę atamańską, a czarny jak smoła Andrej powiedział:

– *Ty budiesz komandiorom naszej kazackiej sotni.*

Zaoponowałem, przecież jestem Polakiem, na co spokojny Sergij zri-postował ze śmiechem:

– Andrzej, Chmielnicki był nie nasz, a wasz; Jaremi to *rusinskij kniaź, nie polskij, on nasz i czto oni naczali wojować, zaczem o diewoczku. Kakijsie mogli być tieper nasze strany, jesli oni by sojedinilis! My siejczas nie budiem wojować mieźdu soboj, westi nas Ataman!*

Byliśmy po dobrej wódce, ale wtedy zrozumiałem, że Ukraina może w przyszłości stać się naprawdę wolnym krajem. To było jeszcze przed rosyjską aneksją Krymu. Ukraińcy później do Charkowa nie wpuścili już „zielonych ludzików” i patrzą w przyszłość z umiarkowanym optymizmem.

Ostatni ze Lwowa

Pracowałem na wielu frontach turbinowych jak szalony – w Instytucie, w elbląskim ABB, w wielkich elektrowniach. Gdy jednak Polska buchnęła wolnością, przez chwilę w gdańskim Komitecie Obywatelskim Solidarności zastanawiałem się, czy nie robić kariery politycznej. Szybko doszło do mej świadomości, jak trudna i odpowiedzialna to działalność, by przekonać ludzi do podjęcia wysiłku i przeprowadzenia koniecznych zmian. Wycofałem się i powróciłem do swych zawodowych obowiązków. W nawale zajęć związanych ze współpracą z przemysłem pogodziłem się też, że nie zrobię już kariery naukowej.

Wtedy na mojej orbicie pojawił się ciekawy człowiek – Janusz Badur. Rozmowy zaczęliśmy prowadzić w stanie wojennym w trakcie pieszych spacerów do pracy, kiedy benzyna była jeszcze na kartki. Mnie zafascynowała jego dogłębna wiedza teoretyczna w dziedzinie mechaniki. On zazdrościł mi wdrożeniowych sukcesów, chciał zrobić coś praktycznego, stale pamiętał szkołę budowlaną, w której murował domy. Zaimponowało mi wówczas, że od początku nazywał mnie swoim mistrzem.

Nasze twórcze dyskusje doprowadziły do tego, że ten wybitny uczony wkroczył w świat turbin, szybko zbudował konkurencyjny do mego, równie silny zespół, a ja powróciłem do rozpoczętej kiedyś habilitacji, o której przestałem już nawet myśleć. Miało to dla mnie duże znaczenie, gdyż po odejściu na emeryturę profesora Krzyżanowskiego, naukowy dyrektor, profesor Jan Kiciński stale mi przypominał, że stanowisko kierownika zakładu w PAN-ie mogą zajmować tylko samodzielni pracownicy ...

Zabrałem się znowu do pisania pracy i po ukończeniu jej za namową profesora Gerlacha habilitowałem się na Politechnice Gdańskiej. Po obronie



U prezydenta Lecha Kaczyńskiego na nominacji
profesorskiej

moja kariera naukowa gwałtownie przyspieszyła. Co prawda nie żył już Szewalski, odszedł Puzyr, ale miałem wtedy już wielu innych protektorów i to z najwyższej półki. Profesorowie: Gundlach, Chmielniak, Kosman, Domachowski, Szala i Krysiński dobrze mnie znali i mocno popierali. Niemniej najważniejszym z nich był dla mnie kolega z lat szkolnych, członek PAN-u i dyrektor Instytutu, Jarosław Mikielwicz. To właśnie on najskuteczniej promował moje osiągnięcia i to dzięki niemu „poszedłem także w profesury”. Pamiętam, jak na jednej z Rad Naukowych mówił ze swadą do zebranych:

– Instytut jest jak moja czupryna, największy rozwój notuję na bocznych kierunkach, a na zasadniczym jest... łysina. Profesorski awans specjalisty od turbin Gardzilewiczca tę sytuację korzystnie zmienia.

Nie ukrywam, że ten awans kosztował mnie wiele wysiłku. Profesor Krzyżanowski na zorganizowanym przeze mnie promocyjnym obiedzie, gratulując mi, rzucił:

– Pana tytuł jest dla mnie największą niespodzianką.

Ku uciesze zebranych odpowiedziałem, śmiejąc się, że dla mnie to też największe życiowe zaskoczenie.

Tym samym w lwowskiej szkole turbinowej, założonej przez profesora Szewalskiego jeszcze przed drugą wojną światową, po Peryczu, Gerlachu i Krzyżanowskim, zostałem ostatnim profesorem tej specjalności z tego miasta. Urodziłem się przecież we Lwowie, trzy dni przed wkroczeniem tam żołdatów Armii Czerwonej...

Nominację profesorską otrzymałem w Pałacu Prezydenckim z rąk Prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Kaczyńskiego w 2006 roku. Świadcami tego ważnego dla mnie wydarzenia byli syn Paweł i siostra Hania.

Odnawialne czy nieodnawialne

W ostatnim czasie jesteście informowani o zbliżającym się kryzysie energetycznym. Środki masowego przekazu ostrzegają o inwestycyjnej zapaści polskich elektrowni, wyczerpaniu się paliw kopalnych oraz o wzrastających zagrożeniach ekologicznych ziemskiego środowiska. Wielu uważa, że to największe problemy współczesnego świata. Najbardziej zażarte dyskusje dotyczą produkcji energii elektrycznej, która stanowi o poziomie życia mieszkańców. Taki stan rzeczy wywołuje w społeczeństwie niepokój, który wynika z niejasnych często przeciwstawnych opinii. W tych dyskusjach coraz częściej prym wiodą politycy i wietrzący finansowe korzyści biznesmeni, którzy swe racje opierają na opiniach uczonych nie zawsze kompetentnych, ale gotowych do usługowej pomocy.

Fidrygalki nie są miejscem na poważne dysputy. Tu jednak zrobię wyjątek, bo energetyka to moja pasja i zawodowa specjalność. Od lat śledzę jej rozwój, biorę udział w międzynarodowych konferencjach, prowadzę wykłady dla studentów. Dziwił mnie zatem autorytatywne sformułowania, że epoka węgla kamiennego dobiegła końca, że trzeba już zamykać stare, konwencjonalne siłownie parowe i że nastał czas elektrowni czerpiących energię ze źródeł odnawialnych. Sam bym chciał pobierać prąd z takiej elektrowni we własnym domu, ale na razie to przedsięwzięcia nieopłacalne i technicznie jeszcze nie do końca dopracowane. I chociaż na świecie coraz powszechniej sięga się po energię wody, wiatru i słońca, to nadal prąd elektryczny wytwarzany jest przede wszystkim z węgla, gazu, ropy i uranu.

Tak się dzieje też w Polsce, w kraju umiarkowanie nasłonecznionym, nizinnym, gdzie relatywnie nie ma dużej ilości wody, gdzie nie wieją też silne wiatry. Przy niepotwierdzonych do tej pory złożach gazu łupkowego, przy

braku elektrowni atomowych niestety skazani jesteśmy jeszcze na pokłady polskiego węgla. Największa elektrownia w Bełchatowie, która dostarcza krajowi z górą dwadzieścia procent energii elektrycznej, spala dziennie trzy tysiące wagonów węgla! Liczba wagonów jest tu wartością umowną, węgiel brunatny dostarczany jest bowiem do kotłów taśmociągami, bezpośrednio z pobliskiej kopalni. To poraża, ponieważ łatwo obliczyć, że dla zastąpienia produkcji prądu tylko tej bełchatowskiej elektrowni energią odnawialnych biopaliw trzeba by spalić wierzbę zasadzoną na dwóch milionach hektarów ziemi lub pozyskać gaz z odchodów trzystu milionów świń. Taką energię mogłyby zapewnić turbiny wodne o mocy dwunastu tysięcy megawatów lub włączenie do sieci siedmiu tysięcy wiatraków, każdy o mocy dwa i pół megawata. Można by wreszcie ją pozyskać z czterdziestu milionów jednokilowatowych ogniw fotowoltaicznych.

Czy teraz jest to możliwe? Niestety nie. Problemu nie rozwiążą bowiem biopaliwa, których spalanie w najbliższej przyszłości ograniczyć trzeba do energetycznej utylizacji pozostałości produkcji rolniczej.

Niemożliwe jest pozyskanie energii elektrycznej z płynących u nas rzek, których aktualna produkcja ledwie przekracza procent. Póki co, bez pomysłu na tanie magazynowanie energii elektrycznej, problemu nie załatwią też wiatraki i ogniwa fotowoltaiczne. Te źródła mają swe ograniczenia, wynikające z nierównomiernego zasilania sieci energetycznej. Wiatry nie zawsze wieją, słońce nie zawsze świeci, a istniejące elektrownie nie są gotowe do szybkich włączeń i startów.

Warto tu zaznaczyć, że w bilansie nie można uwzględnić energii elektrycznej pozyskanej ze źródeł geotermalnych, gdyż w Polsce nie ma pod ziemią wysokotemperaturowej pary wodnej. Moi bydgoscy studenci na zajęciach z termodynamiki bez trudu obliczyli, że z energii gorącej wody uzyskanej w Toruniu z kosztownego odwiertu można wykorzystać zaledwie dziesiątą część i zrealizować elektrownię o mocy zaledwie dwóch megawatów. To mało, ale święte prawo Carnota dotyczące zamiany ciepła w pracę obowiązuje też w Kościele. Ksiądz Rydyk musi zadowolić się energią ciepłą w kaloryferach szkoły maryjnej, a może i w zbudowanych w Toruniu basenach balneologicznych.

Wymienione powyżej fakty stanowią o polskim sprzeciwie w Unii Europejskiej, który dotyczy drastycznego ograniczenia emisji dwutlenku węgla. Nie negując zjawiska ocieplenia klimatu na ziemi, pozwalam sobie jednak zwrócić uwagę, że odkryta przez Wikingów Grenlandia była już w średniowieczu

krajem zielonym, a nie złodowaciałym, a Tamiza zamarzała jeszcze na początku XIX wieku. Nie wiadomo zatem, czy to człowiek jest głównym powodem nieszczęść. Może wzrost temperatury nie będzie aż tak groźny?

Polacy mają usprawiedliwienie swego sprzeciwu nie tylko w trudnościach wynikających ze struktury wytwarzania prądu, ale i z faktu, że w przeliczeniu na mieszkańca zużywamy energii elektrycznej kilka razy mniej niż kraje najbardziej rozwinięte, takie jak USA, Niemcy czy Anglia. Właśnie to te państwa, zdecydowanie bardziej niż „zacofana” Polska, zatruwają ziemskie środowisko gazami cieplarnianymi, i to nie tylko ze spalania ropy i gazu, ale także węgla. Takie konwencjonalne siłownie nadal pracują poza Polską na całym świecie. Oczywiście energię z tych kopalnych paliw już teraz można zastąpić mniej trującą i ekonomicznie opłacalną energią atomową, wytwarzaną w reaktorach nuklearnych. Wiadomo jednak, że te elektrownie dalej budzą na świecie społeczny sprzeciw, a do tego charakteryzują się najwyższymi kosztami inwestycyjnymi, które trzeba ponieść na starcie. Ich czas zapewne nastąpi, gdyż szykują się do instalacji nowe bezpieczniejsze i sprawniejsze reaktory.

Mimo tych wszystkich przeciwności i uwarunkowań patrzę z optymizmem na najbliższą przyszłość polskiej energetyki. Wierzę, że przy zrównoważonej polityce dostępu do źródeł odnawialnych i nieodnawialnych za mego życia prądu na pewno nie zabraknie i to zarówno dla odbiorców indywidualnych, jak też na potrzeby krajowego przemysłu. Dyrektywy klimatyczne UE na obecnym etapie nie powinny jednostronnie preferować źródeł odnawialnych, a jeśli już nie wspierać, to nie mogą jeszcze całkowicie ograniczać energetyki konwencjonalnej. Węgla w Polsce póki co wystarczy, chociaż wkrótce trzeba się będzie pozbyć nierentownych kopalni. Po przeprowadzonych modernizacjach nasze największe elektrownie węglowe spełniają coraz ostrzejsze normy dotyczące zanieczyszczenia środowiska naturalnego, nowo budowane zaś odpowiadają już w pełni najwyższym światowym standardom. Nie można tych siłowni bezmyślnie zamykać, nie mając racjonalnej alternatywy ich zastępstwa. Babcia Karolina zawsze powtarzała:

– Nie wylewaj brudnej wody, póki nie masz w miednicy czystej.

W oczekiwaniu na nowe technologie, na te naprawdę czyste i opłacalne ekonomicznie, trzeba przede wszystkim energię oszczędzać i racjonalnie sterować jej dystrybucją. To najtańszy i najprostszy sposób na rozwiązanie problemów polskiej energetyki w obecnych czasach. Zatem: póki co, chodźmy piechotą, przykręcajmy grzejniki, gaśmy światło!

Sąsiedzi

Budujemy dom

Mijały kolejne lata od zakończenia wojny, kraje zachodnie przeżywały *boom*, a u nas zafundowany przez bolszewików ustrój stale kulał. Czasy się zmieniały, granice nie były już tak szczelne, wzrastała wymiana handlowa, kulturalna, sportowa. W grudniu 1970 roku zaczęli strajkować robotnicy ze Stoczni Gdańskiej, co dla władzy mieniającej się ludową było zawsze groźne. Nastąpiło kolejne przesilenie. Nowy sekretarz partii Edward Gierek rzucił w stoczni słynne hasło: „Pomożecie?” i starając się wyjść naprzeciw konsumpcyjnym oczekiwaniom społeczeństwa, zaciągnął na Zachodzie kredyty, szerzej uchylił granice. Nadal nie zmieniano reguł ekonomicznych, ale jako jedyni w radzieckim bloku dostaliśmy wtedy zezwolenie na budowę prywatnych domów. Ten fakt z radością przyjęło wielu Polaków.

Na taką zgodę czekałem od lat. Jak w starym porzekadle powtarzałem wszem i wobec, że muszę zbudować dom, mieć syna i posadzić drzewo. Po ślubie z Hanią zamieszkaliśmy w jednym kwaterunkowym pokoju na ulicy Heweliusza. Tuż po urodzeniu zmarła nam wówczas córeczka, ale potem urodził się długo oczekiwany Pawełek i zrobiło się ciasno. Udało się nam pozyskać spółdzielcze mieszkanie M-4, to znaczy trzy małe klitki, z ciemną kuchnią w wieżowcu na Pomorskiej. Wydawało się, że własny dom pozostanie tylko cichym marzeniem. Drzewo posadzić mogłem chyba tylko w publicznym parku.

Decyzja Gierka natychmiast pozyskała zwolenników w Instytucie, w którym pracowałem. Powstała inicjatywna grupa budowy domków, składająca się w większości z młodych inżynierów. O dziwo, nie dołączyła do niej instytutowa elita. Większość profesorów i docentów pamiętała zarekwirowane przez bolszewików rodzinne dobra na Kresach Wschodnich. Nasze wysiłki połączyliśmy z pracownikami Politechniki. Otrzymaliśmy niemal za darmo sześć działek przy zacisznej ulicy Krętej we Wrzeszczu, na które uzbierało się zaledwie dziesięciu chętnych. Nikt nie został skreślony. Postanowiliśmy zbudować segmentowy dom szeregowy na wzór rozwiązań skandynawskich. Z optymizmem, bo pieniądze nie były naszą mocną

Stalinięc
wyrównuje teren
przed domem
na Krętej



Jacek Wyrwiński
podczas budowy
baraku



siłą, przystąpili ze mną do pracy: Jacek Wyrwiński, Romek Jasiński, Stefan Krzeczkowski, Wojtek Grochal, Tadek Król, Bogdan Sedler, Zbyszek Rozkwitalski, Gierek Małaczyński i nieco starszy Stefan Presch. Kiedy później Zbyszek i Gierek z różnych względów się wycofali, dołączyli do nas Piotr Goralski i najmłodszy, Bolek Obelnicki.

Budowę zainicjowaliśmy w 1972 roku założeniem nieformalnego prywatnego stowarzyszenia i tak zaczęła się nasza przygoda. Pierwsza awantura wybuchła już na inauguracyjnym spotkaniu. Korzystając z doświadczenia

znajomych obeznanych w budownictwie, zażądałem bowiem płatnych rozliczeń pracy, która była wykonywana przez każdego z nas na użytek grupy. Na uwagę Tadzia, że to nieuczciwe, bo dla przykładu on pracuje społecznie za darmo w Związku Nauczycielskim, rzuciłem ostro:

– Tadziu, bez wynagrodzenia możesz w godzinach pracy organizować związkowe bale, ale naszymi rękoma nie będziemy ci budować domu.

Dostałem poparcie. Ten ruch w kierunku kapitalizmu stał się naszą najważniejszą maksymą, zmuszał wszystkich do wysiłku, a realizowane na cotygodniowych zebraniach bieżące płatności eliminowały niesnaski. Nawet nie losowaliśmy numerów działek, gdyż tę zwykle konfliktową decyzję udało się nam ustalić w spokojnym dialogu. Tymczasem nasi politechniczni towarzysze budowali indywidualnie, co powiększało koszty i wydłużało czas realizacji. Nie uniknęli też kłótni. Były wypadki, że porozumiewali się między sobą korespondencyjnie.

Rozdzieliliśmy ziemię, obowiązki i funkcje. Wszystko zostało podporządkowane jak najszybszej budowie. Pan Stefan, który jeszcze sprzed wojny pamiętał, na czym polega gospodarka rynkowa, przejął finanse, sprawdzał umowy i rachunki. Długowłose Wyrwa, obracający się w kołach artystów, odpowiedzialny był za architekturę i prowadził ostre negocjacje z projektantami. To jednak nie były najważniejsze zadania. W kraju pełnym niedoborów, gdzie nie można było kupić nawet papieru toaletowego, problem stanowiło dostarczenie na czas materiałów budowlanych. Dostawę cegły, która pochodziła z rozbiórek starych domów, zorganizował Bogdan. Ja podjąłem się zakupu stali, którą też kupowaliśmy na rynku wtórnym, w czym pomagał mi Stefan. Wojtek przejął dostawę urządzeń instalacji z kontrolą projektów. Transport stał się domeną Piotra, który na czas budowy został kierowcą kupionej przez nas ciężarówki. Tadek odpowiadał za sprawy socjalne zatrudnionych u nas robotników, załatwiał im lokum, dostarczał obiady. Zupy były obowiązkowo z wkładką mięsną. Bolek, który jako beniaminek powinien być chłopcem na posyłki, wyspecjalizował się w realizacji zadań specjalnych. Wchodził do akcji, gdy czegoś u nas zabrakło, nie dostarczono na czas i budowa stawała. Te braki zawsze załatwiał bezbłędnie. Prezesem został zrównoważony Romek, dobrze obeznany z socjalistyczną biurokracją. Razem z żoną prowadził wtedy na Kaszubach prywatną restaurację. Z tej racji był najmniej zaangażowany, ale jak trzeba było, to skutecznie załatwiał nasze sprawy w urzędach, reprezentował nas w sądach. Prosił w żartach, żebyśmy przysyłały mu paczki do kryminału,

jeśli, nie daj, Boże, zostałyby aresztowany. Byłem zastępcą Romka, a przy jego dość biernej postawie, stałem się głównym poganiaczem, do czego wykorzystywałem swój temperament, a także wszechstronne znajomości.

Moich kolegów nie trzeba było jednak poganiać, wszyscy ciężko pracowali i co najważniejsze – dobrze ze sobą współdziałaliśmy.

Społo czasu, przy aprobacie głównego autora koncepcji inżyniera Jurka Kaczorowskiego, poświęciliśmy projektowi naszego szeregowca. Dzięki temu budynek zyskał styl i został pięknie wkomponowany w skarpe. W pierwotnej

Jeden z braci
Grabowskich



Szeregowy dom
na Krętej
od strony ulicy



wersji każdy segment miał mieć stromy dach, pokryty czerwoną dachówką. Niestety ten plan zawieszono, bo zgodnie z oficjalnym rozporządzeniem ówczesnego rządu, takie rozwiązanie mogło być stosowane jedynie na obszarach podgórskich.

Kolejne trudności dotyczyły przygotowania placu budowy. Grunt w niektórych miejscach trzeba było podnieść o ponad trzy metry. Z dostawą ziemi nie było kłopotu, bo obok miasto wykonywało wykop pod ciepłociąg, ale ziemię należało jeszcze przewieźć, rozprowadzić i utwardzić. Mieliśmy sporo szczęścia. Na państwowej budowie w pobliżu Krętej pracowały na okrągło ciężarówky i dowieziono właśnie stalińca. Dzięki naszej operatywności ten potężny ruski spychacz natychmiast znalazł się na naszym placu budowy. Dogadaliśmy z pomocnikiem operatora wykonanie koniecznych prac w przerwie świątecznej. To był mało doświadczony kierowca i przy kolejnym nawracaniu spadł razem ze stalińcem ze skarpy do sąsiadującego z nami ogródka i uciekł. Ale mieliśmy ball!

Na początek antydatowane zamówienie na maszynę poszło oficjalną drogą do firmy, co uratowało od zwolnienia błagającego nas o pomoc młodego operatora. Wiszącego na skarpie spychacza żadną miarą nie mogliśmy jednak sami ruszyć. Przyjeżdżały coraz mocniejsze ciężarówky, pękały stalowe liny, bez skutku. Wreszcie zwróciliśmy się do dowódcy jednostki wojskowej na Słowackiego, wiedząc, że Wojsko Polskie, nawet to ludowe, w potrzebie nigdy nie odmawiało pomocy! Major Bąbel nas nie zawiódł, zarządził alarm bojowy i na Krętą na lorze dowieziono potężny czołg. Po krótkiej chwili, przy naszym entuzjazmie, staliniec został wyciągnięty, co obok starganych nerwów, kosztowało dwie skrzynki wyborowej.

Murarzy ściągnęliśmy z Nowego Dworu, gdzie w budowlance pracował mój kolega z boiska Sylwek. Majster Stefan Grabowski był tańszy od gdańskich fachowców i zawitał na naszą budowę ze swymi braćmi. To byli prawdziwi tytani pracy, harowali sześć dni w tygodniu. Rzadko zagłądali do kieliszka, ale jak pili, to także bez wytchnienia. Na szczęście przymusowych przerw było niewiele.

Bracia Grabowsky, mimo stosowania dość prymitywnych metod pracy, skończyli szeregowiec w stanie surowym w terminie, w ciągu zaledwie roku. Do dziś pamiętam podziw mego kolegi architekta Kjella Gate'a ze Sztokholmu, gdy naocznie się przekonał, że Jan Grabowski, operując jedynie ręczną kielnią, tynkuje szybciej od maszyny. Ze świecą można teraz szukać u nas narożników, w których zachowane są kąty proste.



Dom po latach na tle ogrodu – dumy Hani

przerzucaliśmy setki kilogramów sypanego z natury cementu z miejsca na miejsce, żeby przy leżakowaniu się nie skwałował.

To był nasz pierwszy wspólny wysiłek. Gdy jednak na budowę zaczęły przychodzić transporty cegły i stali, nie mogliśmy się już wyrobić. Trzeba było zatrudnić pracowników fizycznych, co wbrew pozorom nie było łatwe. Znowu skorzystaliśmy ze wskazówki Wuja. Dowiedzieliśmy się, że na rynku najtańsi byli pracownicy pozyskani... z kryminału, którym kary, nawet za drobne przewinienia, zamieniano zwykle na areszt. Płaciliśmy więc za nich kaucję i wieźliśmy do nas na budowę, zapewniając w tymczasowych pomieszczeniach lokum, które ich zdaniem było lepsze od więziennego. Nasze żony były przerażone, ale to był jeden z najlepszych pomysłów: traktując tych ludzi nie jak wykolejeńców, pozyskaliśmy bardzo dobrych

To jednak nie Grabowscy ani też nie architekci zdecydowali o tempie prac na naszej budowie, najważniejsze było oczywiście zaopatrzenie. Materiałów budowlanych na wolnym rynku stale brakowało, a do tego w socjalistycznej gospodarce mocno preferowano budownictwo państwowe, a wszystko, co prywatne było podejrzanе.

Naszym głównym i nieocenionym konsultantem w tej materii został inżynier Kulesza, zwany Wujem, który od lat prowadził takie przedsięwzięcia. W zamian zażądał korepetycji z fizyki i matematyki dla swoich bliźniaczek, które wtedy miały zdawać egzaminy wstępne na Politechnikę Gdańską.

Za namową Wuja cement kupowaliśmy w okolicznych wiejskich gmachach i to zimą, kiedy sezon budowlany tam zamierał. Naszym magazynem był przeniesiony z alei Zwycięstwa drewniany barak. Pod jego dachem

robotników. Co prawda wielu z nich piło, ale i tu mieliśmy osiągnięcia – dzięki nam zaczęli pić z umiarem, wielu się zesocjalizowało. Odwzajemniali się nam za to z nawiązką i w czasach rozpowszechnionego złodziejstwa nie musieliśmy pilnować naszego dobytku. Jak mawiał najwierniejszy z nich, Dziadek, na naszą budowę towar mógł jechać tylko w jedną stronę.

Wkopanie w ziemię pierwszej łopaty nastąpiło jesienią 1972 roku, wiechę na dachu zawiesiliśmy w grudniu następnego roku, a latem 1974 wprowadziliśmy się kolejno do jeszcze niewykończonych segmentów. Jako pierwsi w lipcu: Jacek i Wojtek, wkrótce zaś potem inni. Do przeprowadzki wykorzystywaliśmy oczywiście naszą ciężarówkę. Rozwoziła ona także pozyskane deski, parkiet, drzwi i kamienie na płyty. Wspólna budowa trwała jeszcze przez pewien czas. Razem załatwialiśmy podłączenie do sieci wodociągowej, gazowej, elektrycznej. Ciepło z elektrociepłowni popłynęło do nas dopiero na Boże Narodzenie '74 i to w dramatycznych okolicznościach, ponieważ musieliśmy sami organizować budowę komory doprowadzającej do nas miejskie rurociągi. Zziębnięci, z zapartym tchem słuchaliśmy bulgocącej wody, która napełniała puste kaloryfery. Flaszkę wódki w ogrzonym już domu stawiła Hania, ja pojechałem wtedy na konferencję naukową.

Ostatnim wspólnym przedsięwzięciem była budowa wewnętrznej drogi dojazdowej. Działo się to przed majowym świętem pracy, kiedy wszystkie organizacje partyjne organizowały czyny społeczne. Ktoś poinformował nas, że rozbierają starą drogę z betonowych płyt w rafinerii i za chwilę na Krętej pojawił się dźwig, a za nim już jechały ciężarówki. Z tych płyt zbudowaliśmy potrzebną mieszkańcom drogę, którą w swoich papierach zapisali w czynie majowym partyjni działacze zatrudnieni wówczas w rafinerii.

Na zakończeniu akcji złożyłem swój nieczytelny podpis na stosownym protokole. Znowu straciliśmy skrzynkę wyborowej na fachowców, ale droga służy nam do dzisiaj.

Król cegły

Wszyscy, którzy w Instytucie znali Bogdana Sedlera, wiedzieli, że był inżynierem nietuzinkowym, zawsze pełnym inwencji. W poprzednich miejscach pracy organizował grupy racjonalizatorskie, w miejskiej pralni próbował poprawiać konstrukcje maszyn suszących, w komunalnym transporcie zastosował swój unikalny kasownik biletów. Także w grupie Szewalskiego zaczął

od dość trudnych obliczeń dla przygotowywanych zgłoszeń patentowych dotyczących siłowni parowych na parametry nadkrytyczne. Nie zdziwiłem się zatem, że przystąpił do inicjatywnego zespołu budowy domków. Ożenił się wtedy z Anią – piękną córką pana Nogi, znanego wówczas w Gdańsku posła ZSL-u. Jak każdy z nas chciał szybko zamieszkać na swoim i wyprowadzić się z mieszkania rodziców małżonki.

Gdy zaczęliśmy budowę, przyjął trudną rolę dostawcy cegły i już na jednym z pierwszych spotkań przedstawił szczegółowo plan działania. Zawiadomił nas, że na rynku budowlanym prywatne domy są stawiane tylko z cegły rozbiórkowej. Miał spis starych budynków murowanych na zaprawie wapiennej, które stały puste i się do tego nadawały. Wiedział od kolegów teścia z partii ludowej, gdzie i jak załatwić ich oficjalne pozyskanie, rozeznał, kto i za ile je rozbiera oraz jak dowozi się cegłę bezpośrednio na budowę.

Pierwszy dom do rozbiórki pozyskaliśmy na Oruni przy poparciu instytutowego związku zawodowego. Takie gmachy na ceglany rynku były rarytasem, do ich rozbierania rzucali się natychmiast „profesjonaliści”. Bogdan szybko znalazł wśród nich wykonawcę, który pracę zaczął jeszcze przed podpisaniem umowy. Jak zwykle zadziałał w partyzancki sposób i na niezabezpieczonej rozbiórce zginął robotnik, przywalony ścianą gruzu. Przeżyliśmy szok, część naszych żon chciała się wycofać z przedsięwzięcia już na starcie.

Z odruchu serca zorganizowaliśmy pomoc dla biednej wdowy. Kiedy jednak nieodpowiedzialny majster dostał wyrok w zawieszeniu, byliśmy przekonani, że nie tylko jego, ale i zestresowanego Sedlera trzeba będzie zastąpić. Ale Bogdan z ceglanych rozbiórek nie zrezygnował. Przyniósł nam nową umowę, w której był już jednym z udziałowców. Wiedział, że to dobry interes. Nie wnikając w szczegóły jego rozliczeń, braliśmy od Bogdana cegłę po sześćdziesiąt groszy, podczas gdy trudno dostępna dziurawka w cegielni kosztowała złoty pięćdziesiąt. To była dobra kalkulacja, bo kiedy bez niego przyszło rozbierać budynek milicji na Partyzantów, płaciliśmy dwukrotnie więcej.

Okazało się, że nie tylko trzeba było cegłę wydostać z gruzu, oczyścić, ale też osobiście pilnować dowozu każdej załadowanej ciężarówki na nasz plac budowy. Ten towar łatwo mógł się dostać w obce ręce. Pamiętam, gdy po pięciu dniach pracy na milicyjnej rozbiórce – i w dzień, i w nocy – zakończyliśmy swe dzieło, śpiewając z uciechy i popijając zdrowo z naszymi



Rozbiórka byłego budynku Milicji Obywatelskiej we Wrzeszcu. Obecnie to teren centrum Manhattan

robotnikami u wylotu Jaśkowej Doliny. Spotkaliśmy tam wtedy profesora Szewalskiego, który udawał się z małżonką na film do znajdującego się obok kina Bajka. Nie było szans na ucieczkę. Kolejny raz mogliśmy podziwiać klasę Staruszka, który, nie bacząc na pijackie krzyki, ze spokojem przeszedł na drugą stronę ulicy.

Następnego dnia spytał:

– Czy pan z tymi baciarami pił, czy ich uspokajał?

Bogdan wrósł w ceglany biznes na dobre, transakcje sprzedaży załatwiał dyskretnie. Na rozbiórkach można go było spotkać z nieodłączną siateczką, w której zawsze miał „prezenty” dla swych wiernych współpracowników. Wkrótce wyeliminował z tego specyficznego, prywaciarskiego rynku wszystkich konkurentów i został niekoronowanym królem cegły. Działał według zaproponowanej nam reguły taniej sprzedaży, ale oczywiście nie był altruistą. Korzystał z faktu, że oficjalny wskaźnik pozyskania cegły z rozbiórki wynosił pięćdziesiąt procent, podczas gdy jego wyspecjalizowane brygady zdecydowanie przekraczały nawet dziewięćdziesiąt. Na trudnych rozbiórkach nic się nie marnowało. Zatrudnionym nieraz brygadam saperskim sam dostarczał

stosownych obliczeń, które określały ilość ładunków wybuchowych. Miał do dyspozycji coraz więcej cegły, na osobiste zamówienia zaczął stawiać domy w stanie surowym, które oczywiście korzystnie sprzedawał, chociaż nie prowadził żadnej firmy budowlanej. Do Instytutu zachodził coraz rzadziej, wkrótce go zwolniono, co było dla niego pewnym kłopotem. Po latach profesor Krzyżanowski przyznał się, że największym błędem jego dyrektury był fakt, że odrzucił wtedy od Bogdana propozycję postawienia szóstego piętra na nowym gmachu Instytutu za zachowanie mu posady.

Po zwolnieniu Bogdan złożył papiery na Politechnikę Gdańską, ale zanim go tam przyjęto, kupił ziemię orną i został chłopem. Jako małorolny zakończył zaczęty u profesora Mikielewicza doktorat. Zaprosił wtedy na sute przyjęcie do swego domu na Krętej wielu znakomitych gości, wśród nich i sąsiadów. Spotkaliśmy się u niego pierwszy i jak się okazało – ostatni raz. Na krótko został wykładowcą na wydziale mechanicznym. Udany doktorat zaprezentował w Karlsruhe u słynnego termodynamika Schlündera. Pojechał tam z osobistym listem swego promotora, którego wtedy nie wypuszczono z kraju. Po seminarium zorganizował dla całej katedry bankiet z kawiozem i szampanem, a profesorowi Schlünderowi w podzięcie sprezentował obraz znanego gdańskiego malarza Mariana Mokwy. Co ciekawe, dowiedzieliśmy się o tym zdarzeniu nie od Bogdana, ale od byłego sekretarza partii, zwanego w Instytucie Suchostojem, który przebywał w Karlsruhe wkrótce po nim.

W Polsce nastał czas Solidarności. Bogdan, przeczuwając rychłe kłopoty w prowadzonych interesach, jeszcze przed stanem wojennym prysnął na Zachód, do Niemiec. Miał trochę gotówki i tam chciał powtórzyć swoje budowlane sukcesy. Szybko się jednak przekonał o różnicach obu systemów, ale stracił na tym sporo kasy. Ruszył z biznesem do Stanów Zjednoczonych, gdzie próbował sprzedawać Murzynom żółte porsche z czerwonymi obiciami foteli i czerwone mercedesy z żółtymi, ale i tam mu się nie powiodło. Swoboda gospodarcza, którą promował w socjalizmie, jakoś mu nie służyła, gdy natrafiał na prawdziwą konkurencję kapitalistyczną. Przeszkodą był dodatkowo jego status bezpaństwowca.

Mimo tych niepowodzeń w trakcie wojny „jaruzelskiej” przysyłał nam do Instytutu pełne łakoci paczki, zwykle na organizowane przez Szewalskiego spotkania świąteczne. Boguś zawsze miał gest. Po latach znalazł doskonałą posadę w Afryce Południowej, gdzie został wykładowcą Uniwersytetu Stellenbosch. Dzięki temu awansowi niektórym w kraju załatwiał dobre fuchy. Ale sam nie potrafił się jakoś tam zadomowić.

Gdy w 1989 roku Polska odzyskała niepodległość, wrócił natychmiast, ale nie do Instytutu. Zaczął działać w biznesie, próbował też sił w polityce. Był pierwszym na Pomorzu, który promował parki technologiczne, wpadł też na pomysł przekopania Mierzei Wiślanej. Ceglanych sukcesów sprzed lat już nigdy nie powtórzył. Notował coraz więcej porażek. Na emeryturze pozostał przy założonej przez siebie Fundacji Naukowo-Technicznej, w której teraz doradza innym, jak zyskać, a nie stracić na interesach. Spotykam go czasami w Instytucie, gdzie prowadzi swoje biuro. Jak zwykle jest uśmiechnięty z nieodłączną siateczką prezentów i głową pełną nowych pomysłów.

ZiS-piać

Przy budowie domu w PRL-u najtrudniej było załatwić w sposób oficjalny transport. Państwowe ciężarówki były nie do zdobycia, a prywatnych – jak na lekarstwo. W Gdańsku transport obsługiwali praktycznie tylko bracia Molikowie, ale ich cały tabor trzech samochodów wykorzystywany był do budowy kościołów. Ciężkie samochody może dało się wprawdzie „chwycić na fuchę”, ale to zawsze groziło sprawą karną. Postanowiliśmy kupić własny z drugiej ręki. Okazją stał się stary radziecki ZiS-piać składany jeszcze w fabryce lubelskiej. Ta ciężarówka, wzorowana na amerykańskiej licencji Dodge'a, była na chodzie. Sprzedał nam ją pan Grubba, chłop z Parchowa.



Za kierownicą
ZiS-piać

Ten cwany Kaszub zachował dla siebie jedenastą część własności auta, a do tego dołożył nam drewniane stemple potrzebne przy zalewaniu stropów, czym osłabił naszą czujność przy zakupie. Nasz zdezelowany ZiS-piac, zgodnie z ruskim porzekadłem, jechał tylko z góry, a pod górę trzeba go było pchać. Na szczęście odpowiedzialny za auto Piotr Goralski miał znajomego, jedynego w Gdańsku właściciela warsztatu remontującego stare ciężarówki. Reperacje okazały się w miarę tanie, gdyż syn właściciela marzył o zdobywaniu kolejnych stopni żeglarskich, a Piotruś był przecież kapitanem w klubie jachtowym i członkiem komisji egzaminacyjnych.

Szybko okazało się też, że ZiS był już po trzecim szlifie i jego silnik wymagał wymiany. I tak nie ominęła nas „współpraca” z samochodową jednostką wojskową w Nowym Porcie. Auto do warsztatu wjechało w niedzielę rano, a już wieczorem nasz ZiS, z wyremontowanym motorem z wojskowego demobilu znów ożył. Nawet nie dużo nas to kosztowało.

Jeden z pierwszych kursów zrobiliśmy do złomowca, gdzie udało się nam dostać szyny kolejowe Kruppa z 1888 roku, z rozbieranej na Żuławach trasy. Były potrzebne na stropy Kleina, zastępowały stalowe dwuteowniki, których oczywiście nie można było dostać w żadnym sklepie. Pojechałem tam z naszym doradcą inżynierem Kuleszą. Złomowiec mieścił się na Sienickiej, jego kierownikiem był starszy pan, członek Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, o czym na wstępie z dumą nas powiadomił.

Gdy zobaczył nasze zamówienie, oficjalnie popierane przez związki zawodowe, powiedział, że dla ludności jego firma świadczy usługi tylko w piątki i tak duży zakup musi być odpowiednio rozłożony w czasie. Był zadowolony, że budujemy tak potrzebne w Polsce domy, a jego firma wypełni dzięki temu zawiązką plan wyznaczony mu przez partię. Swą radość wyraził po otrzymaniu... gruzińskiego koniaku. Nie była to oczywiście łąpówka, ale składkowy, drobny podarunek, który wręczyliśmy na wstępie, by zapewnić sobie na przyszłość dobrą współpracę.

W spółce za dostarczenie szyn odpowiadałem razem z Krzeczem, moim najbliższym współpracownikiem w zakładzie i przyszłym sąsiadem. W złomowcu indywidualnych klientów obsługiwano w piątki, a takich jak my, poszukiwaczy stalowego barachła, przychodziło tam bez liku. Przy wielkogabarytowym zamówieniu dogadaliśmy się z obsługą i w tym tłumie od początku mieliśmy preferencje. Szyny przycinano nam na wymiar i w odpowiedniej ilości, a tego żelastwa na dziesięć domków było przecież wiele dziesiątków ton.



Szyny kolejowe
Kruppa na naszym
stropie

Pierwszy raz naszego ZiS-a załadowaliśmy po same brzegi, aż resory wygięły się w drugą stronę, ale dopiero po zważeniu złomu zaczęła się urzędnicza gehenna. Należało z papierami przejechać przez pół miasta na Piwną do kasy firmy, aby zapłacić rachunek, z kwitem wrócić na Siennicką i dopiero wtedy można było ruszyć z szynami na Krętą. W tym czasie mój osobowy wartburg dowiózł kolegów z Instytutu na naszą budowę do pomocy przy rozładunku. Przekonaliśmy się natychmiast, jak ważna jest podnoszona skrzynia, której nie miała nasza ciężarówka. W szczególności zrozumiał to Wojtek, gdy szyna spadła mu na duży palec u stopy. Kuśtykał później kilka tygodni. Ten wypadek sprawił, że naszego ZiS-a zastąpiły w złomowcu zawsze chętne do lewych przejazdów, państwowe stary i krazy.

Do ostatniego kursu wyjątkowo wynajęliśmy olbrzymiego stejera, obsługującego budowę w Porcie Północnym. Gdy ta wielka ciężarówka na Siennickiej miała wjechać na wagę, z kantorka wybiegła obsługująca ją kobieta i z krzykiem wstrzymała ważenie.

– Waga jest tylko do piętnastu ton – ryczało grube babsko.

Ze spokojem odpowiedziałem:

– My, uczeni, wiemy, że ważenie cięższego auta można zastąpić dwoma oddzielnymi: na przednich i tylnych kołach i wtedy wadze nic się nie stanie.

Nie mogła uwierzyć. Wystarczyły kaprony – ruskie pończochy, które były wtedy nie lada rarytasem, by zmieniła zdanie. Zawsze mieliśmy je pod ręką. Sprawdzenie wagi zrealizowaliśmy eksperymentalnie na pustym steyerze i tak uzyskaliśmy tarę. Załadowana ciężarówka wjechała na wagę na dwóch kołach, zważono przód i wtedy szofer zamiast się wycofać, by zważyć oddzielnie tył, jak durny pojechał do przodu. Gruchnęło potężnie, coś się załamało i wielkie auto znalazło się metr poniżej poziomu. Baba od wagi zaczęła krzyczeć, ale tym razem jej głos był pełen przerażenia, straszyla nas sądem i karą.

Pobiegliśmy do kierownika po wybawienie, któremu na zakończenie akcji zakupu szyn wcześniej przygotowaliśmy stosowne „podziękowanie”. Wówczas okazało się, co znaczy frontowiec na tak ważnym stanowisku. Najpierw uciszył babsko, potem ze spokojem przywołał największy dźwig do podniesienia steyera, a cały ruch skierował na zapasową wagę w Oruni. Udało się nam przekonać kierownika, żeby nasze niezważone szyny po prostu zmierzyć, a znając wagę bieżącego metra, ustalić precyzyjnie wagę.

Za dodatkową dopłatą skierował mierniczych – towar i szofer byli uratowani. Steyer wysypał ostatnie szyny na naszą glinianą działkę, ułożyliśmy je w sztaple. Podstawowy materiał na wszystkie stropy mieliśmy zapewniony.

W czasie akcji „złomowiec” doszło też do komicznego zdarzenia. Otóż Piotrek Goralski chciał rewindykować majątek zabranego rodzicom mieszkania tylko rachunkami za szyny. Zgodnie z ówczesnymi przepisami nie mógł pieniędzy dostać bezpośrednio do ręki bez kwitów, a urzędniczyna bankowy nie mógł uwierzyć, że dom ze stali będzie lepszy od ceglanego, co mu w końcu skutecznie wytłumaczyliśmy.

ZiS-piac spełnił swoje zadanie. Przejechaliśmy nim około dwudziestu tysięcy kilometrów, z czego prawie piątą część na holu. Żaden z holujących nie wziął od nas nawet złotówki. To była swoista sztama kierowców, czasem dostawaliśmy jeszcze od nich okazyjnie „wachę” po trzy złote, bo taka była wówczas cena benzyny kupowanej w nieoficjalnym obiegu. Ciężarówkę sprzedaliśmy budującym domy kolegom z politechniki. Nasz ZiS zepsuł się zaraz po tej transakcji, ale reklamacji nie było. Oni też potrzebowali kwity na transport, a my, podobnie jak kiedyś pan Grubba, wrzuciliśmy im za friko kręgi niepotrzebnego już nam stalowego drutu.

Pan Presch

– Preszpan już na ciebie czeka w wieżowcu. – Usłyszałem od mego kolegi Bogusia Weigle, gdy wchodził do sali 201 w gmachu Budowy Okrętów p.g. Pobiegłem natychmiast do piętrowego baraku administracji, przekonany, że kupiono mi uszczelkę preszpanową do dyszy De Laval’a – mojego stoiska dla badania kondensacji pary wodnej.

Tam czekał nie preszpan, a nowo przyjęty księgowy, mający zrealizować moje zlecenie. Tak wyglądało pierwsze spotkanie ze Stefanem Preschem, który wkrótce stał się mi bliskim przyjacielem.

Pan Stefan zatrudnił się w Instytucie po przejściach wojennych i późniejszych perypetiach z władzą ludową. Wydawało mu się, że tu wreszcie skończy zaocznie wymarzone studia ekonomiczne. Niestety nie doszło do tego. Profesor Szewalski, gdy zorientował się, kogo pozyskał za partyjnego aparatczyka, zdecydował inaczej. Powiedział mu wtedy krótko:

– Nic te studia panu nie dadzą, a ja muszę uporządkować finansowe sprawy Instytutu. Zostanie pan nowym szefem administracji i mi w tym pomoże.

Tak się też stało, angaż Staruszek załatwił bezpośrednio w Warszawie, bo dla miejscowego komitetu partyjnego Presch był ciągle „trefny”.

Stefan zabrał się do pracy, zdobył u podwładnych uznanie, ale praktycznie z nikim nie utrzymywał bliskich kontaktów. Był już bliski emerytury, zaskoczył nas zatem, że przystąpił do naszej budowlanej paczki. Jak się okazało, pozyskał drobny spadek, a budowa domu była jego drugim niespełnionym przez wojnę marzeniem. Dla nas był to niebiański podarunek. Stefan – człowiek nieskalanej uczciwości i specjalista finansowy – przejął bowiem pieniężne rozliczenia, najbardziej konfliktogenne zadanie w grupie. Jeszcze większą zaletą Stefana była sama jego obecność. Swym autorytetem łagodził w zarodku wybuchające między nami kłótnie. W tym pełnym napięć, nerwowym czasie Stefan dbał, byśmy się nie pobili, nie kłęli jak szewcy i – na ile to możliwe – przestrzegali prawa, nie narażając się na sprawy sądowe.

Jego przedwojenna mentalność nie dopuszczała, żeby jakieś przygodne wywrotki wysypywały na naszej budowie kipy nieopłaconego piasku i żwiru. Na polecenie Stefana zaczęliśmy też jeździć naszą ciężarówką bezpośrednio do żwirowni, by tam dokonać stosownych zakupów. Było to dość proste: na rampie zapisywano numer rejestracyjny auta, załadowywano materiał, a po zapłaceniu w sumie niewielkich pieniędzy dostawaliśmy rachunki

i mogliśmy wracać. Znacznie więcej trudu wymagało jednak zrzucenie piasku z nieruchomej platformy samochodu na plac budowy. Zmęczeni po wielu kursach, uprościliśmy zatem procedurę. Ciężarówka jeździła tylko po to, by opieczetować kwity i – ku zdumieniu obsługi – pusta, ale z rachunkami, wyjeżdżała poza bramę. Na budowie znów się pojawiły kipy, ale piasek i żwir zawsze były opłacone.

Budowa domu mocno nas absorbowała i mimo wielkiego wysiłku trudno nam było wywiązywać się bez zastrzeżeń z instytucyjnych obowiązków. Kiedy wytykano nam naruszanie dyscypliny pracy, to właśnie pan Presch bronił nas na kolegiach dyrekcyjnych. Mówił z przekonaniem, że nasz trud szybko się skończy. To przemawiało do wielu, gdyż równocześnie zaczynała się budowa nowego gmachu Instytutu, gdzie pan Stefan odgrywał też niepoślednią rolę, wykorzystując zdobyte z nami doświadczenie. Wszystkim zależało na rychłym zakończeniu obu inwestycji. Przy zawieszeniu wiechy na Krętej kibicowali nam przeto i najwięksi oponenti. Skończyliśmy budowę naszego szeregowca przed terminem, wkrótce też stanął nowy gmach Instytutu oraz remontowany równolegle hotel asystencki.

Stefan poszedł na zasłużoną emeryturę. Na Krętej dalej prowadził wspólne rozliczenia, których nie przerwał nawet po śmierci Uli, swojej żony. Stale zachowywał aktywność, często nas odwiedzał, a i my zachodziliśmy chętnie na pogaduszki do starszego pana.

Stefan Presch
(w berecie)
na Krętej
w podwójnej roli:
dyrektora
i budowniczego



Nieoczekiwanie dostaliśmy wiadomość, że Stefan chce nas opuścić, w co nie mogliśmy uwierzyć. Okazało się wówczas, że będąc w sanatorium w Krynicy, spotkał najbliższą przyjaciółkę Irenki Lizoń, swej przedwojennej sympatii, jeszcze z gorlickiego gimnazjum. Dowiedział się od niej, że Irenka żyje, owdowiała i mieszka w Warszawie. Sprawy potoczyły się błyskawicznie. Byli narzeczeni spotkali się w stolicy pod pomnikiem Chopina. Jak relacjonowała Irena:

– Miałam zamknięte oczy, czekałam w napięciu na wysokiego bruneta, który bez pożegnania kiedyś mnie opuścił, a podszedł do mnie siwy, przygarbiony.

Mieli sobie wiele do powiedzenia, bo rzeczywiście rozstali się, i to dwukrotnie. Najpierw wydawało się, że na chwilę. Było to w sierpniu 1939 roku, kiedy Stefan pojechał na wakacje do zamieszkałego w Brodach wujka. Wybuchła wojna, zamknięto szczelnie granicę i tam na Kresach po klęskę Polski, już jako obywatel Związku Radzieckiego poszedł do ruskiej szkoły. W maju 1941 roku zdał maturę, obok świadectwa dojrzałości dostał powołanie na początek lipca do Armii Czerwonej. Na swoje szczęście, wcześniej, bo 21 czerwca, Hitler uderzył na swego radzieckiego sojusznika i Stefan nie musiał iść na nowo otwarty front wojenny. U Niemców w Brodach, jako obywatel drugiej kategorii, pracował w przemyśle naftowym.

Gdy skończyła się wojna, wrócił do rodzinnych Gorlic i zaręczył z Irenką. Zatrudnił się w miejscowej rafinerii, ale po ubeckiej prowokacji Stefana wsadzono do kryminału. I to było drugie, znacznie dłuższe rozstanie z Ireną. Wydawało mu się, że siedzi za niewinny żart, gdy po awansie marszałka Rokossowskiego na polskiego ministra obrony powiedział przy świadkach:

– Jednego ruskiego namiestnika Konstantyna w Polsce już mieliśmy.

Postawiono mu jednak znacznie poważniejsze zarzuty: miał być rzekomo członkiem organizacji antykomunistycznej. Swoimi zeznaniami obciążył go dobry znajomy, ojciec czwórki dzieci, próbując w ten sposób uratować swoją skórę. Młodego Prescha przewożono z więzienia do więzienia, nie dostawał żadnej korespondencji. Ostrzeżony przez współtowarzyszy niedoli, nie tylko nie poszedł na proponowaną współpracę, ale dla dobra swoich bliskich zaniechał jakichkolwiek kontaktów zewnętrznych. Żywo pamiętał śmierć brata w Oświęcimiu i wojenne prześladowania najbliższych. Wypuszczono go po dwóch latach bez wyroku, ale z piętnem wroga ludu, zakazem przebywania w strefach przygranicznych i pracy w zakładach o strategicznym znaczeniu dla kraju. To był szlaban do Gorlic. Długo jeździł po Polsce, nim



Stefan z Irenką po ślubie

dostał stały meldunek Gdańsku. Zatrudnił się w Zakładach Futrzarskich i znów o mało go nie posadzili. Tym razem chciano go wplątać w fikcyjną aferę spekulacyjną, ale ostrzeżony przez partyjnego aktywistę, zdążył się zwolnić. Udało mu się też wybronić Ulę, koleżankę z pracy, gdańszczankę niemieckiego pochodzenia, która później została jego towarzyszką życia. Ubeckie przesłuchania skończyły się propozycją zmiany obco brzmiącego nazwiska, z której nie skorzystał.

Irenki życie było mniej burzliwe. Listy do Stefana pisała jeszcze wiele razy. Nigdy nie dostała żadnej odpowiedzi. Myślała, że zginął, bo nie dopuszczała myśli, że mógł ją porzucić. Wyjechała do Warszawy, tam po latach wyszła za mąż, szczęśliwie doczekała się dzieci i wnuków.

Odnaleźli się właśnie pod Chopinem. Stefan zauroczony chciał się

przenieść do Warszawy. Na szczęście, gdy Irenka zobaczyła jego wypieszczone gniazdo na Krętej i poznała nasze szemrane towarzystwo, zmieniła zdanie i sama postanowiła przenieść się do Gdańska. Wyczekiwaliśmy narzeczonej Stefana przed domem, zastanawialiśmy się, kogo też wybrał, gdy raptem z taksówki wysiadła mała, szczuplutka, świetnie zadbana niewiasta. Przy siwym Stefanku rzeczywiście wyglądała bardzo młodo. Przywitałem ją wtedy po rosyjsku:

– *Irenka, ty jak malenkaja sobaczka, sowsiem szczenok!*

To był najkrótszy, nieco złośliwy komplement, na jaki się wtedy zdobyłem. Nie obraziła się.

Do ślubu w kościele państwo młodzi przystępowali dwa razy, gdyż przy pierwszym podejściu starszą panią z hercklekotami, jak się okazało, z emocji, trzeba było odwieźć do szpitala. Za drugim razem wszystko odbyło się zgodnie z wyreżyserowanym programem.

Wesele było udane, w przytulnej restauracji w Parku Oliwskim zebrało się wielu gości. Po latach, które im zabrała wojna, wreszcie mogli być razem. Niedawno ukończyli dziewięćdziesiąt lat.

Sąsiedzka brać

Półtora roku od wylania łąw fundamentowych zamieszkaliśmy na Krętej. Na ówczesne czasy było to rekordowe tempo, ale nasze domy wymagały wyposażenia, a na rynku nie można było dostać parkietu, kafelków, armatury. Trzeba było też stawiać płoty, urządzać ogródki. Na wszystko zaś brakowało pieniędzy, a do tego doszły zaciągnięte w banku spore kredyty.

Wszyscy powrócili do normalnych zajęć, dla pozyskania funduszków wielu podjęło dodatkowe prace. To nie wystarczało. Umieszczone na dole ogrodowe pokoiki musiały pójść na wynajem. Mimo trudności czuliśmy się szczęśliwi, budowa nas nie skłóciła, zaczęliśmy tworzyć współpracującą ze sobą sąsiedzką enklawę. Mieliśmy do siebie zaufanie, budowaliśmy społeczeństwo obywatelskie zdolne do działania. Na Krętej powstały nowe chodniki, nawierzchnia asfaltowa, kącik do zabaw i gry w piłkę. To był ewenement w skali kraju, gdyż władza dbała o dezintegrację społeczeństwa. Mała uliczka zaroila się dziećmi budowniczych szeregowca na Krętej.

Sławek, Danek, Grzesiek, Paweł, Jacuś, Piotruś, Ania, Anusia przybyli tu po przeprowadzce, Asia, Marta, Michał, Ola, Jasiak i wreszcie na końcu Bolkowy Pawełek urodzili się już na miejscu. Do nich doszlusowały dzieciaki sublokatorów, a wkrótce potem pojawiła się cała czereda maluchów „politechnicznych” z naprzeciwka i z tych dalszych zakątków Krętej. Zappełniły się klasy w Piętnastce i Pięćdziesiątce Czwórce – najbliższych szkołach na Smoluchowskiego i Traugutta. Punktem kontaktowym dla wielu z nich stał się wtedy pokój „cioci Musi”, gdzie malcy na półce znajdowali klucze do swoich segmentów, gdzie mogli zostawić tornistry, wreszcie gdzie ku zadowoleniu mojej starej ciotki – zawsze mogli coś przekazać.

Niestety w kraju było coraz gorzej. System ekonomiczny okazał się niereformowalny, mijał entuzjazm gierkowskich przemian. Niektórzy uciekali na Zachód. Pierwszy z nas nie wytrzymał Stefan Krzeczkowski. Wyemigrował z rodziną do Australii, tuż po powrocie ze stypendium w USA, nie ukrywał, że dla lepszego życia. Do Niemiec prysnął Bogdan Sedler. Ich miejsce na Krętej zajęły rodziny Tylewskich, Leposińskich i trochę później Stolarskich,



Kręta świętuje swoje dwudziestolecie

które dość dobrze dopasowały się do naszej grupy. Do dziecięcej gromady dołączyli: Zosia, Basia, Norbert, Łucka i Mikołaj.

Wspólnie przeżyliśmy Solidarność – krótki okres polskiej odnowy, przetrzymaliśmy też czas stanu wojennego, aż w końcu doczekaliśmy się wolności. Co prawda do Reichu na wiele lat wyjechał Piotr Goralski, ale powrócił do kraju z niemiecką emeryturą. Do Stanów pojechała też Joanna Wyrwińska, ale po ostrej interwencji męża, który przywiózł do Polski syna Jasia, i ona powróciła. Także z emeryturą, ale... amerykańską.

Wyprowadzili się Romek Jasiński i Tadek Król, ale swoje mieszkania pozostawili dzieciom. Niestety na zawsze odeszli: Ula Presch, Staszek Stolarski i Wojtek Grochal.

Z czasem w naszych rodzinach pojawiła się długo oczekiwana czereda wnuków: Kasia i Jasiiek u Goralskich, Marcin, Ania i Basia u Królów, Tomek, Filip, Kazio i Bonia u Tylewskich, Konrad i Gabrysia u Grochalów, Zuzanna u Obelnickich i wreszcie Basia, Tadek i Kacperek u mnie. Tylko piątka z nich mieszka na Krętej. W sumie pozostało ledwie trzydzieści osób, a bywało, że w naszym szeregowcu mieszkało nas ponad osiemdziesiąt. To

też jest miara polskich przemian. Dziś każdy chce mieszkać oddzielnie, a w zamiarze domy budowaliśmy wielopokoleniowe.

Po zmianie systemu politycznego dalej wzajemnie sobie pomagamy, razem się bawimy, chodzimy do kościoła, do kina, na koncerty i mecze. Do urn wyborczych meldujemy się niemal w stu procentach, a w trakcie świąt państwowych biało-czerwone flagi powiewają w naszych oknach. Gdy dopada nas chandra, wystarczy zapukać do sąsiada trzy razy i już jesteśmy przy wspólnym stole. A jak już jest całkiem źle, przy przysłowiowym kie-lichu, zawsze znajdzie się jakieś pozytywne rozwiązanie.

Taka jest nasza brać... psia mać!

Nasza parafia i sprzeciw arcybiskupowi

Po sprowadzeniu się na Krętą do kościoła chodziliśmy na Curie-Skłodowskiej, dokąd było najbliżej. Nie było tam wówczas parafii, stał za to obskurny, drewniany barak. Kaplicę Matki Bożej Częstochowskiej zajmowali pallotyni, którzy prowadzili duszpasterstwo akademickie i opiekowali się chorymi w pobliskim szpitalu. W okolicznych starych domach mieszkało wielu ludzi, nic zatem dziwnego, że rektor zakonu ksiądz Eugeniusz Klimiński od dawna starał się utworzyć nową parafię, a zarażony naszym entuzjazmem, postanowił wzniesć w miejsce baraku nowy kościół.

Takie pozwolenie już w 1979 roku pozyskał od biskupa Lecha Kaczmarka, który jednak po obejrzeniu paskudnej makiety kościoła swoją zgodę na budowę uzależnił od rozpisania konkursu. Konkurs wygrał emerytowany architekt z Warszawy, Andrzej Szczypiński. Projekt był piękny, a przytulny kościółek nie przypominał stawianych wtedy na potęgę sakralnych hal targowych.

Pozwolenie od władz miasta dostaliśmy błyskawicznie, bo był to w Polsce czas Solidarności. Nikt nie spodziewał się jednak, że uda się nam postawić ten kościół w ekspresowym tempie. Zmobilizował nas do tego wprowadzony stan wojenny, kiedy znów ożyła zamrożona solidarność.

Razem pracowali przyszli parafianie i studenci, pomagali nasi architekci, twórcy Krętej. Ludzie wykładali pieniądze, które dostawaliśmy nawet od nieznanym z zagranicy. Budowę oczywiście prowadzili profesjonaliści, pracujący głównie w małych firmach prywatnych. Tylko do najtrudniejszych przedsięwzięć wynajmowano duże przedsiębiorstwa państwowe.

Wszystko się dobrze układało, ale czasami notowaliśmy zdarzenia nieprzewidziane. Do dziś pamiętam błagalną prośbę rektora Klimińskiego o pomoc mieszkańców ulicy Krętej, gdy na budowę nie przyjechał dźwig, a trzeba było z zamówionej gruszki zalać cementem formę wieży kościoła. Targałem wtedy ten cement w wiadrach przy użyciu lin i prowizorycznie zainstalowanego wielokrążka z sąsiadami: Tomkiem Tylewskim, Jackiem Wyrwińskim, Michałem Smoczyńskim, Tadkiem Królem, Jurkiem Kuchtą oraz szefem transportu Akademii Medycznej Januszem Jabczyńskim.

Byliśmy zaniepokojeni, bo zasłabł wtedy z wielkiego wysiłku ksiądz Eugeniusz Dutkiewicz, który miał zastąpić odchodzącego do Radomia Eugeniusza Klimińskiego. Wydawało się nam, że trudniej będzie skończyć Dom Boży z duchownym słabego zdrowia, który do tego bujał trochę w obłokach. Obawy jednak okazały się płonne. Drugi Eugeniusz pracował inaczej, ale równie efektywnie. Brawurowo zakończył budowę i został też pierwszym proboszczem. Zorganizował parafię, zapewnił obligatoryjną posługę: chrztów, komunii, ślubów, pogrzebów. Na prowadzone przez niego msze dla przedszkolaków zaczęło zjeżdżać do nas pół miasta.

Dutkiewicz był przy tym odważny. W niewykończonym jeszcze kościele aktywnie pomagał opozycji. Przez parafię przechodziły transporty leków, żywności i odzieży, a w nich potrzebne do opozycyjnej działalności powielacze i kamery. W trudnych miesiącach stanu wojennego organizowaliśmy



Pasterka
w kościele
Matki Bożej
Częstochowskiej

dyskusje z wybitnymi Polakami tamtych czasów, by wspomnieć Jerzego Turowicza, Stefana Kisielewskiego, Lecha Bądkowskiego czy Lecha Wałęsę. W domu parafialnym drukowano bibułę, powstawały zakazane do rozpowszechniania filmy.

Aby nie drażnić z natury rzeczy bardziej ostrożnej kurii biskupiej, Eugeniusz – będący także kapłanem w pobliskiej Akademii Medycznej – wpadł na genialny pomysł utworzenia hospicjum i pomocy pacjentom cierpiącym, w szczególności tym nieuleczalnie chorym na raka. Błogosławieństwo otrzymał od samego papieża Jana Pawła II na pamiętnym spotkaniu z chorymi w kościele Mariackim w 1987 roku. Udało się mu skupić wokół siebie wielu lekarzy, pielęgniarki i ludzi dobrej woli. Zbudował w parafii dosłownie z niczego nowoczesny ośrodek na ulicy Chodowieckiego, którego powstanie uważam za cud.

Zapłacił za to zresztą cenę najwyższą, zmarł w biegu, jestem przekonany, że jako święty, bo tylko święci czynią cuda.

Dzięki Eugeniuszom mamy teraz dobrze zorganizowaną parafię. Ich dzieło z powodzeniem przejęli następcy, świetnie pracuje hospicjum, na którego wzorze utworzono wiele innych w Gdańsku i w całej Polsce. Zbulwersowała nas zatem wiadomość, którą w trakcie kolędy 2009 roku dostaliśmy od kolejnego urzędującego proboszcza księdza Romana Marka. Dotyczyła decyzji arcybiskupa Sławoja Leszka Głodzia, który mieszkańców ulicy Krętej przeniósł z urzędu do nowej parafii Matki Odkupiciela przy ulicy Sobótki. Ksiądz Marek był załamany, odchodzili jego najbardziej aktywni parafianie i to, jak mniemał, bez możliwości odwołania.



List od arcybiskupa Sławoja Leszka Głodzia

Znowu razem postanowiliśmy działać. List protestacyjny, podpisany przez z górą stu parafian naszej ulicy, konsultowałem osobiście u swego szkolnego kolegi, znanego w Gdańsku infulata księdza Stanisława Bogdanowicza. Staszek współpracował wtedy z arcybiskupem, ale i on nie wierzył w powodzenie naszej akcji. Długo czekaliśmy na odpowiedź, a ona, ku zaskoczeniu wszystkich, okazała się dla nas pozytywna. Wydaje się, że pewien wpływ na ten stan rzeczy miała moja bezpośrednia interwencja u gdańskiego pasterza w trakcie odbywającego się Areopagu. Gdy przypominałem mu o naszej petycji, po długim namyśle odpowiedział zaskoczony:

– Nie powinniśmy toczyć sporu o małą uliczkę.

W przesłanym później piśmie przychylił się do naszej prośby. Mój najbliższy sąsiad Jacek skwitował to ze śmiechem:

– Na pewno swoim zwyczajem poklepałeś wielebny po plecach.

Nie śmiałem, ale jak tu nie wierzyć w sprawczą moc Ducha Świętego.

Chór Familia Kręta

Na Krętej śpiewaliśmy od początku, ale chór powstał dopiero po pamiętnym spotkaniu gdańszczan z papieżem w 1987 roku. Wtedy to na Zaspie na wezwanie proboszcza kilku z nas wystąpiło w połączonych chórach diecezji gdańskiej, warmińskiej i chełmińskiej, i właśnie po tym wydarzeniu postanowiłem, przy aprobacie Hani, zorganizować u nas w domu grupę śpiewaczą. Wszak w trudnych dla ojczyzny czasach zaborów tradycją naszych matek i ojców było zakładanie Singen Ferajny.

Pomysł zaakceptowali nasi najbliżsi sąsiedzi Tylewscy, co ważne, profesjonalni muzycy. Batutę nad tworzącym się zespołem przyjął grający w operze na rogu Tomek, syn słynnego gdańskiego dyrygenta Tadeusza. Wieść po okolicy rozeszła się szybko, zaczęły się u nas przesłuchania i próby. Większość śpiewających mieszkała na naszej ulicy, stąd nazwa chóru „Familia Kręta”. Zaczęliśmy od znanych kolęd, które Tomek rozpiisał na cztery głosy. Pomagała mu żona Joasia, akompaniująca na skrzypcach. Pięknie brzmiały soprany i alty, większość dziewczynek z dobrych domów uczyła się przecież grać na fortepianie. Gorzej szło chłopakom w basach i tenorach, skrócony kurs solfeżu musieli przejść na lekcjach u Tomka.

Wszystko dobrze się układało, czyniliśmy postępy i wówczas wpadliśmy na zwariowany pomysł zaproszenia na nasz koncert w wieczór Trzech Króli

1988 roku Jana Pawła II. Zaproszenie wydrukowaliśmy na kartkach UNICEF-u. Druk wymagał zgody Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk – takie były przepisy. To zaproszenie wręczyłem osobiście papieżowi w Watykanie podczas gdańskiej pielgrzymki służby zdrowia, w dniu jego imienin.

Papież był smutny, Solidarność dalej była zdelegalizowana, zbliżała się rocznica 11 listopada, a w kraju było niespokojnie. Nietypowe zaproszenie wyraźnie go zaskoczyło i z uśmiechem zapytał:

- Oj, *maluśki* śpiewacie?
- Tak – odpowiedziałem.

– To dobrze, tak trzymajcie, wierzę, że wkrótce będzie w Polsce lepiej – odparł i schował zaproszenie za sutannę.

Jakież było nasze zdumienie, gdy w wieczór Trzech Króli zjawił się u nas w zastępstwie Papy biskup Tadeusz Gocłowski. Przyniósł też osobisty list od Karola Wojtyły. Śpiewaliśmy pięknie, jak nigdy przedtem i potem.

Kiedy jednak biskup zaprosił nas na publiczny występ do Kaplicy Królewskiej, Tomek – nieco przestraszony – dołączył do chóru swoich operowych kolegów. Niektórym z nich tak się to spodobało, że wzmocnili nas na stałe. Śpiewaliśmy przeważnie u siebie i dla siebie. Niekiedy występowaliśmy w kościołach i domach dziecka. Na nasze kolędy zapraszaliśmy też gości z zagranicy, wśród nich moich kolegów z Ukrainy, uczniów szkoły muzycznej z Holandii, krewnych z dalekiej Australii.

Z czasem rozszerzyliśmy repertuar o pieśni patriotyczne.

Razu pewnego sąsiad Piotr Goralski zwrócił się do mnie z prośbą, bym na koncert zaprosił jego szefa z Frankfurtu Nicolasa Brachmana, który akurat przebywał w Gdańsku. Zaznaczył przy tym, że śpiewa on w ewangelickim chórze w Würzburgu. Oczywiście się zgodziłem.



Zaproszenie papieża na koncert kolęd chóru Familia Kręta, 1988

Tomek Tylewski
dyryguje chórem



Gardziel
u Michalików
z Magdą, Jolą,
Basią, Małgosią,
Anią i Ewunią



Wtedy w moim domu jak zwykle było pełno gości. Pięknie brzmiały nasze kolędy, kolejne występy zapowiadał ze swadą po polsku i angielsku malutki Jasio Wyrwiński. Wyrwałem mu mikrofon i kalekim nieco niemieckim zaanonsowałem niespodziankę:

– *Meine Lieben, Ich möchte Herrn Nicolaus aus ewangelische Chorus vorstellen, der uns heute einige, deutsche Weihnachtslieder singen wird* (Moi kochani chciałbym przedstawić Mikołaja z ewangelickiego chóru, który dzisiaj zaśpiewa nam kolędy niemieckie).

Nicolaus zmieszał się i odrzekł:

– *Ich habe im Knabenchor vor vielen Jahren gesungen. Heute werde nicht singen, da Ich keine Noten dabei habe* (Śpiewałem w chłopięcym chórze, ale wiele lat temu, nie zaśpiewam, bo nie wziąłem nut).

Nachylił się do mnie Stefan Presch i szepnął:

– Andrzej, kolędy niemieckie pisane w gotyku ma w domu moja żona Ula, mogę je zaraz przynieść.

Zripostowałem więc natychmiast:

– *Ein Glück haben wir die Noten früher vorbereitet. Stefan gib Ihm diese Noten* (Na szczęście nuty przygotowaliśmy wcześniej, Stefan ci je zaraz przyniesie).

I za chwilę Tomek grał na pianoli *Cichą noc*, którą śpiewał solo Nicolaus. Miał dalej czysty, dziecięcy tenor, a jak zaczęła, trudno było mu przerwać. To była naprawdę niespodzianka. Po kilku miesiącach, gdy Nicolaus ponownie odwiedził Gdańsk, sprezentowaliśmy mu nagranie koncertu. Był zachwycony swoim występem, Piotruś Goralski zapewne dostał premię.

Ostatni oficjalny koncert naszego chóru odbył się w Teatrze Lalek na wieczorne wyborczym do Rady Miasta Gdańska, już w wolnej Polsce. Sprawdziły się w pełni papieskie słowa o naszej przyszłości, popierany wtedy z listy Solidarności członek naszego chóru, Jacek Starościak został prezydentem miasta.

Chór stracił jednego ze swych tenorów, ale my okazyjnie nadal śpiewamy z dziećmi i wnukami na Kaszubach, Kresach, i to w różnej konfiguracji. Niestrudzony teść mojej córki, Bohdan, organizuje nam od czasu do czasu wspólne wieczory z chórami, nawet profesjonalnymi. Z Non Serio Beatki Borowicz, Continuo Olgi Rusin i Lutnią Tomasza Fopke śpiewaliśmy razem w Galerii Sulmińskiej, w pałacu w Leźnie, a nawet w Ratuszu Staromiejskim.

Ale najczęściej śpiewamy na Krętej, u mnie, u Tomka i ostatnio u Bolka, przeważnie w swojej paczce rodzin Gardzilewiczów, Tylewskich, Wyrwińskich, Obelnickich...

Muzyczne tradycje przeniosły się ostatnio też na drugą stronę ulicy do Jamy Michalikowej. Tam u Andrzeja i Joli jest najgwarniej, gdy schodzą się ich dzieci: Jurek, Basia, Wojtek, Ania, Gosia, Magda, Ewa, oczywiście



z rodzinami. Ostatnio doszłusowali liczni krewni i znajomi, na których czele zawsze stoi inżynier Jaś Skromak, najlepszy wśród basów.

Na Krętej śpiew dalej solidarnie jednoczy i łagodzi obyczaje.

Mała żagłówka

Moi sąsiedzi Tylewscy są muzykami, ale ich pasją jest żeglowanie. Stary jacht dostali ponoć jeszcze w prezencie ślubnym. Od tego czasu rok w rok Tomek z Joasią wypływają na urlop na Jeziorak. Swoim hobby zarazili też nas i wkrótce płynęliśmy z żoną przez pełne uroku mazurskie pochylnie. Przyszło nam wtedy żeglować z przyjacielem Tomka z przystani w Górkach Zachodnich, Szymonem Szymańdą. Szymek, kapitan jachtowy, na łódce utrzymywał ostrą dyscyplinę. Na wstępie przeprowadził krótkie szkolenie, które okazało się niewystarczające i cały rejs byłem przez niego ostro strofowany. Nie znosił sprzeciwu, co mi się nie podobało. Na jachcie nie mogłem gwizdać, ani nawet śpiewać. Jeszcze przed zakończeniem rejsu postanowiłem, że będę w przyszłości pływać sam, na własnej łajbie.

Okazja kupna nadarzyła się bardzo szybko. Małą żaglówkę dostrzegłem na wystawie w gdańskiej Olivii. To był Bez, który nazwę przyjął nie od kwiatowego drzewa, ale dlatego, że można nim było pływać bez patentu. Jachcik miał kabinę i dość wygodnie mogły w nim spać dwie osoby także z dzieckiem. Plastikowy kadłub eliminował żmudne prace konserwacyjne. Małe zanurzenie i płaskie dno zapewniały łatwe dojście do płytkich brzegów polskich jezior. Byłem zachwycony, chciałem go kupić natychmiast. Usłyszałem od sprzedawcy, że to niemożliwe, bo kolejka do zakupu sięga trzech lat. I wtedy z kantorka wyszedł mój kolega z Instytutu doktor Jacek Centkowski, który okazał się konstruktorem tego cudeńka, i spytał:

– Gardziel, podoba ci się?

– Oczywiście, chcę Bezika kupić i to zaraz – odpowiedziałem.

– Masz szczęście, te łódeczki robią w Augustowie, mają tam awarię i muszę jechać do nich bezzwłocznie, a popsuło się moje auto. Jeśli pojedziesz ze mną, na pewno coś wykombinuję.

Pojechałem, kupiłem, przywiozłem. Żaglówka przyjechała w przyczepie na haku za moim fiatem, stała w ogródku do wiosny. Pozbywała się szkodliwych oparów żywicy epoksydowej. Nazwałem ją Pastkciem, od niezbyt lubianego przez żonę jej pseudonimu. Wodowanie odbyło się na przystani w Górkach Zachodnich. Hania oczywiście była matką chrzestną, rozbiła szampana i wypowiedziała żelazną regułę: „Płyn po morzach i oceanach!”.

Zaczęliśmy pływać, ale nie po morzach, ponieważ łódka była za mała i mocno kołysało. Niestety nie dołączyły do nas dzieci, miały już inne, własne zajęcia. Hania naszego Bezika dopieściła, wymościła miejsca leżące, przygotowała szereg zakamarków na rzeczy, uszyła nawet dodatkowy namiot wezyra. Ale na jachcie, podobnie jak w życiu, nie stanowiliśmy do końca zgranej załogi, brakowało nie tyle dowódcy, co umiejętności żeglowania. Na Jeziorak Hania pływała zatem z dobrze wyszkoloną córką Tylewskich, Zosią, a ja żeglowałem z powrotem przeważnie z sąsiadem z naprzeciwka, Zenkiem Polackim, moim byłym nauczycielem akademickim. Zenek był sternikiem jachtowym i natychmiast przejmował funkcję kapitana. Na pokładzie miałem spory luz, ale oczywiście nie mogłem gwizdać, zgodnie z niepisanymi zasadami żeglarzy.

Pewnego razu na Jezioraku zaskoczyła nas burza, dobiliśmy do wyspy, gdzie niestety było dość głęboko i jacht przyszło zacumować do pomostu. Ulokować pomogli się nam nieznajomi, z którymi szybko się rozstaliśmy, okazali się bowiem zwolennikami stanu wojennego. Poszliśmy spać. W nocy



jak zwykle poszedłem susiać, otworzyłem klapę i, schodząc na brzeg, wpadłem do wody. Łódka, chociaż miała kształt balii, była chybotliwa. Ledwo udało mi się wygramolić. Było ciemno, deszcz przestał padać, na brzegu się rozebrałem i wyzymałem frotową piżamę. Delikatnie, by nie przerwać snu Zenka, wszedłem na pokład Paśtka. Ale kiedy ostrożnie wsadzałem swe siedzenie w otwarty luk, obudzony Zenek wychylał właśnie stamtąd swą łysinę. I wtedy obaj wpadliśmy w snop światła z zapalonego przez nieznajomych reflektora. Usłyszeliśmy okrzyk niewiasty:

– Patrz, Julek! Pedaly nieprzyzwoicie figlują.

Zamarliśmy w bezruchu, Zenek wydał komendę odejścia. Wypłynęliśmy na pagajach tak szybko, jak nigdy dotąd.

Łódka służyła nam jeszcze kilka lat, ale byliśmy coraz starsi i stawała się coraz mniej wygodna. Zosia wyszła za męża, do żeglowania znalazła innego partnera. Zenek niestety wkrótce zmarł. Dziś na przystani w Górkach takich małych żaglówek już się nie spotyka. Nawet Tomek wymienił swą Karolinę na bardziej wypasiony jacht z toaletą. Paśtka przekazałem Sebiemu Dolacie, kuzynowi z Poznania. Pływa teraz na Kaszubach na jeziorze koło Swornychgaci. *Navigare necesse est.*

Stary kapral

Sława chóru Familia Kręta rozniosła się po Gdańsku błyskawicznie. Polacy lubią śpiewać, tylko zbiorowo nie zawsze im to wychodzi. Dostawaliśmy przeto zaproszenia z różnych stron, ale dyrygent Tomek Tylewski nasze występy wyraźnie ograniczał. Sam grał w orkiestrze Filharmonii Bałtyckiej, raziła go nasza amatorszczyzna, pamiętał zapewne koncerty wspianego Chóru Akademii Medycznej, prowadzonego przed laty przez swego ojca.

Batuty po Tomku nie przejąłem, ale w towarzystwie zacząłem śpiewać solo. Głos mam donośny i dość często wychodzę przed szereg. Mama zawsze chciała, żebym został artystą. Przymykałem oczy i żeby odizolować się od audytorium, w wyobraźni odtwarzałem stosowne do pieśni obrazy. Siedziałem zatem w wagonie, śpiewając *Jedzie pociąg*. Stałem na szczytach gór, gdy śpiewałem *Górala*. Jak ciągnąłem *Oczy czarne*, widziałem filiterne spojrzenie Marynki Gierasimowicz, bliskiej koleżanki Hani ze studiów lekarskich.

Ale to nie trema była moim utrapieniem, najważniejszy był początek, nie wszystkie utwory pisane są w prostym C-dur. Jak źle zaczniesz, czeka cię

Śpiewając Moniuszkę





Śpiewając Moniuszkę

klapa, możesz zrobić „koguta”. Wziąłem przeto kilka lekcji solfeżu u Tomka i teraz z ochotą śpiewam na różnych spotkaniach, w rozmaitej konfiguracji osobowej, przeważnie w tonacji barytonowo-basowej. Najczęściej są to utwory Moniuszki, które dodatkowo wyszlifowałem, słuchając nagrań wielkiego Bernarda Ładysza. W moim repertuarze znalazły się pieśni: *Znaszli ten kraj*, *Kozak*, *Kuma*, *Zegar* i oczywiście *Stary kapral*.

Najlepiej te pieśni brzmiały na organizowanych w plenerze przez Bohdana Borkowskiego „Spotkaniach Sulmińskich”. Śpiewałem je najczęściej z przyjacielem, artystą malarzem Henrykiem Komowskim. W duecie potrafiliśmy rozbawić każde towarzystwo. Świetny obserwator życia Henio tak mnie rozpracował, że zaczął nawet uwieczniać z powodzeniem przywary mego charakteru na malowanych przez siebie moich portretach.

Razem z Heniem i jego przyjaciółmi: Anią Krysicką, Frankiem Kamińskim i Michałem Mołdawą zdobywaliśmy dla śpiewu coraz to nowe kręgi. Obaj zawsze bywaliśmy obecni w Witmanówce, gdzie znani dealerzy Mercedesa Włodek z Basią goszczą od lat gdańską elitę na otwarciu i zamknięciu sezonu. Na jednym z koncertów u Witmanów zaskoczył mnie poeta Janusz Wilkowski, kiedy po moim występie sprezentował mi swój



U Witmanów na otwarcie sezonu

wiersz. Ten utwór odczytała zebranych z kunsztowną dykcją jedna z najbardziej znanych aktorek Wybrzeża – Krystyna Łubieńska. Tekst za zgodą autora przytaczam poniżej w całości:

Nie słyście o Gardzielu,
O przesławnym dyrygencie.
O śpiewaku, wokaliście,
Wodzireju;
...gdy przybędzie,
To ozdobą jest spotkania,
A gdy nie jest osobiście,
To brakuje tego drania,
To drętwota, marazm.

Głosy szepczą pieśni tklive,
Nućą refren, lecz mrukliwie.
Każdy czeka, aż się zjawi
Król Wieczoru

I przedstawi program własny.
Poprowadzi Chór spragniony
Do uniesień i zachwytu,
Do harmonii,
Pełną piersią wyśpiewanych
Hymnów wzniosłych,
Arii wielu.

Stawia tego i tamtego,
Pannę z wiankiem i dziewicę,
Strojne damy – krasawice,
Trzy blondynki i szatynkę,
Tę przebraną za Sabinę,
Tamtą z włosom utrefionym
I uśmiechem rozjaśnionym,
W długiej sukni – nie dostojnej,
Lecz wieśniaczo – bardzo strojnej.

Ona altem zawsze śpiewa.
Tamte sopran raczej mają,
Choć słyszałem, gdy chór śpiewał,
Kontralt z dołu – dość wyraźnie,
Chyba któraś się schyliła,
By poprawić trzewik spadły.

Z boku stoją barytony,
Cztery basy i tenory,
Jeden falset starszy nieco
I kogucik – alter ego.
Wszystkie głowy raczej siwe,
Choć zdarzają się poczciwe
Trochę rude, przerzedzone,
Kilka łysin, pukle długie,
Nie peruki, nie – prawdziwe,
Długa grzywa srebrno-biała,
Brody z wąsem dwie strzyżone,

Jedna całkiem goła pała.
O, przepraszam – w meszku cała.

Gardziel daje nutę pierwszą.

Damskie głosy zaczynają.
Dalej wchodzi dwa tenory,
Basy później, choć nieskore.
Falset czeka swojej chwili,
Gdy baryton zacznie piano
I kogucik skończy frazę.

Znowu alty, dwa soprany.
Jedna ciągnie arię długą,
Później alt koloraturowy,
Mocno drżący – doskonały.

Mistrz ustawia na dwa głosy
Chór niesforny, nagle straszy
Głosem trzecim, więc panika,
Czy podoła i zestroi pieśń znajomą.
I pytanie, czy się uda
Wybrzmieć chórem doskonałym?

Ryczą basy, alty ciszej,
Barytony ledwo dyszą,
Dwa tenory najsubtelniej,
Rytm się składa coraz piękniej,

Bas-baryton w arii słyszy
Własne życie, łka żalością,
Później szczęściem i miłością.
Kończy arię pełnym brzmieniem,
Pierś obnaża, aż omdleniem,
Coraz ciszej – zachwyt wzmagają,
Aż usłyszysz – jak powaga,
Uniesienie, serca bicie,

Rąk Twych drzenie –
Do okłasków dłonie składa,
Wiwatuje –
Do nóg pada...

„Naprzód wiara” – hej!
„Więc nie płaczcie nad mym grobem”
„Naprzód wiara” – hej.

Częstkowo i sąsiedzi

Latem co roku urlop spędzaliśmy na Kaszubach. Tato Świca postawił tam malutki drewniany domek nad samym brzegiem jeziora Mausz. To był prawdziwy raj dla moich dzieci, które chlupały się w wodzie całymi godzinami. Pawełek i Ania przebywali tam często z babcią Klementyną i dziadkiem Staszkiem, chodząc na grzyby i ryby. Niestety Mausz jak i pozostałe włości po rodzicach przejął ordynat, syn Piotruś. Córce Hani pozostał jeno wielki żal.

Nawet się tym nie przejąłem i w oczekiwaniu na wnuki sam zacząłem szukać letniskowego miejsca na Kaszubach. Znalazłem je w Częstkwowie nad Jeziorem Wieprznickim. Posiadłość z domkiem kupiliśmy w 1996 roku od starych architektów, którzy potrzebowali pieniędzy, by wspomóc emigracyjny wyjazd córki, która z trójką dzieci wyjechała do Kanady. Pozyskałem przy tym nie tylko domek, ale i interesujących sąsiadów. Tam na wsi mieli już swe dache moi znajomi, utalentowani chirurdzy ze słynnej szkoły profesora Kieturakisa: Tomek Wysocki i Marek Dobosz, do których dołączył dość tajemniczy Waldek Kamiński.

Tomek, popularnie zwany Luśnią, jest kolegą szkolnym mojego siostrzeńca Piotrusia Czauderny. Za młodu dość często przebywał w domu u moich rodziców. Mama usilnie wtedy zabiegała, by ożenił się wnuczką Asią. Niestety feromony nie zadziałały, a Tomek wybrał inną, Agnieszkę. Dopiero w Częstkwowie skojarzyłem, że jego mamą była moja starsza gimnazjalna koleżanka Marysia Osten-Sacken, zwana popularnie Żenią. Gdy spotkałem ją nad jeziorem, pamiętała, że byłem jasnym blondynkiem z kręconymi włosami, a teraz przed nią stał już całkiem siwy mężczyzna. Wiedziałem, że była córką wybitnego barda gdańskiej Polonii, którego „uprowadzili”

na zawsze bolszewicy już po wyzwoleniu Gdańska. W Wolnym Mieście wszyscy go znali i cenili, tuż przed wojną razem z kompozytorem Tadeuszem Tylewskim przygotował piękny hymn dla gdańskiej Polonii. Rodzinie Osten-Sacken było ciężko, tam w mieszkaniu na Królikarni odwiedzał ich dość często pan Tadeusz. Żenia opowiedziała mi, że tak ją wtedy zauroczył syn kompozytora Tomek, że jego imię po latach nadała swemu pierworodnemu. Wybuchnąłem śmiechem i wybiegłem po tego synka... Tylewskiego, który akurat przyjechał ze mną do Częstkowa. I za chwilę, po sześćdziesięciu latach dwóch Tomków, przy zaskoczeniu Żeni, padło sobie w objęcia. Z postury byli nawet podobni.

Marek, nieco starszy od Tomka, gdy go poznałem, był już wschodzącą gwiazdą gdańskiej chirurgii. Właśnie dla chirurgii zrezygnował z dobrze zapowiadającej się kariery piłkarza ręcznego, a przecież jako junior walczył z moimi kolegami o miejsce w mistrzowskiej drużynie Wybrzeża. Podobnie jak jego wielcy szefowie, profesor Dobosz nad Jeziorem Wieprznickim szukał czynnego odpoczynku po wyczerpujących zabiegach chirurgicznych. Dość szybko namówiłem go do gry w tenisa, a do zabawy dołączyła też jego żona Anetka – doktor dermatologii. Już na pierwszym treningu wymusiłem na Anecie zmianę stroju. Nie mogłem patrzeć, jak ta zgrabna dziewczyna fatalnie prezentowała się w obszernych pantalonach i czarnych butach. Nie spodziewałem się wtedy, że przyjdzie czas, że będzie grała lepiej od nas obu. W intensywnym treningu nie przeszkadzała jej ukończona w tym czasie praca habilitacyjna, wkrótce sięgnęła po mistrzostwo senierek w klasie czterdzieści pięć plus, na międzynarodowym turnieju World Medical Tennis Society w Czechach.



Gardzielówka – letni domek w Częstkowie



Teraz na korcie prezentuje się wspaniale, a tenis w jej wykonaniu to nie tylko piękna gra, ale i rewia mody.

Ostatni z moich sąsiadów, Waldek, jest miejscowym Kaszubem. Długo mieszkał w Reichu, gdzie nieźle zarabiał na saksach. Poznał wówczas wartość marki i było to widać w jego zachowaniu. Odnosiliśmy się zatem do niego dość nieufnie. Do Częstkowa zaglądał tylko na wakacje i denerwował się, gdyż jego dom stale plądrowała miejscowa żulia. Próbował z tym wojować, ale w tamtych czasach była to walka z przysłowiowymi wiatrakami. Złapanych złodziei wypuszczano z uwagi na niewielką szkodliwość czynów. Kiedy pojawiła się szansa otrzymania niemieckiej emerytury, Waldek postanowił wrócić do Polski. Razem z nową żoną Anitą osiedlił się na stałe w Częstkowie. Skończyły się kradzieże, a my pozyskaliśmy miejscowego rezydenta, który – dobrze wkomponowany w środowisko Kościerzyny – załatwia różne sprawy bytowe. Pełne pojednanie z sąsiadem nastąpiło w trakcie bokserkiego meczu Gołoty o mistrzostwo świata, który oglądaliśmy razem na dużym ekranie telewizora w jego domu. Waldek witał nas wtedy na progu w biało-czerwonej koszulce, orzeł w koronie dumnie się prężył na jego piersiach.

Po pracy w Niemczech dość trudno było mu się przystosować do nowych warunków. Plany ustalał, leżąc w cieniu pod drzewem, a na zarzut leniuchowania odpowiadał bez zająknięcia, że przecież produkuje... czas. Wkrótce jednak nas zaskoczył, gdy zapisał się na organizowane pod egidą

Unii Europejskiej szkolenie dla bezrobotnych. Po ukończeniu kursu w podaniu o bezzwrotną zaliczkę na otwarcie biznesu napisał, że będzie ostrzył nożyczki. Komisja z uciechy mało nie pospadała z krzeseł, ale pieniądze pozyskał. Okazało się wtedy, że skrupulatni urzędnicy niemieccy poważnie ograniczyli mu wcześniejszą emeryturę i Waldek wystartował do roboty, by poprawić byt swojej rodziny, w której urodziły się Martynka i Wiktor. Nowe usługi zaproponował, opierając się na prowadzonym zakładzie fryzjerskim żony. Był to strzał w dziesiątkę, gdyż uzdolniony manualnie sąsiad nauczył się ostrzyć nożyczki w najsłynniejszej na świecie manufakturze w Solingen i od podszewki znał całą technologię ich przygotowania. Byłem świadkiem, jak powstawał jego perfekcyjny warsztat. Z prostych narzędzi szybko przeszedł na komputerowo obsługiwane szlifierki i polerki. Wśród klientów pojawili się nie tylko znajomi żony, ale także słynni mistrzowie sztuki fryzjerskiej. Teraz nożyczki trafiają do jego rąk transportem DHL-u, a po naostrzeniu tą samą drogą wracają do klientów w kraju i za granicą. Podziwiam Waldka, bo chociaż zaczął intensywnie pracować, dalej kładzie się na leżaku, by produkować swój przemijający czas...

W Częstokowie z takimi sąsiadami mam naprawdę fajne życie. Jest nam też coraz gwarniej, bo przyjeżdża tam na odpoczynek coraz więcej ludzi.

I znowu, jak kiedyś w chatce Świców nad Mauszem, tak teraz moi najbliżsi ochoczo spędzają wakacje w Gardzielówce, w domku pod Kościerzyną. Obok Basi i Tadzia zaczął się już pluskać mały Kacperek. Przyjeżdżają nie tylko na jagody, grzyby, ryby, ale też pograć na zbudowanych boiskach, kortach, popływać w jeziorze, a gdy jest zimniej, udać się do pobliskiego aquaparku.

Dwie piszczałki Gardziela

Na imieniny zwykle nikogo nie zapraszam, ale goście w moim domu zjawiają się tłumnie. Nie tylko rodzina, ale też przyjaciele oraz sąsiedzi wiedzą, że u Gardziela można się dobrze zabawić i że będą niespodzianki. Nie do końca taki stan rzeczy akceptowała moja małżonka, ponieważ nigdy nie wiedziała, na ile osób szykować przyjęcie, a czasem zjawiała się tego bractwa cała kopa. Co prawda, że spotkania nikt nie wychodził głodny, tym bardziej spragniony, bo napitków u mnie zawsze dostatek, ale wieść na mieście niosła, że na imieninach u Gardziela frykasów nie podają.



Chór Non Serio

Nie było zatem dla mnie specjalnym zaskoczeniem, gdy moja Hania oznajmiła jesienią 2014 roku:

– Z górą pięćdziesiąt lat przygotowywałam ci imprezę, ale mam już dość twoich improwizacji. Jestem zmęczona, rób imieniny, gdzie chcesz, ale nie w domu.

Dostałem *carte blanche*, postanowiłem pójść na całość, połączyć święto mego patrona z siedemdziesiątą piątą rocznicą urodzin, a co najważniejsze, zdecydowałem się na tej uroczystości przedstawić zebrany swoją książkę. Od pewnego czasu pisałem ją w tajemnicy, w formie dykteryjek z mego życia, wzorując się na literackiej formie mistrzowsko prezentowanej przez redaktor Barbarę Szczepułę w „Rejsach”, cotygodniowym dodatku „Dziennika Bałtyckiego”.

Basię postanowiłem poprosić o opinię, co łatwo mówić, ale trzeba było zamiar przekuć w czyn, bo takich domorosłych pisarzy jest teraz bez liku. Udało mi się do Basi dotrzeć, aby jednak nie przeżyć wstydu, moje wycpiny dawałem do poczytania innym, a korekty dokonała dyplomowana polonistka, moja siostrzenica Joasia Czauderna-Szreter. I eureka: Basia

z redaktorem naczelnym „Rejsów” Dariuszem Szreterem zgodziła się poprowadzić promocję *Gardzielowych fidrygałków*, bo tak nazwałem swe opowieści. Udało mi się rzecz zorganizować w uroczej restauracji Bohemia.

Dla uświetnienia imprezy w części artystycznej prezentacji wykorzystałem prowadzony przez przemiałą dyrygentkę Beatę Borowicz chór Non Serio, który w dniu moich imienin koncertował w kościele Świętej Trójcy. Wnuczka Basia, kontynuująca muzyczne tradycje babci i mamy, pięknie zagrała na fagocie.

To chyba były moje najpiękniejsze imieniny, a do tego równocześnie benefis na siedemdziesiąte piąte urodziny, na którym siedemdziesięciu pięciu gości, tym razem już oficjalnie zaproszonych, mogło obejrzeć w formie skryptu siedemdziesiąt pięć moich fidrygałek. Wszyscy zdawali się zadowoleni, nawet moja żona, co stwierdziłem już po obejrzeniu filmu nakręconego z tej okazji przez starego mistrza sztuki fotografowania Juliusza Jaskólskiego. Nieskory do komplementów, dobiegający dziewięćdziesięciu lat, mój profesor gimnazjalny Andrzejewski, powiedział mi na zakończenie uroczystości:

– Andrzej, jesteś niezastąpionym wodzirejem, człowiekiem renesansu, jakich się teraz prawie nie spotyka.

Na ten benefis swoistą propozycję przygotowała mi córka Ania.

– Tato – powiedziała – zapraszasz gdańską elitę, znanych profesorów, polityków, lekarzy, inżynierów, sportowców, niech zamiast prezentów zrzucą się na restaurowane organy kościoła Świętej Trójcy.

Przyjąłem pomysł z radością, gdyż chodziło o kościół mojej młodości, byłem świadkiem jego odbudowy po wojnie. Jakoś uszło mojej uwadze, że od 2002 roku franciszkanie z wielkim trudem prowadzą renowację znalezionych na poddaszu prospektów i szaf barokowych unikalnych organów, jakich mało na świecie. Natychmiast też spotkałem się z Andrzejem Szadejką, pomysłodawcą odrestaurowania organów i jego entuzjazmem zaraziłem większość swoich gości. Wystarczyło na zakup dwóch piszczałek językowych, a pieniądze przekazałem bratu Tomaszowi Jance, który pilnuje to przedsięwzięcie od strony konserwatorskiej i ekonomicznej. Andrzej i Tomasz to wspaniali restauratorzy sztuki sakralnej, dzięki takim ludziom Gdańsk staje się piękniejszy i żyje się w nim ciekawiej. Na koncerty w kościele Świętej Trójcy przychodzi coraz więcej ludzi, także bardzo młodych – muszą się przecież czasami oderwać od komputerów.

Pożegnania

Nigdy nie przywiązywałem wielkiej wagi do rozpamiętywania przeszłości, moje życie było zawsze intensywne, w biegu. Gdy coś się kończyło, miałem nowe pomysły, które w większości udawało mi się zrealizować. Nie zauważyłem, kiedy się zestarzałem, ale coraz częściej zacząłem się spotykać z przyjaciółmi na cmentarzach, żegnając kolejnych bliskich mi towarzyszy. W pamięci coraz częściej zacząłem odtwarzać obraz mego mentora, profesora Szewalskiego, który na takich uroczystościach przemawiał do zebranych. To piękny zwyczaj, by nad grobem przypomnieć najlepsze strony odchodzącego. Mowy profesora były doskonale przygotowane, w Instytucie życzone w żartach, byś i ty doczekał się pożegnania Staruszka.

Pamiętam, jak w trudnych dla Polski latach tuż po stanie wojennym profesor przyszedł do mnie, bym podwiózł go na Srebrzysko. Miał pożegnać lwowskiego kolegę, Stefka. Pogrzeb był świecki, organizowany przez komórkę partyjną. Ten lubiany przez studentów nauczyciel akademicki wstąpił do partii chyba w sprzecznie, gdy jego dzieci prysnęły na Zachód. Było zimno, siąpił deszcz, wracaliśmy smutni. Profesor był wyraźnie skonfundowany i spytał mnie wtedy z filuternym uśmieszkiem:

– To był bardzo porządny człowiek, dlaczego w trakcie opuszczenia trumny do grobu, partyjny mistrz ceremonii włączył magnetofon, z którego zabrzmiała melodia *Gaude Mater Polonia*?

Nie przypuszczałem wtedy, że i ja, jąkała, zacznę też przemawiać na cmentarzu. Pierwszą mowę trzymałem nad grobem mego przyjaciela Staszka Bednarskiego, i to zaraz po moim mistrzu Szewalskim. Miałem tremę, poszło niezłe. Od tego czasu dość często żegnam, zwykle na prośbę bliskiej rodziny, kolegów szkolnych, z pracy, z boiska, z swych nauczycieli, sąsiadów. Żegnałem między innymi profesorową Szewalską, doktora Krystyna Grabowskiego, księdza Gienka Dutkiewicza, trenera Leona Walleranda. Zaskoczył mnie jednak osobistą prośbą mój przyjaciel, artysta Heniek Komowski. Gdy odwiedziłem go ciężko chorego w szpitalu, powiedział szeptem:

– Gardziel, zaśpiewaj nad moim grobem *Kozaka*...

Dwa dni później już nie żył. Przemówienie przygotowałem perfekcyjnie i na prośbę bliskich mu przyjaciół odtwarzam je poniżej:

„Chciałbym pożegnać śp. Henryka Komowskiego w imieniu nie tylko swoim, ale i śpiewających współtowarzyszy z chóru Familia Kręta. Heniek na Krętą zawitał w trudnych latach osiemdziesiątych, kiedy w sprzecznie



Heniek Komowski
ze swoją gitarą

wobec reżimu, wzorem naszych ojców i matek zakładaliśmy Singen Ferajnę. Dołączył do nas, by razem śpiewać ku pokrzepieniu serc: «Wyrwij muirom zęby krat, zerwij kajdany, połam bat, a mury runą...». Wiedzieliśmy, że był artystą, pięknie malował, tworzył w bursztynie i srebrze cudowne brosze i naszyjniki, ale wtedy przekonaliśmy się, że jest też utalentowanym bardem, wspaniale śpiewa i gra na gitarze. Po latach komusze mury runęły, kraj wrócił do normalności i gdy chór oficjalnie przestał istnieć, śpiewaliśmy dalej z Heniem w różnej konfiguracji, w różnym towarzystwie, na różnych spotkaniach.

Kozak Stanisława Moniuszki był naszą ulubioną pieśnią, którą często prezentowaliśmy w duecie. Kilka dni temu śpiewaliśmy znów naszego *Kozaka* w szpitalnej salce, ku zachwycie towarzyszy niedoli. Chory Heniek powiedział wtedy do mnie:

– Patrz, Gardziel, młodsza Ania Krysicka tak nagle od nas odeszła, a my dalej śpiewamy *Kozaka*, by łagodzić obyczaje. Jak odejde... to mi zaśpiewasz? Teraz, stojąc zatem nad Twym grobem, słyszę już dźwięk gitary. Heniek, zaśpiewajmy razem, jak nam nie wyjdzie, powtórzmy. Pamiętajcie refren, wszyscy nuć z nami...

Tam na górze jawor stoi, jawor zielonieński,
ginie Heniek w gdańskiej stronie, Henio siwiuteński,
Ginie, ginie nasz Komosio, śmierć mu oczy tuli,
Już nas Henio nigdy więcej do się nie przytuli...

Moje podróże

Przez Polskę wzdłuż i wszerz

Polskę rozpocząłem przemierzać wzdłuż i wszerz jeszcze w 1945 roku, kiedy wypędzeni ze Lwowa, przez Kraków dotarliśmy do Miastka. Wtedy to w niezniszczonej stolicy Małopolski, podczas kilkudniowej wizyty u rodziny, udało mi się zobaczyć Wawel. Złotą Kaplicą byłem oczarowany.

Wkrótce przenieśliśmy się do Gdańska, który – jak większość polskich miast – był po wojnie kompletnie zniszczony. Był to czas, kiedy w kraju odbudowywano zrujnowane połączenia kolejowe, a w uruchomianych pociągach panował wielki ścisk. Autobusy nie kursowały, bo ich po prostu nie było. Nic zatem dziwnego, że zamiast podróżować, bawiłem się z kolegami w gruzach. Nasze wyjazdy ograniczały się wówczas do obszarów położonych blisko Gdańska. Dobrze jednak zapamiętałem wakacje w dworku Lehndorffów w Sztynorcie na Mazurach, gdzie ojciec, powołany do wojska, został lekarzem paramilitarnych oddziałów Służby Polsce. Nie miało to sensu, bo trzy miesiące doktora brakowało w gdańskim szpitalu. Ale ja właśnie na tych Ziemiach Odzyskanych nauczyłem się pływać i łowić ryby.

Niedługo potem pojechaliśmy razem z rodzicami nieco dalej, na ślub stryjka Zenka do dalekiego Poznania. Wstąpiliśmy po drodze do Częstochowy. Tam mama z tatą złożyli hołd Czarnej Madonnie w podziękowaniu, że zdołali przeżyć okrutną wojnę.

Z czasem podróży po kraju było coraz więcej. Na wakacje zaczęliśmy jeździć z rodziną do powszechnie otwieranych w kraju domów Funduszu Wczasów Pracowniczych. Odwiedziliśmy Zakopane, Cieplice, Łądek-Zdrój, po raz pierwszy wyszedłem na szlaki Tatr, Sudetów, Beskidów. Warszawę, największy wówczas plac budowy na świecie, zobaczyłem na wycieczce szkolnej dopiero w 1953 roku. Nie był to optymistyczny widok.

Wtedy właśnie w szkole spiknąłem się po raz pierwszy z profesorem Eugeniuszem Andrzejewskim i z nim zaczęło się moje zwiedzanie Polski podczas pieszych wędrówek, kolarskich rajdów, w trakcie narciarskich obozów i kajakowych spływów. To było wspaniałe.



Z rodzicami i siostrą na wczasach w Zakopanem

Dzięki Andrzejewskiemu połknąłem bakcyla turystycznego i kiedy później zacząłem grać w piłkę, a mieliśmy trochę czasu po meczu we Wrocławiu, Krakowie czy Warszawie, namawiałem moich trenerów i kolegów, by zwiedzać muzea, kościoły, pałace i zamki. W nasz monotony trening piłkarski zawsze wkomponowane były wspinaczki po górach i bieganie po lasach.

Polskę poznawałem też, kiedy zacząłem pracować zawodowo w Instytucie. Na krajoznawcze wycieczki urywałem się, uczestnicząc w konferencjach naukowych, a nawet w trakcie wyjazdów na badania turbin w elektrowniach. Z moimi kolegami zwiedziłem Kazimierz, Książ, Czoche, Licheń, Kruszwicę.

Nic zatem dziwnego, że gdy założyłem własną rodzinę, razem z żoną Hanią, a potem z dziećmi Pawłem i Anią ruszaliśmy w Polskę, tak latem, jak i zimą. A nie było to wówczas proste. Przeszkodę stanowiły marne drogi, niedostatek hoteli, trudny dostęp do informacji turystycznej. Na połączenia telefoniczne czekało się dalej godzinami. My jednak każdego roku przemierzaliśmy polskie szlaki z północy na południe i ze wschodu na zachód. Zaczęliśmy z Hanią jeszcze przed ślubem od podróży na Mazury, modnym wtedy autostopem. Wkrótce potem, już własnym autem, wyjeżdżaliśmy na

piaszczyste plaże Bałtyku: od Helu do Plesni; wędrowaliśmy po górach: od Sudetów, Beskidów, Tatr po Bieszczady. Zwiedzaliśmy zabytki nie tylko te najsłynniejsze wielkich miast: Warszawy, Krakowa, Poznania, Wrocławia, ale też nie mniej znane rozlokowane na trasach naszych podróży w Malborku, Zamościu, Łańcucie, Leżajsku czy Świętej Lipce. Pływaliśmy też po jeziorach i rzekach.

W 1982 roku przed wspinaczką na Rysy przyszło mi spać z Pawłem w Dolinie Pięciu Stawów. To był stan wojenny, w schronisku tłum większy niż zwykle, przed noclegiem w sali jadalnej kilkadziesiąt osób szukało jak najlepszego miejsca do spania na podłodze. O dwudziestej drugiej gaszono światło, ale obok nas studenci matematyki Uniwersytetu Warszawskiego grali w szachy w swej pamięci znacznie dłużej. Zasnąłem, gdy biały goniec skakał na b6. Wcześniej rano było obowiązkowe sprzątanie, po czym stanęliśmy w kolejce, by zarezerwować sobie miejsce na następną noc, planowaliśmy przejście Orlej Perci. Mieliśmy duże szanse, bo nowi turyści jeszcze nie dotarli do schroniska, a kierująca nim Zofia Krzeptowska miała zasadę: łóżko można było dostać najwyżej na trzy dni. Przed nami stali wtedy dwaj starsi panowie, którzy nie znali tej twardej reguły. Gdy już to do nich dotarło, starszy uprzejmie zwrócił się do pani Zosi z prośbą o połączenie telefoniczne do najbliższego schroniska w Morskim Oku. Usłyszał w odpowiedzi:

– Masz pan dzwonek, to se zadzwoń.

Stojąca za nim gawiedź ryknęła śmiechem, ale my dzięki temu dostaliśmy miejsca w dwójce, a spało tam wtedy osiem osób. Rysy i Orla Percé zostały przez nas zdobyte bez trudu.

Do dziś też pamiętam cudowny spływ kajakowy na Czarnej Hańczy w 1985 roku, zorganizowany przez Hanię, która załatwiła wypożyczenie kajaków na przystani w Suwałkach przez znajomego okulistę, którego szkoliła w Gdańsku. Spędziliśmy na wodzie dwa tygodnie, w prymitywnych warunkach, śpiąc



Hania z Anusią i Pawełkiem w Krakowie



Z Pawłem w Tatrach na Orlej Perci

w małych namiotach, przygotowując sobie jedzenie na kocherach benzynowych. Hańcza była wtedy dziką rzeką, ale jeszcze bardziej niebezpieczna, pełna bobrowych żeremi była Kamionka, do której skierowałem niebacznie swych towarzyszy. Tam na jednej z wywrotek mój kolega Tadek Jankowski zgubił trampki i gdy dotarł do celu, miał całe nogi we krwi, Hania musiała ostro interweniować z pomocą medyczną. Oczywiście winę wziąłem na siebie, chociaż był to pomysł Jurka Dąbrowskiego, który koniecznie chciał zobaczyć bobra na wolności. Tadek nie odezwał się do mnie do końca dnia ani słowem. Na szczęście potem mu przeszło, z wyprawy był zadowolony.

Teraz nasze dzieci ze swymi pociechami same podróżują po Polsce. To już jest nowoczesny kraj. Wszystkie rezerwacje załatwiają bez trudu w internecie, nie ma kłopotu z transportem i aprowizacją. Z tych wypraw dostaję pełne optymizmu sprawozdania i piękne fotografie. Oglądam je z sentymentem na ekranie telewizora i przypominam sobie swoje dawne perypetie. Cieszę się, że moje wnuki zanim ruszą w świat daleki, poznają swój kraj ojczysty.

Dookoła Europy

Podróże po kraju były pasjonujące, ale cały czas kusiły mnie niedostępne wyjazdy za granicę. Po wojnie komuniści prowadzili bardzo restrykcyjną politykę paszportową. Ubek, mieszkający blisko na Łąkowej, często powtarzał:

– *Nie nužno po gorodam mira jezdit, tolko gazety czytać.*

Dopiero po pięćdziesiątym szóstym roku, gdy nieco zelżało, zaczęto organizować zbiorowe wyjazdy do krajów socjalistycznych. Blokada jednak dalej dotyczyła Zachodu, co załatwiono w prosty sposób. Nie można było wywozić dolarów, a zatem trzeba było mieć tam bogatego i przy tym nietrefnego dla władzy ludowej sponsora, który zapewnić musiał wyjeżdżającemu wikt i opierunek.

Ojciec zaskoczył nas informacją w 1960 roku, że planuje podróż samochodem dookoła Europy. Postanowił odwiedzić szwajcarskich przyjaciół z czasu wojennego internowania, a po drodze mieliśmy zobaczyć Berlin, Paryż, Wiedeń, Rzym. To zabrzmiało jak piękna bajka. Byłem zachwycony, zwłaszcza że w Rzymie miały się odbyć igrzyska olimpijskie. Listy do pana Simmena, u którego tato mieszkał podczas wojny, zostały przekazane przez emisariuszy. Tato, mama, siostra z mężem i ja dostaliśmy imienne zaproszenia potwierdzone u szwajcarskiego notariusza, oczywiście z gwarancją zakwaterowania, wyżywienia, ubezpieczenia, co było podstawą ubiegania się w komendzie milicji o paszporty.

W daleką podróż w stosownych konsulatach złożyliśmy podania o wizy. Oceniliśmy szczegółowo możliwości finansowe. Dla zmniejszenia kosztów postanowiliśmy po drodze zatrzymywać się u krewnych i znajomych.

Zaczęliśmy studiować stare mapy i zliczać kilometry marszruty. Sytuacja stała się dość nerwowa, gdy do wojska powołano mającego z nami jechać szwagra Józia. Niestety było to równoznaczne z jego rezygnacją. Pozostali otrzymali paszporty „już” po trzech miesiącach, a do tego zgodę na wywóz za granicę pięciu dolarów, co zaledwie starczało na toalety.

Zgoda była dla wszystkich bardzo miłą niespodzianką. Po latach odnalazłem jednak w rodzinnych archiwach, że tato za poradą znajomego milicjanta podanie o wyjazd poparł wnioskiem o leczenie nerek. Zakupiliśmy zapasy żywności, sprzęt turystyczny i prezenty dla znajomych. Nasz wartburg przeszedł dokładny przegląd, udało się nawet zamontować w nim rozkładane siedzenia, które zapewniały spanie dla czterech osób. Pomimo wzmocnionego zawieszenia i znacznie „przepompowanych” opon podłoga

auta niemal dotykała asfaltu. Wystartowaliśmy, ale jeszcze przed granicą dostaliśmy wiadomość, że z dnia na dzień zamknięto przejście do Berlina Zachodniego. Nie mogliśmy dotrzeć do znajomego lekarza, z którym wcześniej wymieniliśmy w Polsce złotówki na potrzebne w podróży marki. Nikt się nie spodziewał wówczas, że był to początek zimnej wojny i za chwilę okazały mur rozdzieli dwa państwa niemieckie na lata.

Tato zdecydował się na bezpośredni przejazd do Niemiec Zachodnich. W Getyndze miał odwiedzić profesora Martiusa, którego monografię na temat operacji ginekologicznych przetłumaczył na język polski. Do kliniki profesora zajechaliśmy wieczorem, najwięcej czasu zmitrężyliśmy na kontroli granicznej. Martiusa już nie było, na przekazanej wizytówce obok informacji o spotkaniu w szpitalu dołączony nam został folder hotelu.

Mimo zmęczenia ojciec podjął decyzję przespania się w aucie na skraju miasta. Rozłożyliśmy siedzenia, ale kiedy mieszkający obok studenci zaczęli zaglądać nam do środka, po ostrej interwencji mamy pojechaliśmy jednak do hotelu. Cena czteroosobowego apartamentu przekraczała nasze możliwości. Nie dysponowaliśmy taką sumą, nawet wliczając przemyconą przez granicę studolarówkę. Tato zamówił pokój dwuosobowy. Zaniósłem tam bagaże pań i razem z ojcem pojechaliśmy znowu szukać miejsca dla samochodu, by się w nim przespać. O dziwo, znaleźliśmy je tuż obok rynku na bezpłatnym w nocy parkingu. Dobrze się spało, ale jeszcze przed szóstą rano obudzili nas sprzątający. Poranną toaletę zrobiliśmy już w hotelu, a tato ubrawszy elegancki garnitur, poszedł na wizytę do Martiusa.



Przed pałacem Ligi Narodów w Genewie: tato, mama i Hania, 1960

Czekaliśmy na jego powrót w napięciu, kiedy niespodziewanie podjechała limuzyna, którą zawieziono nas na obiad do restauracji. Kelnerzy we frakach, nastrojowa muzyka, smaczne dania, ale niestety nie było tam przyjaznej atmosfery. Stary profesor stale powracał do swych wojennych wspomnień, mówił o trzech synach, którzy tragicznie zginęli pod Stalingradem. Nie dostałem odpowiedzi, czy pojechali tam pod przymusem. Rozmowa się nie kleiła, po minie taty wnioskowałem, że nie pozyskał żadnych dodatkowych zleceń ani też funduszy. Wróciliśmy z powrotem do hotelu, na szczęście w pobliskim lombardzie udało się sprzedać złoty pierścionek z brylancikiem. Cena nie satysfakcjonowała, bo szlif kamienia był niemodny, ale otrzymaliśmy pieniądze na dalszą drogę.

Kolejny postój był w Dortmundzie. Na przedmieściach miasta czekał na nas pan Jaroszek, wuj Józia, właściciel małej knajpki. W Zagłębiu Ruhry przebywał od ukończenia wojny. Zmartwił się informacją, że nie ma wśród nas siostrzeńca, był za to doskonale zorientowany w naszych trudnościach dewizowych. Skończyły się zatem kłopoty z jedzeniem, zakwaterowaniem, mogliśmy się wykąpać. Spędziliśmy tam piękny tydzień. Wuj był naszym przewodnikiem, zwiedziliśmy razem Dortmund, Kolonię i stolicę Niemiec Bonn. Szokowały cudownie odrestaurowane starówki miast, pełne rozmachu nowoczesne budowle i gładkie jak stół autostrady.

Niespodziewanie tato w pobliskim Leverkusen za promocję leków Bayera w Polsce dostał kopertówkę. Wzmocniło to nasz skromny budżet, ale po szczegółowej kalkulacji zrezygnowaliśmy z podróży do Paryża. Pojechaliśmy prosto na południe do Szwajcarii, przez dolinę Renu Lorelei. Po drodze był jeszcze Frankfurt i wizyta u Żyda Krempy, którego w czasie okupacji ukrywał w swoim domu wuj mojej mamy Stefan Czernik. Krempa, człowiek o diabolicznym wyglądzie, z entuzjazmem pokazywał nam swoje majątkości: piętrowe hotele, restauracje i... burdele, przeznaczone dla stacjonujących tam amerykańskich żołnierzy. Nie miał dzieci, chciał, bym został i zrobił karierę w wolnym świecie. Ten świat pokazywał mi w nocy z dachu wieżowca. Czułem się jak Chrystus kuszony przez szatana na pustyni. Nie dałem się jednak. W Gdańsku czekała na mnie Hania Świciówna, którą prosiłem, by podczas mojej nieobecności kupowała „Przegląd Sportowy”...

Do Szwajcarii zawitaliśmy przed czasem. W wielkiej willi pana Simmena przebywała wtedy jego córka z dziećmi i nasz sponsor zarezerwował nam hotel w Bruggu. Oczywiście zapomniał, co nam gwarantował w zaproszeniu. Nie spodziewał się, że doktor przyjechał z Polski bez dewiz. Tato nie



Tato, Józio i dwie Hanie na przelęczy Gotthard, 1965

interweniował, nie wypadalo. Na hotel poszly dewizy z konta, ktore tato pozostawil w czasie wojny, a przeciez mogliśmy się przespaciać w namiocie we wspaniałym ogrodzie milionera.

Okazalo się przy tym, że z konta taty ukradkiem wybierala pieniądze na swe potrzeby pani Simmenowa. Przyznala się do tego z pewnymi oporami, gdyż wszystkie transakcje zostaly zanotowane w banku. Nasze przekonanie o przysłowiowej uczciwości Szwajcarów legło w gruzach. Dług zwrócono, atmosfera się jednak popsula, nasz pobyt zostal znacznie skrócony. Sytuację uratował wówczas kolega taty, doktor Biaggi, który nie tylko zapewnil nam wikt i opierunek na następane dni, ale zorganizował wycieczki do Berna, Zurychu, a na koncu dokonál wszystkim przeglądu uzębienia w swym prywatnym gabinecie.

Do Włoch dojechaliśmy przez Francję. Po drodze minęliśmy Genewę, Grenoble i zatrzymaliśmy się w Nicei, dokąd zaprosila nas spotkana w Polsce we francuskim konsulacie krewna wielkiej aktorki Heleny Modrzejewskiej. Tam znów przyjęto nas z polską gošcinnością, zwiedziliśmy francuską Riwierę, Cannes, St. Raphael. W kasynie w Monte Carlo zarobiłem w ciągu minuty równowartość swojej asystenckiej pensji, gdy podarowaną pięciodolarówkę



Wieczne Miasto, marzenie taty

postawiłem na właściwy numer w ruletce. Niestety ernerdowski wartburg po przejeździe przez trudne alpejskie trasy zaczął niedomagać. Coś stukało w zawieszeniu, wysiadł ręczny hamulec, nasza jazda stawała się coraz bardziej nerwowa. Zrezygnowaliśmy z tego powodu z odwiedzin Rzymu, głównego celu naszej eskapady.

Przemknęliśmy przez północną Italię, szybko przeskakując San Remo, Genuę, Mediolan i Weronę. Dość dokładnie zwiedziliśmy tylko Wenecję. Sukcesy Polaków na igrzyskach olimpijskich oglądałem jedynie na telewizorach, w małych knajpkach przy zamówionej obowiązkowo kawie. Jedzenie przyrządzaliśmy sami na campingach, ale stale byłem głodny.

Następnym etapem była Austria, tam w Grazu czekał na nas wuj Romek Czernik. U niego wreszcie mogłem się najeść do syta, ale więcej było rozmów o polityce niż zwiedzania.

Wartburg poszedł do naprawy. Znaczne koszty remontu udało się pokryć zabranymi z kraju na prezenty kryształami. Z ulgą się pozbyliśmy tego łatwo się tłukącego i przeszkadzającego w podróży balastu.

Suweniry, które wówczas stanowiły o uzupełnieniu naszych dewiz, nieraz bywały bardzo dziwne. Do dziś pamiętam, jak wiozłem do Ameryki na zamówienie Gierka Małaczyńskiego trzepaczki do dywanów. Nie wiedziałem, po co, myślałem, że na obczyźnie całkiem zdurniał, tymczasem one były potrzebne do przegania kanadyjskich gęsi, które zatrzymywały się u niego w przelocie i niszczyły pięknie wypielęgnowany trawnik. Nie można ich było zabijać, uderzaliśmy zatem tymi trzepaczkami w gęsie kupry, aż olbrzymie stado majestatycznie wystartowało, by przenieść się do... sąsiadów.

Wiedeń zastaliśmy cały rozkopany, po wycofaniu się Sowietów ze strefy okupacyjnej usuwano zniszczenia jeszcze z czasów wojny. Zatrzymaliśmy się tam tylko w Schönbrunnie, by zobaczyć pałac cesarski, i oczywiście odwiedziliśmy wesołe miasteczko na Praterze.

Do kraju dotarliśmy po miesiącu szczęśliwi i pełni wrażeń. Wszyscy nam zazdrościli, opowieściom nie było końca. Nasze przygody dokumentowały czarno-białe fotografie wykonane zorką, radzieckim aparatem, okazjynie zresztą sprzedanym we Włoszech. Tylko tato był zawiedziony, że nie udało się dotrzeć do Rzymu.

Wyprawę do wiecznego miasta powtórzył po kilku latach. Do siostry i do mnie dołączył szwagier Józek i moja żona Świciówna. Mama miała dosyć przygód i więcej za granicę już nie chciała wyjeżdżać. Tym razem zaprosił nas do Szwajcarii syn Simmena. Podróżowaliśmy wtedy znacznie lepszym autem. Mercedes co prawda nie był nowy, ale się nie psuł. Mieliśmy też więcej pieniędzy, bo można było oficjalnie zakupić na osobę sto pięćdziesiąt dolarów, a do tego tato dołożył swoje ostatnie zaskórniaki z helweckiego banku. To nie były duże sumy, ale dzięki temu udało się nam zwiedzić wiele ciekawych miejsc szczególnie we Włoszech, a tato wreszcie zobaczył Rzym, swe marzenie lat dziecińczych.

Minęło niemal trzydzieści lat, gdy postanowiłem pójść śladami ojca i powtórzyć podróż dookoła Europy, tym razem z moją rodziną. Znów Rzym był miastem docelowym. Tam od dziesięciu lat rezydował nasz papież. W planie był Paryż, gdzie szykowano się do obchodów dwustulecia rewolucji. Po obradach Okrągłego Stołu i wyborach w 1989 roku nie wymagano już obligatoryjnie zaproszeń, znacznie łatwiej można było otrzymać paszport i wizy. Polska złotówka dalej była niewymienialna, ale wreszcie można było wywieźć za granicę wystarczającą sumę dolarów. Paweł i Ania propozycją byli zachwyceni. Małżonka, przewidując trudności, z wyjazdu niestety zrezygnowała. Była wcześniej w Rzymie u papieża z pielgrzymką służby zdrowia. Załatwiła nam wówczas lokum u swej przyjaciółki Iwony Czekaj, przebywającej tam z mężem zatrudnionym na kontrakcie FAO. Za Hanię pojechała Emilka Przelaskowska, szkolna koleżanka Ani i kuzynka Iwony.

Jak dawniej ojciec, precyzyjnie oceniałem finanse i zaplanowałem szczegółowo marszrutę. Dla oszczędności znów podróż postanowiłem



Z Anią i Emilką we Florencji, 1989

zrealizować, opierając się na znajomych, w większości kolegów z boiska, którzy wyemigrowali za granicę. Było to łatwiejsze do przeprowadzenia, gdyż oni często przyjeżdżali do Gdańska, a telefony działały sprawnie w obie strony. Znów też fiat 125, nasze podrózne auto, załadowany został do granic możliwości żywnością, sprzętem turystycznym i prezentami.

Ruszyliśmy w drogę w odwrotnej kolejności niż poprzednio, przez Czechy, Austrię do Włoch, by powrócić do Polski przez Szwajcarię, Francję, Niemcy. Zaczęliśmy od Wiednia, gdzie ugościł nas mój przyjaciel Andrzej Lech. Z przewodnikiem w rękę przez kilka dni rano ruszaliśmy podmiejską kolejką, by zwiedzać miasto. Pałace, muzea i na końcu znów wesołe miasteczko na Praterze. Gdy zmęczeni wracaliśmy do domu, czekała nas kąpiel, a dzieci wycierały się z zadowoleniem „olimpijskimi” ręcznikami pana Andrzeja. Wieczorami przy kolacji

przygotowanej przez Marylkę, panią domu, rozmowy nie miały końca. Snuiliśmy optymistyczne prognozy na temat naszej przyszłości i losów ojczyzny.

Potem był skok przez Alpy Julijskie do Włoch, z krótkim pobytem u Staszka Stróżyka w Villach. Dotarliśmy nad Adriatyk przez Triest, zwiedziliśmy Wenecję. Większe fundusze i znacznie lepsze namioty pozwalały wykorzystać urok nadmorskich campingów. Do Rzymu, do państwa Czekajów dojechaliśmy w dobrej formie. Iwona i Daniel byli mocno zaabsorbowani pracą, ale czekała na nas ich córka Ania, niegdyś moja narciarska uczennica. Ona została naszą przewodniczką i metodycznie oprowadzała nas po Wiecznym Mieście. Forum Romanum, Koloseum, zaliczyliśmy cztery słynne bazyliki. Byliśmy też u Papy w Castel Gandolfo.

W dalszą podróż do Asyżu, Monte Cassino i Neapolu pojechaliśmy już sami. Podobnie jak trzydzieści lat temu i tym razem popsulo się nasze auto. Polski fiat w wysokiej temperaturze miał kłopoty z holowaniem przyczepy campingowej, którą odkupiłem od Daniela w Rzymie. Na szczęście naprawa nie uszczupliła zbytnio naszej kasy i po trudach zwiedzania stać nas było nawet na świetne włoskie *gelati*.

Potem była Florencja, Mediolan i przejazd do Szwajcarii. Zaplanowaliśmy turę przez tunel pod przełęczą St. Gottharda, by nie pchać się naszym obciążonym samochodem przez Alpy. Na granicy szwajcarskiej zatrzymał nas wówczas urzędnik, który zakwestionował brak wizy u Ani. W ambasadzie powiedzieli mi, że wiza dla dzieci do lat szesnastu jest niepotrzebna, co on też potwierdził w swych dokumentach, ale w jego spisie nie figurował taki kraj, jak Polska. Bezczelnie kazał zawrócić i jechać przez Austrię. Moje argumenty zbywał, nie pozwolił zadzwonić do ambasady. Sytuacja robiła się dramatyczna. W takich wypadkach modłę się do świętego Antoniego, co zwykle pomaga. Tak było i tym razem – po godzinie na granicę podjechał elegancki bentley z numerami korpusu dyplomatycznego. Podbiegłem do prowadzącego Szwajcara, wyjaśniłem swój problem i pokazałem legitymację eksperta UNIDO. Ostro zainteresował. Po chwili z granicznego budynku wyszedł nasz prześladowca i burknął:

– *Fahren.*

Przeprosiła nas za niego wtedy żona spotkanego dyplomaty, która właśnie wracała z Warszawy. Była zachwycona przemianami Solidarności.

W Lucernie czekał na nas Jurek Nowak. Obawiałem się nieco, jak nas przyjmie – na boisku był moim przeciwnikiem, grał przeciw w Wybrzeżu. Za granicą jednak graliśmy w tej samej drużynie, jego gościnny dom był dla nas szeroko otwarty. Ale i on, obywatel szwajcarski, miał z nami problemy, długo musiał przekonywać swego Hausmeistra, by wpuścił nasze auto na bezpłatny osiedlowy parking. Zrobiliśmy kilka wycieczek po mieście i z kraju nie bardzo życzliwego obcym postanowiliśmy wyjechać szybciej.

Na granicy z Niemiecką Republiką Federalną zameldowaliśmy się sześć godzin przed uprawomocnieniem naszych wiz. Niemcy oczywiście nas nie wpuścili, kazali czekać w pasie granicznym.

– *Ordung muss sein* – powiedział z ironią odpowiedzialny za wjazd urzędnik.

Ku jego zdumieniu podjąłem wtedy decyzję przespania się w przyczepie na granicy, na tej ziemi niczyjej. Do Szwajcarów nie mogliśmy już wrócić.

W dalszą drogę mimo ponagieł pograniczników ruszyliśmy po śniadaniu. Dziewczyny podziękowały za darmowy camping i toaletę. W Niemczech na naszej trasie figurował Frankfurt nad Menem. Znany Żyd Krempa niestety już nie żył. Do pobliskiego Aschaffenburga zaprosił nas Piotruś Goralski, nie tylko kolega z boiska, ale i najbliższy sąsiad z Krętej. Dopiero zaczynał swą emigracyjną przygodę, nie mogliśmy się pomieścić w jego malutkim mieszkanku, do spania trzeba było znowu wykorzystać przyczepę. Na Piotra najbardziej liczył mój syn Paweł, gdyż w Gdańsku obiecał mu wyjazd do Paryża na koncert Jean-Michaela Jarre'a organizowany w dwieście lat po zdobyciu Bastylli. Wyjazd okazał się jednak mrzonką, co przyjąłem z finansowym zadowoleniem, ale Paweł do końca podróży nie krył swego rozczarowania.

Po drodze do Polski, w Hanowerze odwiedziliśmy jeszcze Tadzika Świcę, stryjecznego brata Hani. Tadek zrezygnował z prowadzenia warsztatu samochodowego we Wrocławiu i do Reichu prysnął jeszcze w stanie wojennym. Na obczyźnie musiał się przekwalifikować. Został kafelkarzem, ciężko harował, by zapewnić byt licznej rodzinie. Z pewną obawą zabraliśmy wówczas ze sobą do Polski jego nieletniego syna w odwiedziny do babci. Na granicy niemieckiej znów było niespokojnie, w obozie radzieckim zaczynała się pierestrojka i Enerdowcy gremialnie zaczęli opuszczać swój kraj. Z przejazdem nie mieliśmy jednak żadnych problemów, wzmożona kontrola dotyczyła aut, które opuszczały Niemiecką Republikę Demokratyczną, a nie tych, które tam wjeżdżały. Ostatni raz mogłem zobaczyć osławioną granicę między Wschodem a Zachodem, oświetloną, z drutem kolczastym i wzmocnionymi szlabanami. Mur, który powstawał tam, gdy wjeżdżałem onegdaj z tatą, wkrótce po naszym odjeździe został obalony. Myślę, że na zawsze.

Do Polski wróciliśmy szczęśliwi i pełni wrażeń. Przekonałem się, że nie wystarczy czytać gazety. Miasta, państwa i ludzi należy poznawać osobiście. Przy powitaniu żony, z satysfakcją usłyszałem głos dzieci:

– Mamo, wszędzie było dobrze, ale w naszym domu jest najlepiej.

Znowu na ziemi lwowskiej

Tato już po sześćdziesiątce stale powtarzał, że chciałby jeszcze przed śmiercią odwiedzić Lwów i rodzinne strony, które opuścił w 1939 roku. Biały dom



Lwów – widok na Stare Miasto

w Rożdżałowie i malowniczy ogród śnił mu się coraz częściej. Była zima 1972 roku, wyjazdy na Kresy nie były łatwe, wymagały pozyskania rosyjskiej wizy, przyznawanej na imienne zaproszenie od ludzi tam mieszkających. We Lwowie nie mieliśmy już nikogo, ale na wsi żył jeszcze wuj taty Roman Kowal, spowinowacony z Pawlukami, rodziną babci. Kontakt nawiązano drogą korespondencyjną, przesłaliśmy nasze dane potwierdzone w urzędzie miasta.

Tato, który chciał mi koniecznie pokazać ojcowiznę, postanowił jechać samochodem. Razem z nami zdecydowały się jechać do Lwowa mama i ciocia Musia. Na „wyzyw”, który był podstawą ubiegania się o wkładkę paszportową, czekaliśmy ponad miesiąc. Niestety przyszły tylko trzy zaproszenia. Wuj Kowal zawiadomił tatę, pięknie kaligrafując list, że po wypadkach grudniowych wszystkim młodym z Gdańska, Szczecina i Elbląga wjazd na ziemię lwowską jest zakazany. Ojciec odpisał szybko, że beze mnie nie pojedzie. Znów czekaliśmy dobry miesiąc, ale ku zaskoczeniu i do mnie dotarł wyzyw, tym razem z Czerwonogrodu. Tam na północ od Lwowa,

w miasteczku, który Polska straciła po przeprowadzonej w 1951 roku regulacji granic, pracował w kopalni węgla krewny Pawluków.

Z końcem sierpnia byliśmy gotowi do drogi. Do granicy pojechaliśmy dwoma autami, tato mercedesem ze starszymi paniami, a ja wartburgiem z Hanią i malutkim Pawełkiem. Moi najbliżsi pozostali u rodziny Świców w Tomaszowie Lubelskim, a ja przesiadłem się do taty i ruszyliśmy na Kresy. Kłopoty zaczęły się już na przejściu granicznym, po stronie radzieckiej. Obciążony prezentami mercedes zawisł wówczas na obramowaniu zbiornika wypełnionego sodą, w którym odkażano wjeżdżające auta, zabezpieczając się przed „szerzącą się” w Polsce pryszczycą. Tato, aby ruszyć z miejsca, kazał nam wysiąść, ale wtedy z krzykiem otoczyli nas pogranicznicy z automatami i skierowali podejrzaną niemiecką awtomaszynę do szczegółowej kontroli. Procedura trwała godzinę, nie wiem, czego szukali, ale zaglądali lusterkami nawet do baku z benzyną. Najbardziej przerażone były mama i ciotka, które miały przy sobie zakazane w Związku Radzieckim dewocjonaalia, ale na szczęście uniknęły rewizji osobistej. Ostatecznie szef celników wydał zgodę na wjazd, zabierając beceremonialnie całą paczkę amerykańskich chesterfieldów i puszkę kawy.

Naszą wizytę zaczęliśmy od Winnik, gdzie mieszkał brat stryjenki Pauliny, greckokatolicki ksiądz Piotr Baran. Nazwę miasteczka pamiętałem dobrze z dzieciństwa. Wuj Kazek, gdy broiłem, zawsze mnie ostrzegął:

– Jak cię kopnę, to polecisz prosto do Winnik.

Teraz to było przedmieście Lwowa, na rogatkach stał kamienny lew, w którym rodzice rozpoznali rzeźbę z cmentarza Orłąt Lwowskich. Zatrzymaliśmy się tam trzy dni, by zwiedzić miasto. Lwów wyglądał fatalnie, jakby świat po wojnie się zatrzymał w miejscu, zdewastowane elewacje domów, dziurawe drogi i chodniki, pozamykane kościoły. Cmentarz Łyczakowski, jedna z najwspanialszych europejskich nekropolii, kompletnie zapuszczony, zniszczone mauzoleum Obrońców Lwowa, unicestwione katakumby Orłąt, gdzie pochowany był czternastoletni Tadzik, brat mamy. Wuj Sławek przed wyjazdem przypominał mi o wspaniałym pasażu handlowym Mikolasza, a tam zastaliśmy puste półki, brud i smród.

Zaglądnęliśmy też na ulicę Nabelaka, próbowałem zajrzeć do środka naszej willi, ale po awanturze mnie nie wpuszczono. Po tym incydencie łatwiej mi było usprawiedliwić podobne agresywne zachowanie moich ziomków w stosunku do Niemców, odwiedzających w Gdańsku swoje dawne mieszkania. Po ćwierćwieczu nie zabiłszy się rany strasznej wojny.

W parafii u księdza na Winnikach zostawiliśmy przewiezione książeczki do nabożeństwa, medaliki, różance, a w zamian wuj załadował nam dwa worki cementu. Były potrzebne do remontu domu dziadka.

Na rogatkach Lwowa zostaliśmy zatrzymani na kontrolnym punkcie Post-Gai. Milicjant sprawdził dokumenty i pozwolił nam co prawda jechać dalej do Rożdżałowa, ale już bez samochodu, na który w naszych papierach nie było niestety zaproszenia.

– *Nużno wiernut do goroda, ostawić awtomaszynu na centralnej postanowce, a na sieło pojedietie awtobusom* – oznajmił srogo.

Tato, który pierwszy raz się zetknął z radziecką władzą, nie mógł tego zrozumieć i nieudolnie próbował zmienić jego decyzję. Podziwiałem, jak mówił do niego po ukraińsku.

– *Ja tu prijechał do simiejnego sieła* – wyjaśniał, ale nic nie wskórał. Na szczęście milicjant był sam. Odciągnąłem go na bok, wręczyłem bezczelnie amerykańskie chesterfieldy i kupiony we Lwowie armeński koniak. Było po sprawie. Ściszonym głosem dodał, jak ominąć posterunek, poinformował, w którym miejscu dalsza droga jest zamknięta, bo na asfalcie suszy się zboże, i jak jechać wyznaczonym objazdem.

W Rożdżałowie czekała na nas cała wieś. Starzy ludzie dobrze pamiętali tatę, który jeszcze przed wojną leczył miejscowych. Na powitanie wyszedł nawet nasłany tu Rosjanin, szef kołchozu. Zamieszkaliśmy u najbogatszego we wsi Iwana Pawluka, wnuka babci brata. Komnaty były co prawda świeżo odmalowane, ale i tam też zatrzymał się czas. To były małe klitki z fatalnymi sanitariatami. Od zakończenia wojny we wsi zbudowano niewiele nowych domów, nie utwardzono dróg, wodę czerpano ze studni. Dla taty to nie miało znaczenia, objeżdżał cały majątek dziadka, pokazywał mi zapomniane miejsca ze swojej młodości: budynki szkolne, zrujnowane kapliczki. Poszliśmy też na cmentarz, na którym za przekazane wcześniej pieniądze odnowiono grób dziadka. Na tabliczce, oczywiście cyrylicą, wypisano nazwisko Józef Gardzilewicz.

Codziennie kto inny wyprawiał przyjęcie na naszą cześć, a my ku uciesze zebranych rozdawaliśmy nasze przywiezione prezenty: głównie odzież, kosmetyki, ale też leki. Rusini na powitanie zawsze całowali w rękę nie tylko starsze panie, ale i tatę. Rozmowy trwały od rana do wieczora, opowiadano o przeżyciach na Syberii, z której większość szczęśliwie wróciła po śmierci Stalina. Wuj Kowal z filozoficzną zadumą skonstatował:

– *Kto tam ne był, to budie; a kto był, ne zabudie.*



We wsi z okazji naszego przyjazdu odbyło się też wesele wnuczki Pawluka. Ślubu udzielił ksiądz z Winnik. Przybyło ponad sto osób, zastawiono suto stoły, przygotowano wspaniałe stroje, pięknie śpiewano przy akompaniamencie bałabajek. To było imponujące. W prezencie przekazaliśmy młodej parze złote obrączki, kupione u jubilera we Lwowie za przydzielone na wyjazd ruble. Zabawa trwała do samego rana.

Przed odjazdem tato zrobił jeszcze ostatnią rundę wokół włości dziadka. Był zamyślony i niebacznie wyskoczył na hopce remontowanego mostku. Znad maski mercedesa buchnęła para. Stanęliśmy przerażeni. Okazało się, że ścięto gumową rurkę chłodnicy, wyciekła woda i się zagotowało, strześliła także uszczelka silnika pod głowicą. Na szczęście eskortowali nas na motorach miejscowi, szybko zorganizowali pomoc i za chwilę auto wróciło do Rożdżałowa na holu za potężnym „gruzowikiem”. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy remont przeprowadzić na miejscu w małym kolchozowym warsztacie. Zająłem się tym osobiście. Tato, ku zadowoleniu mieszkańców okolicznych wsi, zaczął przyjmować chorych pacjentów w zorganizowanym przez siebie na poczekaniu gabinecie lekarskim w domu dziadka. Ja czuwałem nad remontem. W warsztacie dostępne były dość prymitywne narzędzia, ba, nie było nawet betonowej podłogi, ale miejscowi mechanicy sprawnie rozebrali silnik. Po potrzebną uszczelkę należało pojechać

do warsztatu samochodowego aż do dalekiego Czerwonogradu. Dopiero tam przypomniałem sobie, że w miejscowym urzędzie trzeba potwierdzić mój pobyt na Ukrainie. Naczelnik oddziału, przybijając na moich dokumentach *krughju pieczatku*, przypomniał, że bez potwierdzenia nie mógłbym przekroczyć granicy i na pewno nie wypuszczono by mnie do Polski. Natychmiast podobne formalności w *sowiecie* Rożdżałowa załatwili też rodzice z ciotką. Remont auta skończono po dwóch dniach. Radości było sporo, tym bardziej że nasz mercedes po wyładowaniu akumulatora startował wielokrotnie pchany przez miejscowych chłopaków. Mechanicy za usługę nie wzięli ani kopiejki, a karbowanie, pozyskane przez tatę od pacjentów, poszły na zakup nowego krzyża do rodzinnego grobu.

Na koniec odbyło się pożegnalne przyjęcie. Wszyscy dobrze popili samogonem. Pięć litrów tego trzykrotnie destylowanego napitku wiano nam na drogę do plastikowego kanistra. Rano wyruszyliśmy z powrotem do kraju, osobiście nas pobłogosławił miejscowy pop. Bez kłopotów przekroczyliśmy granicę. Tato naocznie mógł się przekonać, jak się żyje w Kraju Rad.

Szczęśliwa Trzynastka

Latem 1990 roku spotkałem na kortach Lechii eleganckiego pana, który szukał tenisowego partnera. To był Krystyn Grabowski, doktor weterynarii, jak się okazało mój nowy sąsiad z ulicy Wileńskiej. Zagraliśmy zaledwie kilkanaście razy, gdy ku memu zaskoczeniu zaproponował mi udział w atrakcyjnej wyprawie do Nepalu. Krystyn był ode mnie starszy, skończył właśnie karierę zawodową, przyjechał do Gdańska z intratnego kontraktu zagranicznego w Afryce, zaczął działać społecznie w Związku Lekarzy Weterynarii. Na Wybrzeżu znalazł wtedy grupę zapaleńców organizujących ciekawe eskapady turystyczne po świecie. Akurat wykruszył im się jeden z uczestników.

Zareagowałem z entuzjazmem, wszak to nie była zwykła wycieczka orbisowska na europejskiej trasie, a wyprawa w nieznanym mi świat.

W drogę wybierali się razem ze mną Jan i Krysia Niźnikiewiczowie, Staszek i Danka Gębscy, Adam i Ania Rozwadowscy, Andrzej i Krystyna Serwatko, Januszowie: Kubiak i Januła, Andrzej Witkowski oraz Krystyn. Głównym organizatorem był doktor Niźnikiewicz, który trasę zaplanował, opierając się na znanym na świecie przewodniku turystycznym Pascala.

Dzięki Gębskiemu, który był szefem sopockiego biura, udało się naszą wyprawę do Nepalu wciągnąć na oficjalną listę koła PTTK. Zapewniało to dostęp do różnego rodzaju preferencji i zniżek, ułatwiało pozyskanie biletów i wiz. Doktor Jan zaplanował nie tylko trekking w Himalajach, ale też zwiedzanie innych, równie ciekawych miejsc na kontynencie azjatyckim. Trzynastka była naszą szczęśliwą liczbą, wszak do wyjazdu szykowało się trzynaście osób, mieliśmy odwiedzić trzynaście krajów: Holandię, Indie, Nepal, Filipiny, Chiny, Hong Kong, Singapur, Malezję, Tajlandię, Birmę, Laos, Kambodżę i Katar, a do tego – jak się później okazało – wystartowaliśmy o godzinie trzynastej do trzynastu długich lotów. Nie wszędzie nas jednak wpuszczono, a z Hong Kongu zrezygnowaliśmy sami, ponieważ wiza kosztowała sto dolarów, a my planowaliśmy na wszystko wydać osiemset.

To była prawdziwa ekwilibrystyka, by kupić najtańsze bilety różnych linii lotniczych, zgrać wszystkie starty i lądowania z pobytami w krajach, w których trzeba było pozyskać znacznie wcześniej wiza. Wszystko ułatwiał niezmordowany doktor Jan, choć przecież komórki jeszcze nie istniały, a na międzynarodowe połączenia telefoniczne czekało się całymi godzinami.

Z Warszawy wystartowaliśmy przez Amsterdam do Dehli. Potem były Kathmandu, Bangkok, Manila, Boracay, Manila, Singapur, Kuala Lumpur, Bangkok, Dubai, Amsterdam i na końcu znów Warszawa. Informacje o anonsowanych w Pascalu kilkudolarowych noclegach w schroniskach szybko zweryfikowaliśmy. Musieliśmy oszczędzać, nie raz spaliliśmy w obskurnych, nieklimatyzowanych pomieszczeniach, często przy obecności wszelakiego rodzaju robactwa. Ale te niewygody zrekomensowały nam górskie wspinaczki i zwiedzane pałace, zamki, kościoły, meczety, świątynie i muzea. Zobaczyliśmy słynny Tadź Mahal, wystający z wnętrza jeziora wulkan Taal. Obok świątyni Złotego Buddy w Bangkoku udało się dotrzeć do dżungli malezyjskiej, muzeum poległych w wojnie Amerykanów w Manili i haszyszowych wsi na Golden Triangle.

Na Filipinach przyjął nas w swej siedzibie w Manili kardynał Jaime Sin. Dzięki jego wskazówkom dotarliśmy do wysp Boracay, które uważane są za raj na ziemi. To był absolutny fuks, ale też i osobisty sukces naszego doktora Jana, który Sina poznał w sopockim kościele. Po rewolucji różańcowej kardynał był na Filipinach praktycznie drugą osobą w państwie.

Korzystaliśmy zwykle z kursowych połączeń samolotowych, ale prze-mieszczaliśmy się też autobusami, taksówkami, rikszami, pociągami,

dużymi statkami i małymi łódkami. Wędrowaliśmy piechotą, jeździliśmy konno, a nawet na słońiach. W tej części globu byliśmy krajową forpocztą, nasi rodacy dopiero szykowali się na podbój tego nieznanego świata.

Oczywiście w naszej eskapadzie najważniejsze były Himalaje, a przede wszystkim ośmiodniowy trekking wokół góry Langtang Lirung (siedem tysięcy dziewięćset czterdzieści sześć metrów). Trekking był wtedy w Nepalu nową, uporządkowaną formą amatorskiej turystyki i źródłem dodatkowych dochodów dla rządu. Do tej wyprawy przygotowywaliśmy się specjalnie, poprawialiśmy kondycję, studiowaliśmy mapy, zaopatrzyliśmy się w konieczny sprzęt turystyczny. Wzięliśmy nawet ze sobą odpowiednio przygotowaną, wysokokaloryczną żywność, stosowaną na wyprawach przez alpinistów.

Po przylocie do Katmandu, zwiedziliśmy miasto, a po dwóch dniach wyruszyliśmy na trasę. Pamiętam, że pokonanie stu dwudziestu kilometrów trudnej górskiej drogi do Dhunche, zajęło nam dziewięć godzin. W zatłoczonym aucie część pasażerów siedziała na dachu. Do ostatniej cywilizowanej wioski zajechaliśmy późnym wieczorem. Zamel-dowaliśmy się w schronisku i udaliśmy się na posiłek do miejscowej knajpy, gdzie balowało już wielu młodych ludzi. Świętowali udane zakończenie organizowanego przez Japończyków wysokogórskiego spływu na rzece, płynącej tu na wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza. Pośród bohaterów było też kilku polskich górali, studentów krakowskiego AWF-u. Natychmiast przyłączyliśmy się do tego towarzystwa i za chwilę wszyscy śpiewali: *Szła dziewczeczka do laseczka, la, la, la, la, la, la, la*. Gdy dołączyli jeszcze Amerykanie, Niemcy i przebywający tam żołnierze izraelscy, salka pękała w szwach. Zadowolony właściciel zaserwował wszystkim gratisowo



Świątynia Tadž Mahal



zupę, a śpiewający najgłośniej doktor Jan zafasował nawet specjalne danie, co miało potem przykre następstwa.

Skoro świt zaczęliśmy wyprawę w Himalaje. Większość zdecydowała się wynająć miejscowych tragarzy. Za dolara dziennie i wyzerkę nieśli nasze wielkie plecaki, a równocześnie byli przewodnikami. Tylko najmłodszy trzydziestolatek – Januła i Kubiak – ruszyli ambitnie z pełnym rynsztunkiem. Dołączyłem do nich ochoczo, miałem przecież za sobą zdobycie Popocateputla (pięć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt sześć metrów), najwyższego wierzchołka Meksyku. Wydawać się mogło, że będzie łatwo, szlak wyglądał podobnie jak w Tatrach, tylko odległości okazały się znacznie większe. Bez koniecznej tu aklimatyzacji dostaliśmy mocno w kość. Chociaż byłem w świetnej kondycji, dopadło i mnie zmęczenie. Gdy przystanąłem na dłuższą chwilę, usłyszałem głos idącego za mną, nieobciążonego Krystka:

– Może ci ponieść plecak?

Krótko trwało moje wahanie, a on starszy ode mnie dziesięć lat, dźwigając już mój ciężar, skomentował to ze śmiechem:

– Gardziel, sześćdziesięciolatek wie, na co go stać, a młodszym górnarzom wydaje się, że wszystkiemu podołają.

Tam, wysoko w górach, pozyskałem jednego z najbliższych mi przyjaciół.

Na wspinaczkę podzieliliśmy się na kilka grup. Droga do schroniska Langtang zajęła nam prawie dziesięć godzin, a tam w kurnej chacie czekało na wszystkich jedno wspólne wyro, naszą łazienką był przepływający obok

lodowaty strumień. Dziewczyny były załamane, w nowym obuwiu otarły delikatne stopy. Na szczęście zabrane maszynki spirytusowe pozwoliły zagotować wodę na herbatę. Doktor Jan, który dowłókł się ostatni, miał potężną biegunkę, w nocy nie przespał ani chwili. W Gdańsku sam nas przestrzegał, by w trakcie wspinaczki nie jeść niesprawdzonych potraw. Rano podjął decyzję powrotu z żoną do Katmandu, ale pozostali wyprawy nie przzerwali i ruszyli dalej...

Dość szybko dotarliśmy do posterunku w Tridevi Marg (trzy tysiące metrów) i po zapłaceniu dziesięciu dolarów weszliśmy do parku narodowego. Temperatura wyraźnie się obniżyła, w nocy był mróz. Urzędnik przybijający pieczątki w naszych pozwoleniach pracował w zimowej czapce i w rękawiczkach. Postanowiliśmy się rozdzielić na dwie grupy. Większość zdecydowała się zrobić wtedy tylko łatwiejszy krąg, sięgający ostatniego osiedla szerpów w Kjanjin (trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt metrów).

Najlepsi trzej, ci z plecakami, ruszyli na szczyt Nya Khang (pięć tysięcy osiemset czterdzieści cztery metry). Byłem wśród nich, ale czasu pozostało niewiele, dlatego tempo podkręcał stale najsilniejszy Januła. Pierwszy nie wytrzymał Kubuś, którego na wysokości czterech tysięcy metrów dopadła niemoc choroby wysokościowej. Stracił orientację, a odzyskał ją dopiero, gdy odprowadziłem go do osiedla poniżej. Umówiliśmy się z Janułą, że pozyskam tragarza, by go szybko dogonić. Niestety to się nie powiodło, on na mnie nie zaczął.

Ze swoim nowym przewodnikiem, którego cena była pięciokrotnie wyższa niż na dole, dotarłem do pierwszego śniegu na przełęczy Tilmana (ponad pięć tysięcy metrów). Było to miejsce, gdzie zwykle himalaiści zakładają swój pierwszy obóz w drodze na Langtang. Przede mną roztaczał się przepiękny widok na Annapurnę, ale do szczytu było dość daleko. Po konsultacji z szerpą postanowiłem zakończyć swoją wspinaczkę. Do zmroku biegliśmy szybko w dół, by zdążyć na nocleg, który mój przewodnik przewidział w swojej chatce. Na progu witała nas jego żona z czwórką dzieci. Dostałem oddzielną klitkę, pod dziurawą podłogą legowisko miał dorosły jak.

W nocy długo nie mogłem zasnąć. Wydawało się mi, że zbyt pochopnie rozstawiliśmy się na trasie. Ostro śmierdziało stojące poniżej udomowione zwierzę, a do tego jeszcze zmarzłem, chociaż spałem w dresie. Rano czekało mnie wspólne śniadanie z domownikami. Dzieci poczęstowałem wedlowską czekoladą, zdziwiły się, że była gorzka. Nie było dużo czasu i biegliśmy dalej



w dół doliny. Podziwiałem siłę i sprawność malutkiego szperpy, który przecież dźwigał mój ciężki plecak. Zmartwiłem się, gdy w kamiennym osiedlu nie zastałem Kubusia. Późnym wieczorem, zgodnie z planem dopadliśmy grupę, szykującą się do snu, Kubuś na szczęście był z nimi.

Moi towarzysze dobrze znali Janułę, nie zdziwili się zatem jego brakiem i następnego dnia zdecydowali wracać bez niego. Czas naglił. Mieli rację, Januła dopadł nas wieczorem, przyjęliśmy jego powrót wybuchem radości. Został bohaterem naszej himalajskiej wprawy, tylko on zdobył Nya Khang. Dzięki niemu nasza wspinaczka zakończyła się pełnym sukcesem, co pozwoliło wszystkim zapomnieć o błędach i niepowodzeniach.

Krystek, który kończył wtedy sześćdziesiąt lat zaprosił mnie w Katmandu na swoje urodziny do uroczej knajpki u Hindusa. Było wspaniale, dania serwował młody kelner. Zwróciliśmy mu niebacznie uwagę, że zamiast jagnięciny podał nam mięso wołowe, za co otrzymał reprimendę szefa. Następnego dnia, już na zakończenie pobytu poszliśmy tam całą zgrają. Toasty piliśmy za Krystka, ale przede wszystkim za powrót do zdrowia doktora Jana. Obsługiwał nas z dziwnym uśmieszkiem ten sam kelner... Tym razem ja z Krystkiem przekonaliśmy się, jak straszną moc mają nepalskie zioła. Dopiero w hotelu zrozumieliśmy, co znaczył ten uśmieszek. Wywracało nas obu na dwie strony i to równocześnie przez parę godzin, w nocy musiałem korzystać z drugiej ubikacji na korytarzu. To była jego cicha zemsta, wiedział przecież od nas, że wylatywaliśmy z Katmandu bardzo wcześnie rano.

Doktor Niżnikiewicz udanie się nam zrewanżował za życzenia i zgotował nam niespodziankę w Złotym Trójkącie na granicy Tajlandii, Birmy i Laosu. W tym centrum nielegalnego światowego handlu zdobył wcześniej adres licencjonowanego sprzedawcy, u którego można było tanio kupić szmaragdy i brylanciki na cenione pierścionki zwane markizami. Dostaliśmy papiery gwarancyjne, doktor osobiście oglądał szlachetne kamienie pod lupą. Wręczyłem je Hani w prezencie na dwudziestą piątą rocznicę naszego ślubu. Przeleżały w schowku kilka lat, do czasu, gdy wyleczony przez małżonkę jubiler zaproponował jej zrobienie pierścionka, obiecaną jej pięknej markizy. Przekazałem mu monetę – „świnkę” i drogocenne kamienie. Wrócił następnego dnia, by zawiadomić mnie, że złoto w porządku, ale kamienie niestety są fałszywe. Szybko powiadomiłem kolegów, nie byli zdziwieni, oszustwo wykryli wcześniej, stwierdził to także z zażenowaniem doktor Jan. Dlaczego mi jednak wcześniej o tym nie powiedzieli?

Uczestnicy wysokogórskiej wyprawy spotykali się coraz rzadziej, ale długo jeszcze żyli wspomnieniami. Kiedy odwiedziłem w Warszawie inżyniera Adama Rozwadowskiego, by zobaczyć zbudowany przez niego pierwszy w Polsce prywatny szpital, dostałem w prezencie kilometry taśm wideo, które osobiście nakręcił naszej Szczęśliwej Trzynastce w trakcie eskapady. Pod tym tytułem udało mi się zmontować w gdańskiej telewizji film.

Teraz z nieukrywaną dumą pokazuję go swoim wnukom.

Wojaż z Wojazerem

Po 1989 roku zmiany w Polsce następowały szybko. Po latach niebytu dołączaliśmy do bogatych krajów Unii Europejskiej, złotówka zyskiwała na wartości, można ją było wymieniać na dewizy. Wyjazdy za granicę przestały być już karkołomnym przedsięwzięciem. Wycieczki organizowane przez państwowe przedsiębiorstwa napotkały wreszcie konkurencję. Jak grzyby po deszczu powstawały prywatne biura turystyczne, oferujące atrakcyjne usługi. Te największe gwarantowały przy tym niskie ceny, wynikające z beneficji pozyskanych od przewoźników i właścicieli hoteli. Wszystko z pozoru wyglądało pięknie, ale na proponowanych masówkach nie zawsze sprawdzała się anonimowa obsługa klientów, wiele zastrzeżeń dotyczyło także atmosfery panującej wśród przypadkowych uczestników, co sprawdziłem osobiście.



Z ciotką Grażyną Roman na zamku
w Zbarażu

I wtedy dość przypadkowo otrzymałem od państwa Mizgierów propozycję wyjazdu wraz z małżonką do Izraela. Organizatorem był Adam Pelc – znany mi gdański przewodnik, który porzucił zawód inżyniera i założył biuro turystyczne Wojażer. Teraz on oferował wycieczki już nie tylko po mieście, ale po krajach całego świata. Były to jego autorskie pomysły, skierowane do grona znajomych, wojaże dobrze rozeznane i przemyślane w każdym najdrobniejszym szczególe.

Izrael chciałem odwiedzić od dawna, ale w latach dziewięćdziesiątych niewiele biur ryzykowało wycieczki w ten niespokojny zakątek świata, a odwiedziny indywidualne były praktycznie nie do zrealizowania. Wyprawą byliśmy zachwyceni. W miejscach, gdzie przed laty nauczał Jezus Chrystus, słuchaliśmy Adasia, czytającego Nowy Testament. Naszą bazą wypadową był dom zakonny siostr Elżbietanek w Jerozolimie. Zwiedziliśmy wszystko, co było warte zobaczenia.

Od tego czasu korzystałem z usług firmy wielokrotnie, bo nieco wyższe ceny wycieczek rekompensowały zawsze świetna organizacja, szeroka gama wyboru zwiedzania ciekawych miejsc, wreszcie poziom współtowarzyszy.

Z Wojażerem objechałem kawał świata – Europę, Południową Amerykę, Afrykę, Azję. Bez mitręgi załatwiania formalności, w dogodnym okresie, przy dobrej pogodzie, z bliskimi przyjaciółmi. To dzięki Wojażerowi bliżej poznałem rodziny tych z dalekich kresów i z centralnej Polski: Jasińskich, Niesłuchowskich, Kaniów, Szembergów, Pellegrinich, Ortyńskich, Romanów, Łukuciów, Kamińskich, Bojanowiczów, Karziewiczów, Welizarowiczów. Na tych wojażach z Wojażerem niektóre rodziny nawet się kojarzyły, że wspomnę szczęśliwy mariaż Bogusi Karolak i Krystka Grabowskiego.

Moja żona Hania, która preferuje krótsze eskapady po kraju, co najwyżej po Europie, do Wojażera przekonała też swoją kuzynkę Barbarę Bielicką. I Basieńka jeździ z nim teraz z nas najczęściej.

Właściciele Wojażera, państwo Pelcowie, prowadzący większość wycieczek, ustalając program, zawsze biorą pod uwagę marzenia i sugestie uczestników. Tak było między innymi na wyprawach po Kresach, które wielu traktowało jako swoistą pielgrzymkę do miejsc utraconego dzieciństwa. Wówczas po drobnej korekcie planów uczestnicy mogli z bliska zobaczyć swoje stare domy, powrócić na chwilę do dawnych majątków, odnaleźć rodzinne groby. W towarzystwie młodszego pokolenia zwiedziliśmy nie tylko Lwów, Wilno, Grodno, ale i Żółkiew, Stanisławów, Kołomyję, Czortków, Krzemieniec, Zbaraż, Lidę, Pińsk, Nowogródek, Troki. Cudowne miasteczka, które wrosły w naszą psychikę mnogością więzów historycznych, żywych do tej pory w naszej kulturze, poezji, przekazywanych z pokolenia na pokolenie w pieśniach.

Tak było też w Brazylii, gdzie Adaś – wychodząc naprzeciw naszym życzeniom – zorganizował wyprawę do środka dżungli amazońskiej, by chytać groźne, na nasze szczęście młode, kajmany, łowić niebezpieczne dla ludzi mięsożerne piranie. Tam też razem z żoną Basią załatwił grupie udział w występach zespołów folklorystycznych, które każdego roku prowadzą wspaniałe parady karnawałowe w Rio de Janeiro.



Adam Pelc
zaakceptował
zmianę programu
wycieczki



Na scenie w Rio de Janeiro

Tak było w Argentynie, gdy na żądanie sopockiego miłośnika tańca, doktora Vossa, niektórzy z nas wzięli udział w kursie nauki tanga, a inni wsiadali na konie, by galopować z gauchami po rozległych przestrzeniach pampasów.

Tak było wreszcie w Kenii, gdzie mimo ulewy oraz fatalnej pogody nie przerwaliśmy wcześniej zaplanowanego safari, a na życzenie miłośników Hemingwaya spaliśmy pod Kilimandżaro, w hotelu, w którym ten wielki pisarz opisywał swe życiowe przygody.

Wojáže z Wojazerem wspominam, bo właśnie na wycieczce po dawnych Kresach zacząłem spisywać *Gardzielowe fidrygałki*. Te dykteryjki opowiadałem współtowarzyszom na prośbę Basi Pelcowej, a po mnie do autobusowego mikrofonu ruszyli następní. Wszystkie historie zebrała i zredagowała wówczas ze swoją córką Dorotką nauczycielka Stasia Dymecka w *Pamiętniku odszukanym na Kresach*. Między innymi przeniosły one tam na papier opowiadkę o moich czapczkach. Pięknie się w nich czyta, jak wilniuczka Joasia Tylewska, nie mając już w pugilaresie pieniędzy, położyła na tacę, podczas zbiórki na remont kościoła w Zbarażu, krucyfiks. Kupiła



go chwilę wcześniej w antykwariacie i jeszcze nie zdążyła się nim nacieszyć. Czytelnika wzrusza zapisane przez nie zdarzenie, jak na przyjęciu w Skale Podolskiej, w zniszczonym pałacu hrabiny Lanckorońskiej, usłyszeliśmy od zwabionego naszym śpiewem pastucha kóz Josipa wiersz, którego on nauczył się jeszcze przed wojną:

Wszystko to bagatelka,
lecz żyć w zgodzie to sztuka wielka.

W starych ruinach powtarzaliśmy te słowa wiele razy, bo ich prostota brzmiała jak memento dla nas wszystkich, szczególnie na tamtej, zbroczonej krwią ziemi.

Rain Man

Od zarania byłem zafascynowany liczeniem. Już jako małe dziecko liczyłem szybko i wszystko, co tylko dało się policzyć: ptaki na dachu, drzewa w lesie, wagony z węglem. Dlatego też nie miałem potem kłopotów z trudną dla innych nauką matematyki.

Gdy dorosłem, mój nawyk pozostał i dalej, kiedy tylko to było możliwe, powracałem do prostego liczenia. Dla przykładu tę umiejętność



wykorzystałem przy graniu w brydża, przy analizach niektórych zadań technicznych, w statystyce sportowej, medycznej, a nawet dla oceny liczby uczestników manifestacji solidarnościowych, które określałem na użytek opozycji w stanie wojennym.

Moja żona tę moją fiksację toleruje z humorem. Nazywa mnie czasem Rain Manem, mając na myśli znakomity film z Dustinem Hoffmanem w roli głównej, pod tym samym tytułem. Tyle że Rain Man rachował, bo cierpiał na autyzm, a ja liczę po prostu z ciekawości i dla uporządkowania swoich przemyśleń.

W moich starych kajetach, a teraz i w komputerze można znaleźć dla przykładu: listy wszystkich wykonanych przeze mnie prac naukowych, napisanych artykułów, zarobionych pieniędzy, rozegranych meczy, strzelonych goli w ekstraklasie piłki ręcznej, kupionych samochodów oraz przejechanych w nich kilometrów.

Gdy opisywałem w tym rozdziale swoje podróże, oczywiście natrafiłem w notatkach na zapis dotyczący wyjazdów zagranicznych. W ciągu siedemdziesięciu pięciu lat uzbierało się ich w sumie sto trzydzieści pięć, co zajęło mi z górą trzy lata. Przebywałem fizycznie na wszystkich kontynentach, za wyjątkiem lodowej Antarktydy. W sumie odwiedziłem ponad siedemdziesiąt pięć krajów, w niektórych byłem wielokrotnie. Te kraje w kolejności alfabetycznej podaję tu dla porządku: Abchazja, Albania, Argentyna, Armenia, Australia, Austria, Białoruś, Belgia, Birma, Bośnia i Hercegowina,



Na drugim końcu świata przed operą w Sydney

Brazylia, Bułgaria, Chiny, Chorwacja, Cypr, Cypr Turecki, Czarnogóra, Czechy, Dania, Dominikana, Egipt, Estonia, Filipiny, Finlandia, Francja, Gibraltar, Grecja, Gruzja, Gwadelupa, Hiszpania, Holandia, Indie, Izrael, Japonia, Kanada, Kenia, Lichtenstein, Litwa, Luksemburg, Łotwa, Malezja, Malta, Maroko, Martynika, Meksyk, Mołdawia, Monaco, Nepal, Niemcy, Norwegia, Osetia, Palestyna, Państwo Kawalerów Maltańskich, Polska, Portugalia, Rosja, Rumunia, Rwanda, Sahara Zachodnia, San Marino, Serbia, Singapur, Słowacja, Słowenia, Stany Zjednoczone, Szwajcaria, Szwecja, Tajlandia, Tanzania, Turcja, Uganda, Ukraina, Urugwaj, Wenezuela, Węgry, Wielka Brytania, Włochy, Zimbabwe, Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Lista jest wciąż niezamknięta, może jeszcze dociągnę do setki, chociaż jeśli dopisałbym tu kraje, które widziałem z okien samolotu, to setka już dawno pękła.

Zamiast epilogu

W przeddzień ukończenia siedemdziesiątych piątych urodzin odwiedzili mnie najbliżsi współpracownicy: Jurek Głuch, Mariusz Szymaniak, Wicek Uziębło i Danka Kruszewska. Dostałem kwiaty i dobrą whisky, ale przyjaciele przywieźli mi też w prezencie swoistą niespodziankę: modlitwę świętego Tomasza z Akwinu, której najcelniejsze fragmenty przytaczam poniżej:

„Panie, Ty wiesz lepiej aniżeli ja sam, że starzeję się i pewnego dnia będę stary. Zachowaj mnie od zgubnego nawyku mniemania, że muszę coś powiedzieć na każdy temat i przy każdej okazji. Odbierz mi chęć prostowania każdemu jego ścieżek.

Uczyni mnie poważnym, lecz nie ponurym, czynnym, lecz nie narzucającym się. Szkoda mi nie spożytkować wielkich zasobów mądrości, jakie posiadam, ale Ty, Panie, wiesz, że chciałbym zachować do końca paru przyjaciół.

Wyzwól mój umysł od niekończącego brnięcia w szczegóły i dodaj mi skrzydeł, bym w lot przechodził do rzeczy.

Nie śmiem Cię prosić o lepszą pamięć, ale proszę Cię o większą pokorę i mniej zachwianą pewność, gdy moje wspomnienia wydają się sprzeczne z cudzymi. Użyj mi poczucia, że czasem mogę się mylić.

Zachowaj mnie miłym dla ludzi, choć z niektórymi z nich doprawdy trudno wytrzymać. Nie chcę być święty, ale zgryźliwi starcy to jedno z osiągnięć szatana.

Daj mi zdolność dostrzegania dobrych rzeczy w nieoczekiwanych miejscach i niespodziewanych zalet w ludziach. Daj, Panie, łaskę mówienia im o tym (...).”

Złośliwcy wiedzieli, że kończę pisać *Fidrygalki*, wiedzieli także, że chociaż święty Tomasz nie znał mnie osobiście, to w tej modlitwie przemówił bezpośrednio do mnie. Przeczytałem ją uważnie, rzeczywiście muszę ograniczyć swoje mocne ego, które kiedy jestem starszy, może stać się denerwujące dla bliźnich. Wniosłem przeto do swych planów poprawki, teraz próbuję je zastosować w życiu. Coraz częściej bowiem dochodzi do mnie powtarzane przez małżonkę ostrzeżenie, autorstwa chyba Wojciecha Młynarskiego:

„Żeby wiedzieć, kiedy w szatni płaszcz pozostał przedostatni i wyjść”.

Spis rzeczy

TYTUŁEM WSTĘPU *Dariusz Szreter*

4

OD AUTORA

6

WE LWOWIE

9

LATA SZKOLNE

24

NA POLITECHNICE

45

SPORTOWE HOBBY

60

MOI NAJBLIŻSI

93

W INSTYTUCIE

131

SĄSIEDZI

181

MOJE PODRÓŻE

224

ZAMIAST EPILOGU

254



100-lecie urodzin Wandy i Piotra (1909-2009)



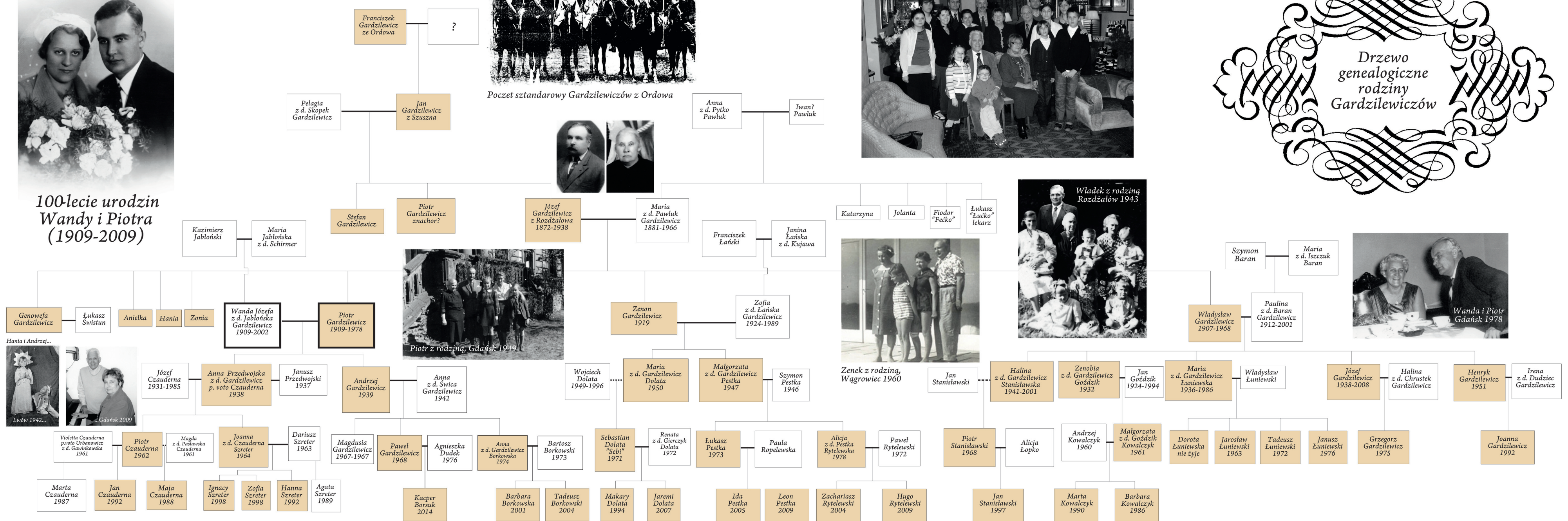
Poczet sztandarowy Gardzilewiczów z Ordowa



Gardzilewiczowie w Gdańsku 2009



Drzewo genealogiczne rodziny Gardzilewiczów





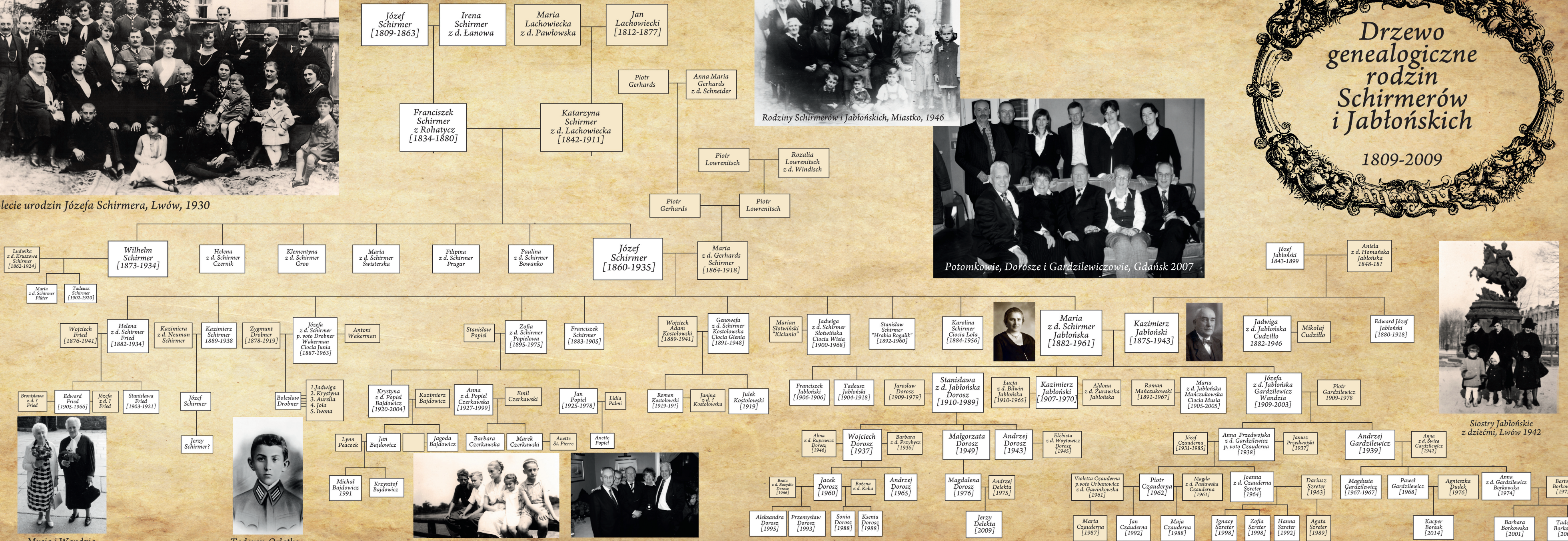
70-lecie urodzin Józefa Schirmera, Lwów, 1930



Rodziny Schirmerów i Jabłońskich, Miastko, 1946



Potomkowie, Dorosze i Gardzilewiczowie, Gdańsk 2007



Musia i Wandzia, Gdańsk 2000



Tadeusz, Orlątko Lwowskie. 1918



Rodzeństwo, Gdańsk, 1953...



...po latach, Gdańsk, 2009



Siostry Jabłońskie z dziećmi, Lwów 1942



Oficyna Gdańska jest projektem Fundacji Gdańskiej.

Jest to miejskie wydawnictwo *non profit* integrujące lokalną społeczność, budujące tożsamość kulturową współczesnego Gdańska i promujące czytelność.

Oficyna Gdańska została założona w 2013 roku z inicjatywy Andrzeja Ubertowskiego i Cezarego Windorbskiego przy wsparciu Prezydenta Miasta Gdańska.

Oficyna Gdańska jest partnerem projektu KARTA DO KULTURY realizowanego przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego.

Patronem medialnym Oficyny Gdańskiej jest Radio Gdańsk.

Partnerem Oficyny Gdańskiej jest
Gdańska Infrastruktura Wodociągowo-Kanalizacyjna.



SPONSORZY PUBLIKACJI

diagnostyka maszyn



REDAKCJA + KOREKTA Daria Majewska

PROJEKT GRAFICZNY Janusz Górski

DTP Krzysztof Gotowicki

© by Andrzej Gardzilewicz, Gdańsk 2015

© by Oficyna Gdańska, Gdańsk 2015

ISBN 978-83-64180-40-8

Gardzielowe fidrygałki przeczytałam jednym tchem nie tylko ze względu na powinowactwo dusz, inżynierskich i kresowych. Przede wszystkim urzekło mnie poczucie humoru Autora, jego zmysł obserwacji, który pozwolił mu wydobyć mnóstwo zabawnych anegdotek ze swego życia, także tych z pozornie szarego i nudnego PRL-u. Książeczka jest dowodem na słusność żartobliwego spostrzeżenia profesora Janusza Rachonia, że inżynier może napisać wiersz czy książkę, ale poeta turbiny nie zaprojektuje. Andrzej Gardzilewicz pokazał, że umie zrobić i jedno, i drugie.

Barbara Szczepuła

Profesor Andrzej Gardzilewicz, emerytowany kierownik zakładu Aerodynamiki Turbin w Instytucie Maszyn Przepływowych PAN w Gdańsku oraz wykładowca na Politechnice Gdańskiej. Publikował w renomowanych czasopismach naukowych krajowych i zagranicznych. Autor wielu patentów, rozwiązań konstrukcyjnych i programów komputerowych wdrożonych w energetyce, przede wszystkim w polskich elektrowniach. Konsultant fabryki turbin w Elblągu, a także doradca rządu meksykańskiego z ramienia UNIDO ONZ w dziedzinie energetyki geotermalnej. Założył i prowadzi spółkę innowacyjną Diagnostyka Maszyn. Wybitny sportowiec, reprezentant Polski w piłce ręcznej. Miłośnik śpiewu.

